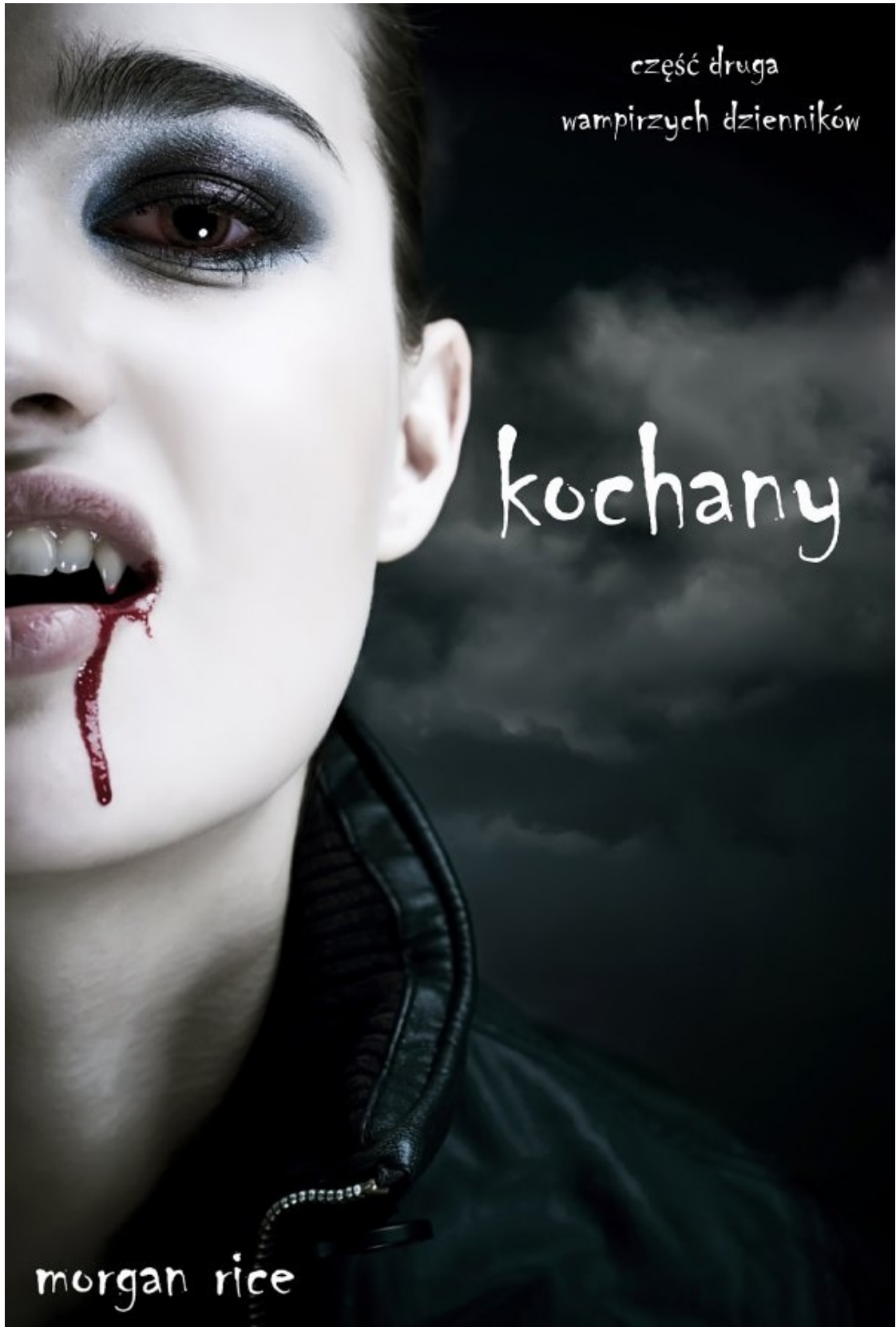
A close-up, black and white photograph of a woman's face, focusing on her eyes and mouth. She has dark, smoky eye makeup and is looking directly at the camera. Her mouth is slightly open, showing her teeth, and a stream of dark red blood is dripping from the corner of her mouth down her chin. She is wearing a dark leather jacket. The background is dark and out of focus.

część druga
wampirzych dzienników

kochany

morgan rice



kochany
(część druga wampirzych dzienników)

Morgan Rice

wybrane recenzje WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

“Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację, wykraczającą daleko poza zwykłe opisy wydarzeń... Dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta”

—Black Lagoon Reviews (regarding *Turned*)

“Idealna książka dla młodych czytelników. Morgan Rice wykonała kawał dobrej roboty, pisząc powieść daleko wychodzącą poza standardy zwykłych opowiadań o wampirach. Odświeżająca i unikalna, choć nadal posiada klasyczne elementy książek o tematyce paranormalnej, skierowanych do młodzieży. Ta seria opowiada o historii jednej dziewczyny ... jednej niezwyklej dziewczyny! ... Dobrze się czyta, wciąga wartka akcja

Polecam każdemu, kto lubi czytać romanse paranormalne.

Oceniający PG

—The Romance Reviews (regarding *Turned*)

“Zainteresowała mnie od samego początku i nie znudziła aż do końca... Ta historia jest niesamowitą przygodą, trzymającą w napięciu już od pierwszych stron książki. Nie ma w niej miejsca na nudę.

—Paranormal Romance Guild {regarding *Turned*}

“Trzymająca w napięciu powieść, przepelniona akcją, romansem i przygodą. Kolejna książka Rice, w której z pewnością się zakochasz.”

—vampirebooksite.com (regarding *Turned*)

“Rewelacyjna fabuła, od tej książki wprost nie sposób jest się oderwać. Zakończenie jest tak ekscytujące, że natychmiast zapragniesz sięgnąć po kolejną książkę, żeby zobaczyć, co będzie dalej.”

—The Dallas Examiner {regarding *Loved*}

“Godna rywalka TWILIGHT i VAMPIRE DIARIES, jedną z tych książek, od których nie sposób się oderwać!

Jeśli pociągają Cię książki o przygodach, miłości i wampirach, ta książka jest idealna dla Ciebie!”

—Vampirebooksite.com {regarding *Turned*}

“Morgan Rice po raz kolejny zaprezentowała swój wyjątkowy talent pisarski... Ta książka spodoba się szerokiemu gronu czytelników, w tym młodym fanom powieści o wampirach i fantasy. Takiego zakończenia książki na pewno się nie spodziewasz!”

—The Romance Reviews {regarding *Loved*}

Morgan Rice

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii jedenastu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI, skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL

TRILOGY, złożonej z dwóch książek; i bestsellerowej serii fantasy THE SORCERER’S RING, złożonej z piętnastu części.

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim, polskim i słowackim (i w kilku językach w przygotowaniu).

[PRZEMIENIONA](#) (pierwsza część serii Wampirze Dzienniki),
[ARENA ONE](#) (pierwsza część THE

SURVIVAL TRILOGY) i [QUEST OF HEROES](#) (pierwsza część serii the Sorcerer’s Ring), dostępne są do pobrania za darmo w Google Play!

Morgan czeka na wiadomości od Ciebie. Odwiedź stronę www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i najnowsze informacje. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań w kontakcie!

Książki Morgan Rice

THE SORCERER’S RING

A QUEST OF HEROES (Book #1)

A MARCH OF KINGS (Book #2)

A FATE OF DRAGONS (Book #3)

A CRY OF HONOR (Book #4)

A VOW OF GLORY (Book #5)

A CHARGE OF VALOR (Book #6)

A RITE OF SWORDS (Book #7)

A GRANT OF ARMS (Book #8)
A SKY OF SPELLS (Book #9)
A SEA OF SHIELDS (Book #10)
A REIGN OF STEEL (Book #11)
A LAND OF FIRE (Book #12)
A RULE OF QUEENS (Book #13)
AN OATH OF BROTHERS (Book #14)
A DREAM OF MORTALS (Book #15)
A JOUST OF KNIGHTS (Book #16)
THE GIFT OF BATTLE (Book #17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (Book #1)
ARENA TWO (Book #2)

THE VAMPIRE JOURNALS

TURNED (Book #1)
LOVED (Book #2)
BETRAYED (Book #3)
DESTINED (Book #4)
DESIRED (Book #5)
BETROTHED (Book #6)
VOWED (Book #7)
FOUND (Book #8)
RESURRECTED (Book #9)
CRAVED (Book #10)
FATED (Book #11)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Ściągnij książki Morgan Rice !](#)

Copyright © 2011 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Ten ebook jest na licencji tylko do osobistego użytku. Ten ebook nie może być odsprzedawany lub oddawany innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla Ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowaniem ciężkiej pracy tego autora.

Książka jest dziełem fikcji. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do nazwy, właściwości rzeczywistej osoby, jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

FAKT:

W 1692 roku w Salem, kilkanaście nastoletnich dziewcząt, zostało dotkniętych tajemniczą chorobą, która doprowadziła je do hysterii. Niewiasty te oskarżyły miejscowe czarownice o prześladowanie ich. Doprowadziło to do wszczęcia procesów „czarownic z Salem”.

Zagadka tej tajemniczej choroby nigdy, do dnia dzisiejszego, nie została wyjaśniona.

“Tej nocy posąg mój widziała we śnie Jakby fontannę, tysiącem otworów,

Krwi mej czerwonej strugę tryskającą,

A tłumy Rzymian, z uśmiechem na twarzy,

Biegły, by ręce we krwi mojej kapać.

Ten sen, w jej myśli, bożym jest zesłaniem

I przepowiednią nieszczęść mi grożących...”

—William Shakespeare, *Juliusz Ceza*

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hudson Valley, Nowy Jork

(Dzień dzisiejszy)

Po raz pierwszy od wielu tygodni Caitlin Paine poczuła się odprężona.

Rozsiadła się wygodnie na podłodze w niewielkiej stodole, oparła o stóg siana i odetchnęła głęboko. W małym kamiennym palenisku tuż obok niej trząsał ogień; dźwięk płonącego w ognisku drewna uspokajał ją. Marzec jeszcze się nie skończył, a dzisiaj było szczególnie zimno. Przez okno na ścianie można było podziwiać niebo i wciąż jeszcze padający śnieg.

Stodoła była nieogrzewana, ale ona siedziała na tyle blisko ognia, by czuć jego przyjemne ciepło. Jej powieki zaczęły stawać się coraz cięższe. Zapach ognia zdominował stodołę, przeciągnęła się i poczuła, jak napięcie zaczyna opuszczać jej ramiona i nogi.

Caitlin wiedziała, że to nie ogień, siano, czy nawet schronienie, dawały jej spokój. To obecność Caleba miała na nią tak kojący wpływ.

On zajął miejsce naprzeciwko niej. Spał, a ona korzystała z okazji, by dokładnie przyjrzeć się jego twarzy, jego doskonałym rysom, bladej, półprzezroczystej skórze. Nigdy nie widziała tak doskonale rzeźbionej szczęki. To było surrealistyczne, jak patrzenie na posąg. Nie mogła pojąć, jak mógł żyć od 3000 lat. Ona miała zaledwie 18 lat, a już wyglądała na starszą od niego.

Nie chodziło wyłącznie o jego twarz. Wokół niego unosiło się inne powietrze, jakby nasycone subtelną energią. Miał w sobie tyle spokoju. Kiedy była przy nim, wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Była szczęśliwa, że nadal tam jest, że nadal jest przy niej. I w chwili słabości wyobraziła sobie, że to się już nie zmieni, że zawsze będą razem. Szybko jednak otrząsnęła się z tych myśli, wiedząc, że to płonne nadzieje. Faceci, tacy jak on, szybko odchodzą. Taka już ich natura.

Caleb we śnie wyglądał tak dostojnie, oddychał spokojnie i miarowo, prawie niedostrzegalnie. Wyszedł wcześniej by, jak sam powiedział, zapolować. Po jakimś czasie wrócił bardziej rozluźniony. Po drodze nabierał drewna, uszczelnił

jeszcze drzwi stodoły, powstrzymując zawieję śnieżną przed wdarciami się do środka, rozpałił ognisko i zasnął. Teraz ona dbała o to, by ogień nie wygasł.

Wyciągnęła rękę i wzięła kolejny łyk czerwonego wina ze swojego kieliszka.

Poczuła jak płyn rozgrzewa ją od środka, pomaga się zrelaksować. Znalazła butelkę w ukrytej pod stogiem siana skrzyni; Przypomniała sobie, jak jej młodszy brat, Sam, chował ją tam kilka miesięcy temu. Ona sama raczej nie piła alkoholu,

ale uznała, że nie ma nic złego w kilku łykach, szczególnie po tym, co przeszła.

Wciąż otwarty pamiętnik spoczywał na jej kolanach, pióro trzymała w jednej ręce, kieliszek zaś w drugiej. Siedziała tak już od ponad 20 minut. Nie wiedziała, od czego zacząć. Nigdy wcześniej nie miała problemów z pisaniem, tym razem jednak było inaczej. Wydarzenia z ostatnich kilku dni były zbyt dramatyczne, zbyt trudne do opisanego. To był pierwszy raz od długiego czasu, kiedy siedziała spokojna i zrelaksowana. Po raz pierwszy poczuła się bezpieczna.

Zdecydowała, że najlepiej będzie zacząć od początku. Co się stało. Dlaczego się tu znalazła. Kim w ogóle była. Musiała to sobie

wszystko poukładać. Nie była nawet pewna, czy sama zna odpowiedzi na te wszystkie pytania.

*

Do zeszłego tygodnia moje życie było zwyczajne. Polubiłam nawet Oakville.

Pewnego dnia mama oznajmiła nam, że wyjeżdżamy. Znowu. Po raz kolejny przewróciła moje życie do góry nogami.

Tym razem było jeszcze gorzej. To nie były kolejne przedmieścia. To był

Nowy Jork. Wielkie miasto. Szkoła publiczna i życie w betonie. I niebezpieczna okolica.

Sam też był wściekły. Razem chcieliśmy tu zostać, uciec od niej. Ale prawda była taka, że nie mieliśmy dokąd pójść.

Więc wyjechaliśmy z nią. Oboje potajemnie przysięgliśmy, że jeśli nie będzie nam się podobało, uciekniemy. Pojedziemy gdzieś indziej. Gdziekolwiek.

Może nawet znowu spróbujemy znaleźć ojca, choć oboje wiedzieliśmy, że to się nigdy nie uda.

A potem wszystko działało się tak szybko. Moje ciało. Przemiana. I nadal nie wiem, co się wydarzyło, kim się stałam. Ale wiem, że nie jestem już tą samą osobą.

Pamiętam tą noc, kiedy to wszystko się zaczęło. Carnegie Hall. Moja randka z Jonahem. A potem ... w przerwie. Moje... polowanie? Zabiłam kogoś? Wciąż nie mogę sobie przypomnieć. Wiem tylko tyle, ile mi powiedzieli. Wiem, że zrobiłam coś tej nocy, ale wszystkie wspomnienia są takie zamazane. Cokolwiek zrobiłam, to nadal nie daje mi spokoju. Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić.

Następnego dnia czułam, że coś się we mnie zmieniło. Na pewno stawałam się coraz silniejsza, szybsza, bardziej wrażliwa na światło. Wyostrzył mi się zmysł węchu. Zwierzęta dziwnie na mnie reagowały, a i ja nieswojo czułam się w ich obecności.

A potem ta scysja z moją mamą. Powiedziała mi, że nie jestem jej prawdziwą

córką, a potem została zabita przez te wampiry, te same, które mnie goniły.

Nigdy nie chciałam, żeby stało się jej coś tak okropnego. Wciąż czuję się, jakby to była moja wina. Ale nie mogę już dłużej o tym

myśleć. Muszę skupić się na tym, co przede mną, na co mam jeszcze wpływ.

Potem mnie dorwali. Te straszne wampiry. A potem moja ucieczka. Caleb.

Gdyby nie on, napewno by mnie zabili. Albo jeszcze gorzej.

Klan Caleba. Jego ludzie. Tak różni. Choć też wampiry. Terytoria. Zazdrość.

Podejrzenia. Wyrzucili mnie, a jemu dali wybór.

I dokonał tego wyboru. Mimo wszystko, wybrał mnie. Znowu mnie uratował.

Zaryzykował to wszystko dla mnie. Kocham go za to. Bardziej niż mógłby to sobie wyobrazić.

Muszę pomóc mu powrócić. On myśli, że ja jestem wybrańcem, że jestem mesjaszem wśród wampirów, czy coś takiego. On jest przekonany, że zaprowadzę go do jakiegoś zaginionego miecza, który zapobiegnie wojnie między wampirami i wszystkich ocali. Osobiście w to nie wierzę. Jego ludzie też w to nie wierzą. Ale wiem, że to wszystko, co ma i nie istnieje dla niego nic ważniejszego. A zaryzykował dla mnie wszystko, więc przyjemniej tak mogę mu się odwdziaczyć. Dla mnie nie chodzi tu nawet o ten miecz. Ja po prostu nie chcę, żeby odszedł.

Zrobię więc wszystko, co w mojej mocy. I tam zawsze chciałam spróbować odnaleźć mojego ojca. Chcę wiedzieć, kim naprawdę jest. Kim ja naprawdę jestem. Czy naprawdę jestem pół wampirem, lub pół człowiekiem, czy czymkolwiek innym. Potrzebuję odpowiedzi. Musze przynajmniej wiedzieć kim się staję...

*

- Caitlin?

Obudziła się zdezorientowana. Spojrzała w górę i zobaczyła Caleba stojącego nad nią. Jego dłonie delikatnie spoczywały na jej ramieniu. Uśmiechnął się.

- Chyba przysnęłaś - powiedział.

Rozejrzała się dookoła. Kiedy spostrzegła otwarty dziennik na swoich kolanach, w popłochu go zamknęła. Zarumieniła się na samą myśl o tym, że mógł

zacząć go czytać. Zwłaszcza fragment o jej uczuciach do niego.

Usiadła i przetarła oczy. Była noc, a ogień wciąż się tlił. On też musiał dopiero się obudzić. Zastanawiała się, jak długo spała.

- Przepraszam - powiedziała – Nie spałam od kilku dni.

Uśmiechnął się znowu i zrobił kilka kroków w stronę paleniska. Dorzucane przez

niego szczapy drewna trzaskały i syczały w ogniu. Poczwała jak ciepło dociera do jej nóg...

Stał tam, wpatrując się w ogień, a w miarę jak pogrążał się w myślach, uśmiech z jego twarzy powoli zniknął. W tym świetle wyglądał jeszcze bardziej atrakcyjnie, jeśli to w ogóle było możliwe. Jego szeroko otwarte, duże jasnobrązowe oczy, zmieniły kolor na jasnozielony.

Caitlin wyprostowała się i zobaczyła, że jej kieliszek był wciąż pełny. Wzięła łyk i znowu poczuła to przyjemne ciepło w środku. Od dłuższego czasu nic nie jadła, tym szybciej więc alkohol uderzał jej do głowy. Dopiero, gdy zauważyła stojący na ziemi drugi plastikowy kieliszek, przypomniała sobie o swoich dobrych manierach.

- Napijesz się? - zapytała, po czym nerwowo dodała – Chodzi mi o to... nie jestem pewna czy pijesz...

Roześmiał się.

- Tak, wampiry też piją wino - powiedział z uśmiechem i podszedł do niej z wyciągniętym kieliszkiem.

Zaskoczył ją. Nie swoimi słowami, a swoim śmiechem. Był taki miękki i elegancki. I jak wszystko w nim, niezwykle tajemniczy.

Kiedy podnosił szklanekę do ust, spojrzała mu w oczy z nadzieją, że odwzajemni jej spojrzenie.

I tak też uczynił.

W chwilę po tym, jak ich spojrzenia spotkały się, oboje odwrócili wzrok speszeni. Poczwała, jak jej serce zaczęło szybciej bić.

Caleb wrócił na swoje miejsce, rozłożył się na sianie i spojrzał na nią. Miała wrażenie, że uważnie się jej przygląda. Poczwała się nieswojo.

Odruchowo przesunęła dłonią wzdłuż swojego ciała i natychmiast pożałowała, że ma na sobie takie łachy. Próbowwała przypomnieć sobie, w co dokładnie jest ubrana. Gdzieś po drodze, nawet nie do końca wiedziała gdzie, zatrzymali się na chwilę w jakimś mieście i

tam poszła do jedyne go sklepu, jaki znalazła – Armii Zbawienia – i kupiła jakieś ubrania na zmianę.

Spojrzała w dół zniesmaczona, ledwo siebie samą rozpoznając. Miała na sobie podarte, wytarte dzinsy, trampki o rozmiar zbyt duże i koszulkę pod swetrem. Na wierzchu miała zbyt duży, wyblakły, fioletowy płaszcz w groszki, w którym brakowało guzika. Ale przynajmniej był ciepły. A w tej chwili właśnie tego najbardziej potrzebowała.

Czuła się skrepowana. Dlaczego musiał oglądać ją w takim stroju? Takie już miała szczęście, że kiedy po raz pierwszy poznała faceta, który naprawdę się jej podobał, musiała wystąpić w takich szmatach. W stodole nie było łazienki, a nawet gdyby była, ona i tak nie miała żadnych przyborów kosmetycznych. Znowu zakłopotana odwróciła wzrok.

- Długo spałam? - zapytała.

- Nie jestem pewien. Sam dopiero się przebudziłem - powiedział, odchylając się do tyłu i przeczesując włosy dłonią – Polowałem wcześniej tego wieczoru. A to mnie zawsze bardzo wyczerpuje.

Spojrzała na niego.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

Spojrzał na nią.

- O polowaniu - dodała - Jak to działa? Czy... zabijasz ludzi?

- Nie, nigdy tego nie robię - odpowiedział.

Kiedy zbierał myśli, w pokoju panowała cisza.

- To skomplikowane, jak zresztą wszystko, co związane z wampirami –

powiedział - To zależy od rodzaju wampira jakim jesteś i do jakiego klanu należysz. Ja poluję wyłącznie na zwierzęta. Głównie jelenie. I tak jest ich zbyt wiele, a ludzie polują na nie i nawet ich nie jedzą.

Na jego twarzy pojawiła się zaduma.

- Inne klany nie są jednak tak łaskawe. Oni żerują na ludziach. Zazwyczaj niepożądanych.

- Niepożądanych?

- Bezdomnych, włóczęgach, prostytutkach... tych, których zniknięcie nie zostanie zauważone. Tak zawsze było. Nie chcą zwracać na siebie uwagi.

- To dlatego mój klan, mój gatunek, uważamy za czystej krwi, a inne gatunki za nieczyste. To, czym się karmisz... tego energię przejmujesz.

Caitlin siedziała tam, zamyślona.

- A co ze mną? - zapytała.

Spojrzał na nią.

- Dlaczego tylko czasem dopada mnie potrzeba... polowania?

Zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien. Z tobą jest inaczej. Ty jesteś półkwi. To coś niezwykle rzadkiego... Wiem tylko tyle, że u ciebie zmiany przychodzą z wiekiem. Inni są przemieniani w jedną noc. U ciebie ten proces jest stopniowy. Odnalezienie się w nowej rzeczywistości może zająć ci trochę czasu.

Caitlin przypomniała sobie to uczucie straszliwego, wręcz oszalamiającego głodu. To pragnienie opętało ją, nie pozwoliło myśleć o niczym innym. To było przerażające. Bała się, że kiedyś to się powtórzy.

- Skąd mogę wiedzieć, kiedy znowu to zrobię?

Spojrzał na nią.

- Tego nigdy nie wiesz.

- Ale ja nie chcę zabić człowieka – powiedziała - Nigdy.

- Nie musisz. Możesz polować na zwierzęta.

- A co, jeśli wtedy będę gdzieś, skąd nie będę mogła wyjść?

- Musisz nauczyć się to kontrolować. To wymaga praktyki. I siły woli. Nie jest łatwe. Ale jest możliwe. Można to kontrolować. Przez to musi przejść każdy wampir.

Caitlin wyobrażała sobie, jak to jest karmić się żywymi zwierzętami. Wiedziała, że jest szybsza, niż kiedykolwiek, ale nie wiedział, czy wystarczająco szybka. A nawet jeśli udałoby jej się złapać tego jelenia, to co miałyby z nim zrobić?

Spojrzała na niego.

- Nauczysz mnie? - zapytała z nadzieją.

Spojrzał na nią, a ona poczuła, jak wali jej serce.

- Polowanie jest rzeczą świętą w naszej kulturze. Odbywa się zawsze w samotności - powiedział cicho i pokornie - Z wyjątkiem

... - urwał.

- Z wyjątkiem? - zapytała.

- Ceremonii ślubnej. By zjednoczyć ze sobą męża i żonę.

Zmieszany odwrócił wzrok. Poczowała przyływ krwi do policzków.

W

pomieszczeniu nagle zrobiło się bardzo ciepło.

Zadecydowała, że nie będzie dłużej nalegać. Póki co nie czuła głodu, wróci więc do tematu, kiedy zajdzie taka potrzeba. Miała nadzieję, że wtedy będzie przy niej.

Poza tym, w głębi duszy nie była zainteresowana polowaniem, wampirami, czy mieczami. Tak naprawdę interesował ją głównie *on*. A konkretniej to, co do niej czuł. Chciała mu zadać tak wiele pytań. *Dlaczego podjąłeś dla mnie takie ryzyko? Czy zrobiłeś to tylko po to, by odnaleźć miecz? Czy był może jeszcze inny powód? Czy zostaniesz ze mną, gdy odnajdziesz swój miecz? Mimo że romansowanie z człowiekiem jest zabronione, czy dla mnie złamiesz tę zasadę?*

Nie znalazła w sobie jednak odwagi, by je wszystkie zadać.

Zamiast tego powiedziała:

- Mam nadzieję, że znajdziemy twój miecz.

Lipa, pomyślała. *To wszystko, na co cię stać? Czy kiedyś zdobędziesz się na odwagę, by powiedzieć to, o czym naprawdę myślisz?*

Jego energia była dla niej zbyt intensywna. Gdy był przy niej, nie była w stanie jasno myśleć.

- Ja też mam taką nadzieję - odpowiedział - To nie jest zwykła broń. Nasz gatunek pragnie go od wieków. Mówi się, że to najdoskonalszy miecz turecki, wykonany z metalu, który może zabić każdego wampira. Dzięki niemu bylibyśmy niezwycięzeni. Bez niego ...

Urwał. Najwyraźniej bał się nawet wypowiedzieć te słowa.

Caitlin pragnęła, by Sam był tam z nimi, by pomógł im odnaleźć tatę. Znowu rozejrzała się po stodole. Nie było tam po nim żadnego śladu. Znowu pożałowała, że po drodze straciła swoją komórkę. Gdyby miała telefon, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze.

- To było ulubione miejsce Sama – powiedziała – Byłam przekonana, że go tu znajdziemy. Wiem na pewno, że wrócił do tego

miasta. Nigdzie indziej by nie pojechał. Jutro pójdziemy do szkoły, porozmawiamy z moimi przyjaciółmi.

Dowiem się wszystkiego.

Caleb skinął głową.

- Myślisz, że wie, gdzie jest twój ojciec? - zapytał.

- Nie mam pewności – odpowiedziała - Ale wiem, że on wie o nim dużo więcej niż ja. Stara się go odnaleźć od wielu lat. Jeśli ktoś coś wie, to tylko on.

Caitlin przypomniała sobie te wszystkie chwile z Samem, jego poszukiwania, dzielenie się z nią nowymi tropami i ciągle rozczarowania. Wszystkie noce, kiedy przychodził do jej pokoju i siadał na krawędzi łóżka. Pragnienie odnalezienia ojca zżerało go od środka. Ona z resztą też tego chciała, ale nie tak, jak on.

Cierpiała za każdym razem, kiedy widziała ból rozczarowania w jego oczach.

Caitlin pomyślała o ich spałym dzieciństwie, o straconym czasie. W kąciu jej oka pojawiła się łza. Zawstydzona, prędko ją wytarła z nadzieją, że Caleb tego nie zauważył.

A jednak. Podniósł głowę i uważnie jej się przyglądał.

Wstał powoli i usiadł obok niej. Był tak blisko, że czuła jego energię. Była niezwykle intensywna. Jej serce zaczęło bić mocniej.

Delikatnie przesunął dłonią po jej twarzy, odgarnął niesforny kosmyk włosów.

Otarł łzę z kącika oka i dalej z policzka. Przez ten cały czas nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Czuła, jak się jej przygląda.

- Nie martw się – powiedział miękko, kojącym głosem – Razem znajdziemy twojego ojca.

Ale nie to ją martwiło. Bardziej bała się tego, że Caleb będzie chciał ją opuścić.

Zastanawiała się, czy pocałuje ją, kiedy odwróci twarz w jego stronę. Ponad wszystko pragnęła poczuć dotyk jego warg.

Nie mogła zmusić się jednak do wykonania tego pierwszego kroku.

Miała wrażenie, że minęły godziny, zanim wreszcie zdecydowała się podnieść głowę.

On jednak już na nią nie patrzył. Rozłożył się wygodnie na sianie, oczy miał

zamknięte, spał, a łuna ogniska oświetlała delikatny uśmiech na jego twarzy.

Usiadła bliżej niego, opierając głowę tuż przy jego ramieniu. Prawie go dotykała.

I to *prawie* jej wystarczało.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Caitlin rozsunęła drzwi do stodoły, jej oczom ukazał się świat cały w śniegu. Jasne promienie słońca odbijały się od białej powierzchni oślepiającym blaskiem. Dłońmi przyniosła oczy, chcąc uwolnić się od nieznanego dotąd bólu: jakby słońce próbowało wypalić jej oczy.

Caleb skończył owijać ramiona i szyję cienkim, przezroczystym materiałem i stanął obok niej. Tworzywo wyglądało prawie jak folia kuchenna, ale dodatkowo rozpuszczało się na skórze, tworząc niewidoczną osłonę.

- Co to jest?

- Warstwa ochronna - powiedział, starannie nakładając kolejne warstwy na ramiona i barki – Dzięki temu możemy wychodzić na słońce. Bez tego nasza skóra spaliłaby się.

Spojrzał na nią.

- Ty jej nie potrzebujesz... na razie.

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Zaufaj mi - powiedział, uśmiechając się szeroko – Wiedziałybyś.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą buteleczkę kropli do oczu, odchylił się do tyłu i wpuścił sobie po kilka kropli do każdego oka. Odwrócił się i spojrzał na nią.

Chyba zorientował się, że bolą ją oczy, bo delikatnie położył dłoń na jej czole.

- Odchyl głowę - powiedział.

Posłuchała go.

- Teraz otwórz oczy.

Kiedy to zrobiła, on wyciągnął rękę i umieścić po jednej kropli w każdym oku.

Cholernie szczypało, więc natychmiast zamknęła oczy i odkręciła głowę.

- Ała! – jęknęła, pocierając oczy – Co ja ci zrobiłam?!

Uśmiechnął się.

- Niestety. Na początku strasznie szczypie, ale przywykniesz do tego. A twoja nadwrażliwość na światło zniknie w ciągu kilku sekund.

Zamrugła i jeszcze raz przetarła oczy. Popatrzyła w górę i wreszcie poczuła, że jej wzrok wraca do normy. Miał rację: ból zniknął bez śladu.

- Większość z nas i tak unika światła, nie wychodzimy z ciemności, jeśli nie musimy. Wszyscy jesteśmy słabsi w ciągu dnia. Ale czasem nie mamy wyjścia.

Spojrzał na nią.

- Ta szkoła twojego brata – powiedział - Czy to daleko?

- Kilka minut stąd - powiedziała, biorąc go za rękę i prowadząc przez zaśnieżony trawnik - Liceum w Oakville. Jeszcze kilka tygodni temu to była też moja szkoła. Jeden z moich przyjaciół musi wiedzieć, gdzie jest Sam.

*

Liceum w Oakville wyglądało dokładnie tak, jak Caitlin je zapamiętała. Cała ta sytuacja była dość surrealistyczna. Miała wrażenie, że wyjechała tylko na krótkie wakacje, a teraz wróciła do swojego normalnego życia. Przez chwilę uwierzyła nawet, że wydarzenia ostatnich kilku tygodni były tylko szalonym snem, że wszystko znowu jest po staremu. To przyniosło jej chwilową ulgę.

Ale kiedy obejrzała się i zobaczyła stojącego przy niej Caleba, zrozumiała, że nic nie jest takie, jak kiedyś. Jego obecność w tym miejscu sprawiała, że sytuacja wydawała się jeszcze bardziej abstrakcyjna. Miała bowiem wejść z tym człowiekiem do swojej starej szkoły. Z tym wspaniałym, wysokim mężczyzną, o szerokich ramionach, ubranym na czarno, w płaszczu z wysokim kołnierzem, na który opadały jego długie włosy. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z okładki jednego z tych popularnych czasopism dla nastolatków.

Caitlin wyobrażała sobie reakcje swoich koleżanek. Uśmiechnęła się na tą myśl. Nigdy nie była szczególnie popularna, a już na pewno nie wzbudzała zainteresowania chłopaków. Nie była nielubiana- miała kilkoro dobrych przyjaciół- ale daleko jej było do tych wszystkich popularnych dzieciaków ze szkoły. Najzwyczajniej w

świecie była przeciętna. Mimo to, pamiętała pogardliwe spojrzenie bardziej popularnych dziewcząt, które zawsze trzymały się razem, przechadzały się po korytarzach z zadartymi nosami, ignorując każdego, kogo nie uważały za równie doskonałego, jak one same. Być może teraz zwrócą na nią uwagę.

Caitlin i Caleb weszli po schodach i otworzyli szerokie, podwójne drzwi do szkoły. Caitlin spojrzała na duży zegar: 08:30. Idealnie. Pierwsza lekcja właśnie się kończyła i za sekundę wszyscy mieli wyjść na korytarz. To uczyni ich mniej widocznymi. Nie będzie musiała martwić się ochroną.

Dzwonek zadzwonił jak na zawołanie i już po kilku sekundach korytarze zaczęły wypełniać się ludźmi.

Szkoła w Oakville to był zupełnie inny świat. Nie miała nic wspólnego z tym okropnym nowojorskim liceum. Tutaj, nawet gdy wszyscy wyszli na korytarz, nadal było sporo przestrzeni, w której można było swobodnie się poruszać. Przez duże okna wpadało jasne światło, widać było niebo i wszechobecne drzewa. To prawie wystarczyło, żeby zaczęła tęsknić. Prawie.

Miała już dość szkoły. Od oficjalnego zakończenia ogólniaka dzieliło ją

zaledwie kilka miesięcy, ale czuła, że przez te kilka ostatnich tygodni nauczyła się więcej, niż mogłaby kiedykolwiek nauczyć się siedząc w klasie. Lubiła się uczyć, ale była gotowa już nigdy tam nie wrócić.

Kiedy szli korytarzem, Caitlin szukała wzrokiem znajomych twarzy. Mijali głównie uczniów młodszych klas, nie zauważyła wśród nich nikogo ze swojego rocznika. Była zaskoczona, widząc reakcję wszystkich mijanych dziewcząt: każdą jedną dosłownie gapiała się na Caleba. I żadna z nich nawet nie próbowała tego ukryć, żadna nie odwróciła wzroku. To było niewiarygodne. Czuła się, jakby szła korytarzem z Justinem Bieberem.

Caitlin odwróciła się i zobaczyła, że wszystkie dziewczyny stały jak wryte, wciąż nie mogąc oderwać od niego wzroku. Kilka z nich szeptało do siebie.

Zerknęła na Caleba, próbując zorientować się, czy on też zauważył te spojrzenia. Nawet jeśli, to nie wykazywał żadnych tego oznak, a już na pewno nie wyglądał, jakby go to obchodziło.

- Caitlin? – zapytał zszokowany głos.

Caitlin odwróciła się i zobaczyła stojącą tam Luisę, jedną ze swoich starych koleżanek.

- O mój Boże! - Luisa wykrzyknęła podekscytowana i rozłożyła szeroko ramiona. Zanim Caitlin zdążyła zareagować, Luisa już trzymała ją w objęciach.

Caitlin odwzajemniła uścisk. Dobrze było zobaczyć znajomą twarz.

- Co się z tobą działo? - zapytała Luisa rozgorączkowana. Miała słaby hiszpański akcent, jakby zaledwie kilka lat temu przeniosła się tu z Puerto Rico.

- Zaskoczyłaś mnie! Myślałam, że wyjechałaś!? Pisałam do ciebie wielokrotnie, ale nigdy nie odpowiedziałaś...

- Bardzo cię przepraszam - Caitlin powiedziała - Zgubiłam swój telefon i nie miałam dostępu do komputera, i...

Luisa już nie słuchała. Właśnie zauważyła Caleba i wpatrywała się w niego jak w obrazek. Szczeka dosłownie jej opadła.

- Kim jest twój przyjaciel? - zapytała w końcu prawie szeptem. Caitlin uśmiechnęła się; nigdy wcześniej nie widziała swojej przyjaciółki tak speszzonej.

- Luiso, poznaj Caleba.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Caleb, uśmiechając się i wyciągając rękę.

Luisa nie mogła oderwać od niego wzroku. Wciąż oszołomiona, powoli podniosła rękę, ale nie zdołała nic powiedzieć. Spojrzała na Caitlin, nie mogąc pojąć, jak taka dziewczyna mogła upolować takiego faceta. Patrzyła na nią inaczej, jakby jej nie poznawała.

- Ehm ... - wydusiła z siebie - ... hm ... jak ... gdzie ... jak ... jak się poznaliście?

Przez sekundę Caitlin wahała się, jak zareagować. Wyobrażała sobie, że mówi Luisie prawdę. Ta myśl szczerze ją rozbawiła. To chyba nie była najlepsza opcja.

- Spotkaliśmy się ... po koncercie - Caitlin odpowiedziała.

Był w tym ułamek prawdy.

- O mój Boże, jakim koncercie? W mieście? The Black Eyed Peas!?
- zapytała rozentuzjasmowana - Ależ ci zazdroszczę! Marzyłam, żeby ich zobaczyć!

Myśl o Calebie na koncercie rockowym rozbawiła ją. Jakoś trudno było jej to sobie wyobrazić.

- Ehm ... niezupełnie - Caitlin szybko urwała temat - Luisa, słuchaj, przepraszam, ale nie mam w tej chwili zbyt dużo czasu. Muszę znaleźć Sama.

Widziałas go może?

- Oczywiście. Wszyscy go widzieli. Wrócił w zeszłym tygodniu. Dziwnie się zachowywał. Pytałam go, gdzie się podziewasz i co się z wami działo, ale nie chciał o tym mówić. Pewnie siedzi w tej pustej stodole, którą tak lubił.

- Nie, tam go nie ma. Właśnie stamtąd wracamy.

- Naprawdę? W takim razie nie wiem, gdzie może być. On jest młodszy od nas, rzadko go widzimy. Próbowalas złapać go na Facebooku?

- Nie mam swojego telefonu...

- Weź mój – zaproponowała Luisa i wsunęła komórkę do ręki Caitlin -

Facebook jest już otwarty. Wystarczy się zalogować i napisać do niego.

No jasne, pomyślała Caitlin. Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej?

Caitlin zalogowała się, wpisała w wyszukiwarkę Sama, znalazła jego profil i otworzyła nową wiadomość. Przez chwilę zastanawiała się, co ma mu powiedzieć. Wreszcie napisała: "Sam. To ja. Czekam na ciebie w stodole.

Przyjdź jak najszybciej."

Wysłała wiadomość i oddała telefon Luisie.

Nagle Caitlin usłyszała jakieś zamieszanie za swoimi plecami.

Grupa popularnych dziewcząt z najstarszego rocznika zmierzała korytarzem w ich stronę. Szeptaly między sobą. Wszystkie patrzyły prosto na Caleba.

Po raz pierwszy w życiu Caitlin poczuła nowy rodzaj emocji. Zazdrość.

Widziała w ich oczach, że zrobiłyby wszystko, by odebrać jej Caleba. Te dziewczyny potrafiły omotać każdego faceta w szkole. Dla nich nie miało znaczenia, czy ma dziewczynę, czy nie. Tobie

pozostawała jedynie nadzieja, że twój chłopak nie wpadnie im w oko.

A teraz wszystkie te laski patrzyły na Caleba.

Caitlin miała nadzieję, modliła się o to, by Caleb okazał się odporny na ich urok. By nie przestał jej lubić. Im dłużej o tym myślała, tym mniej widziała, dlaczego miałyby tak być. Przecież była tylko szarą myszą. Dlaczego miałyby zostać

z nią, kiedy dziewczyny takie jak one pragnęły go mieć?

Caitlin po cichu modliła się, by dziewczyny minęły ich bez słowa. Chociaż ten jeden raz. Oczywiście, nic z tego. Serce prawie wyskoczyło jej z piersi, kiedy cała grupa podeszła do nich.

- Cześć Caitlin - powiedziała jedna z dziewcząt, uśmiechając się przy tym fałszywie.

Tiffany. Wysoka, chuda blondynka z niebieskimi oczami. Od stóp do głów ubrana była w ciuchy od projektantów mody.

- Kim jest twój przyjaciel?

Caitlin nie wiedziała, co powiedzieć. Tiffany i jej przyjaciółki nigdy nie zwracały na Caitlin uwagi. Nawet nie patrzyły w jej stronę. Była w szoku, że wiedziały o jej istnieniu, że znały jej imię. A teraz nawet do niej zagadały.

Oczywiście Caitlin wiedziała, że nie ma to z nią nic wspólnego. One chciały Caleba. Wystarczająco mocno, żeby zniżyć się do jej poziomu.

To nie wróżyło nic dobrego.

Caleb musiał wyczuć niepokój Caitlin, bo przybliżył się do niej i objął ją ramieniem.

Caitlin nigdy w życiu nie była tak wdzięczna za żaden gest.

- To jest Caleb – odpowiedziała, nabrawszy animuszu.

- A tak w ogóle, to co ty tu robisz? - zapytała inna dziewczyna.

Bunny. Idealna kopia Tiffany, z tym że brunetka - Myślałam, że.. no wiesz... wyjechałaś, czy coś.

- No cóż, jak widać, już wróciłam - Caitlin odpowiedziała hardo.

- A Ty jesteś tu nowy, prawda? - Tiffany zwróciła się do Caleba – Jesteś w najstarszej klasie?

Caleb uśmiechnął się.

- Tak, można powiedzieć, że jestem tu nowy - odpowiedział tajemniczo.

Oczy Tiffany zaświeciły się na myśl, że mają nowego chłopaka w szkole.

- Wspaniale – powiedziała zachwycona – Organizuję dzisiaj imprezkę w domu. Zapraszam tylko kilkoro bliskich przyjaciół, ale byłoby super, gdybyś też mógł wpaść. No i ... hm ... ty też... - Tiffany spojrzała na Caitlin.

Caitlin poczuła narastający w sobie gniew.

- Dziękuję za zaproszenie, drogie panie – zaczął Caleb - ale z przykrością muszę odmówić. Caitlin i ja mamy już na dzisiaj inne plany.

Caitlin o mało nie krzyknęła z radości.

Zwycięstwo.

Patrzyła z satysfakcją, jak dziewczynom rzedną miny. Nigdy nie czuła się tak pewna siebie.

Dziewczyny odwróciły się na piecie i odeszły bez słowa.

Caitlin, Caleb i Luisa znowu zostali sami. Caitlin odetchnęła z ulgą.

- O kurcze! - Luisa otrząsnęła się wreszcie z szoku - Te dziewczyny wszystkich olewają. A już na pewno nie zapraszają na imprezy.

- Wiem – przytaknęła Caitlin, ciągle jeszcze oszołomiona tym, co się stało.

- Caitlin! – Luisa wyciągnęła rękę w stronę dziewczyny - Właśnie sobie coś przypomniałam. Susan. Mówiła coś o Samie. W zeszłym tygodniu. Że widziała do z Colemanami. Sorry, dopiero sobie przypomniałam. Może to ci jakoś pomoże.

Colemanowie. Oczywiście. To tam teraz był.

- A poza tym - Luisa kontynuowała w pośpiechu - wszyscy widzimy się dzisiaj u Franków. Musisz przyjść! Bardzo nam ciebie brakuje. I oczywiście, przyprowadź ze sobą Caleba. Zapowiada się świetna impreza. Połowa naszej klasy tam będzie. Musisz wpaść.

- No ... nie wiem...

W tej chwili rozległ się dźwięk dzwonka.

- Muszę już iść! Cieszę się, że jesteś z powrotem. Uwielbiam cię. Zadzwoń do mnie. Pa! – Luisa pomachała do Caleba, odwróciła się i pobiegła korytarzem.

Caitlin znowu wyobraziła sobie, jakby to było wrócić do normalnego życia.

Spotykać się z przyjaciółmi, chodzić na imprezy, być w normalnej szkole, którą wkrótce miało skończyć. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Przez chwilę próbowała wymazać z pamięci wszystkie wydarzenia z ostatnich tygodni. Wyobrażała sobie, że nic złego się nie stało.

Ale potem spojrzała na Caleba i już nie miała złudzeń. Jej życie uległo zmianie. Na zawsze. I nigdy już nie będzie takie samo. Musiała się z tym pogodzić.

Nie mówiąc już o tym, że kogoś zabiła, że nadal szukała jej policja. I że to tylko kwestia czasu, kiedy ją znajdą. Że cała rasa wampirów chce ją zabić. I że ten miecz, którego szuka, może uratować wiele istnień ludzkich.

Życie na pewno nie jest i nigdy już nie będzie takie, jak dawniej. Musiała pogodzić się z tą myślą.

Caitlin wzięła Caleba pod ramię i razem ruszyli w stronę wyjścia.

Colemanowie. Wiedziała, gdzie mieszkali i było jasne, że Sam jest u nich. Skoro nie ma go w szkole, to musi być tam. To właśnie był ich następny przystanek.

Zostawiając za sobą mury tej szkoły, Caitlin czuła się dobrze. Wiedziała, że już nigdy tu nie wróci.

Caitlin i Caleb szli przez posesję Colemanów, a śnieg skrzypiał im pod nogami. Dom nie był duży - skromne ranczo położone przy drodze krajowej. Na samym końcu posiadłości znajdowała się ogromna stodoła. Caitlin widziała zaparkowane tam poobijane furgonetki, a pomiędzy nimi śladu butów w śniegu i lodzie. W stodole musiał ktoś być.

Dzieciaki w Oakville tak spędzały wolny czas – przesiadywały z przyjaciółmi

w stodołach. Przeważnie zabudowania te znajdowały się na tyle daleko od domów ich rodziców, że nikt dokładnie nie wiedział, co młodzi tam robią. Dużo fajniejsza opcja niż przesiadywanie w piwnicach. Było oddzielne wejście. I wyjście. Rodzice nic nie słyszeli.

Caitlin podeszła do stodoły, odsunęła ciężkie, drewniane drzwi i wzięła głęboki oddech.

Zapach potu unosił się w powietrzu. Potu i zwietrzałego piwa.

Uderzył ją też inny zapach - zapach zwierzęcia. Nigdy wcześniej nie miała tak wyostrzonych zmysłów. Intensywny zapach tego zwierzęcia wywołał w niej dreszcze, jakby wachała amoniak.

Spojrzała w prawo. W rogu zobaczyła dużego rottweilera. Usiadł powoli, spojrzał na nią i warknął. Dźwięk szybko zmienił się w niski, gardłowy pomruk.

To był Butch. Pamiętała go. Paskudny rottweiler Colemanów. Dobrze wpasowywał się w obraz panującego tam chaosu.

Colemanowie zawsze byli niezłymi ziólkami. Trzej bracia - 17, 15 i 13 lat. W

którymś momencie Sam zaprzyjaźnił się z środkowym bratem - Gabem. Jeden był

gorszy od drugiego. Ojciec opuścił ich dawno temu i nikt nie wiedział, gdzie był, a ich matki nigdy nie było w pobliżu. Właściwie sami się wychowywali. Pomimo młodego wieku, byli zawsze pijani lub upaleni, i ciągle nieobecni w szkole.

Caitlin drażniło, że Sam spędzał z nimi czas. To nie mogło prowadzić do niczego dobrego.

W tle leciała muzyka. Pink Floyd. Wish You Were Here.

W stodole było ciemno. Musiała odczekać kilka sekund, zanim oczy przyzwyczyły się do braku światła.

Był tam. Sam. Siedział na środku wytartej kanapy, w towarzystwie kilku chłopaków. Po jednej stronie miał Gaba, po drugiej Brocka.

Sam nachylał się właśnie nad bongosem. Skończył palić, odłożył fajkę i odchylił się do tyłu, wciągając powietrze i trzymając je w płucach o wiele za długo. W końcu odetchnął.

Gabe szturchnął go łokciem, Sam spojrzał w górę. Otumaniony, wpatrywał się Caitlin. Jego oczy były przekrwione.

Caitlin z nerwów rozboleł żołądek. To nie było uczucie rozczarowania. Była przekonana, że to wszystko jej wina. Przypomniała sobie ostatnie chwile, które spędzili razem w Nowym Jorku. Ich kłótnie. Jej ostre słowa. ” *A idź sobie!*”

wykrzyczała wtedy. Dlaczego musiała być tak nieczuła? Dlaczego nie mogła cofnąć tych słów?

Teraz było już za późno. Jeśli wtedy wybrałaby inne słowa, być może teraz wszystko byłoby inaczej.

Zalała ją fala gniewu. Była wściekła na Colemanów, na wszystkich chłopców

w tej stodole, siedzących na tych kanap, zniszczonych krzesłach i na stogach siana, pijących, beczynnych. Ze swoim życiem mogli robić, co chcieli. Ale nie wolno im było wciągać w to Sama. Był od nich lepszy. Niestety, nikt nigdy nie wskazał

mu właściwej drogi. Nie mógł brać przykładu z ojca, nie dostawał czułości od matki. Był wspianiałym dzieckiem, wiedziała, że spokojnie mógł być najlepszym uczniem w klasie, gdyby tylko miał w miarę normalny dom. Ale na to było już za późno. Przeszło mu na czymkolwiek zależeć.

Zrobiła kilka kroków w jego stronę.

- Sam? - zapytała.

On tylko patrzył, nie mówiąc ani słowa.

Trudno było wyczytać coś z jego spojrzenia. Czy to przez narkotyki? Czy udawał, że nic go nie obchodzi? A może naprawdę go nie obchodziło?

Jego apatyczny wygląd bolał ją bardziej niż cokolwiek innego. Miała nadzieję, że ucieszy się na jej widok, wstanie i rzuci się jej w ramiona. Nie tym razem. Wydawało się, że w ogóle go nie obchodziła. Jakby była obcą osobą. Czy chciał się tylko popisać przed kumplami? Czy może tym razem rzeczywiście przegięła?

Minęło kilka sekund, zanim wreszcie odwrócił wzrok i podał bongo jednemu z kumpli. Totalnie ją zignorował.

- Sam! - powtórzyła podniesionym głosem, jej twarz poczerwieniała ze zdenerwowania –Mówię do ciebie!

Usłyszała chichot jego durnych kolegów i poczuła jak wściekłość w niej narasta. Pojawiło się inne uczucie. Zwierzęcy instynkt. Jej furia zaczęła wymykać się spod kontroli i bała się, że zbliża się do granic swojej wytrzymałości.

Przestawała być człowiekiem. Budziło się w niej zwierzę.

Ci chłopcy byli postawni, ale moc rosnąca w żyłach pozwalała jej myśleć, że swobodnie pokona każdego z nich. W każdej chwili mogła stracić nad sobą kontrolę.

W między czasie rottweiler powoli szedł w jej kierunku, nie przestając szczerzyć kłów. Tak, jakby rozumiał, co się z nią dzieje.

Wtedy poczuła delikatną dłoń na swoim ramieniu. Caleb. Nadal tam był.

Musiał wyczuć jej narastający gniew, budzący się zwierzęcy instynkt. Próbował

ją uspokoić, powstrzymać od zrobienia czegoś głupiego. Jego obecność trochę pomogła. Ale to nie wystarczy.

Sam odwrócił w końcu głowę i spojrzał na nią lekceważąco. Nadal był

wściekły. Temu akurat się nie dziwiła.

- Czego chcesz? - warknął.

- Dlaczego nie jesteś w szkole? – sama nie wiedziała, dlaczego akurat o to zapytała. Zwłaszcza w obliczu sytuacji, w której teraz się znajdowali.

Najwyraźniej odezwał się w niej matczyzny instynkt.

Chłopcy znowu parsknęli śmiechem. Jej złość powróciła.

- A co cię to obchodzi? – powiedział – To ty chciałaś, żebym sobie poszedł.

- Przepraszam – powiedziała - Nie chciałam.

Wreszcie mogła mu to powiedzieć.

Na nim nie zrobiło to jednak wrażenia. Patrzył na nią obojętnie.

- Sam, muszę z tobą porozmawiać. Na osobności.

Chciała wyrwać go z tego środowiska, wyjść z nim na świeże powietrze, tam gdzie będą mogli spokojnie porozmawiać. Nie tylko, żeby zapytać o ojca; chciała zwyczajnie z nim pogadać, jak kiedyś. No i jakoś delikatnie powiedzieć o ich mamie.

Wiedziała już, że nie ma na to szans. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Czuła, że energia w tej zatłoczonej stodole była zbyt mroczna. Agresja narastała we wszystkich. Czuła, że traci nad sobą kontrolę. Mimo obecności Caleba, nie mogła się już dłużej powstrzymać.

- Wszystko mam tutaj ogarnięte - zadrwił Sam.

Kumple znowu głupio zarechotali.

- Chyba powinnaś się trochę wyluzować – wtrącił jeden z chłopaków – Jesteś strasznie spięta. Chodź, usiądź. Weź bucha.

Wyciągnął bongo w jej stronę.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Wsadź sobie tą fajkę w dupę – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Chłopcy na chwilę zaniemówili.

- O cholera! – parsknął jeden z nich.

Chłopak, który zaproponował jej palenie, był dużym, muskularnym facetem, który niedawno wyleciał z drużyny footballowej.

- Co powiedziałaś, suko? – podniósł się, cały czerwony zezłości.

Spojrzała w górę. Był o wiele wyższy niż pamiętała - miał co najmniej 2

metry wzrostu. Czowała jak Caleb zaciska dłoń na jej ramieniu. Nie była pewna, czy tym gestem chciał ją uspokoić, czy to dlatego, że sam zaczynał się spinać.

Napięcie w pomieszczeniu sięgnęło zenitu.

Rottweiler podkradł się bliżej. Był zaledwie metr od niej. I warczał jak szalony.

- Jimbo, wyluzuj się – Sam próbował uspokoić kolegę.

Sam taki już był. Nie ważne co się działo, zawsze gotowy by ją chronić.

- Ona jest upierdliwa, ale nie miała niczego złego na myśli. Nadal jest moją siostrą. Po prostu odpuść.

- A właśnie, że miałam – Caitlin nie wytrzymała – Myślicie gnojki, że jesteście tacy fajni? Upalacie mojego młodszego brata? Jesteście tylko bandą

nieudaczników. I tak już zostanie. Chcecie spać swoje życie, w porządku, ale wara wam od Sama!

Jimbo wyglądał na jeszcze bardziej rozjuszonego. Zrobił kilka kroków w jej stronę.

- Kogo my tu mamy. Pani pedagog. Mamusia. Chce nam prawić kazania!

Cała banda wybuchła śmiechem.

- Może ty i twój pedalski chłopak spróbujecie mnie zmusić?

Jimbo podszedł bliżej i swoją wielką łapą szturchnął Caitlin w ramię.

To był duży błąd.

Gniew eksplodował wewnątrz Caitlin, nie mogła się już dłużej hamować. W

momencie, kiedy Jimbo dotknął jej ręki, chwyciła go z prędkością błyskawicy i wykręciła mu nadgarstek. Rozległ się głośny trzask łamanych kości.

Uniosła jego rękę wysoko za plecy i przewróciła na twarz.

W niecałą sekundę był na ziemi, leżał tam zupełnie bezradny. Podeszła i postawiła stopę na jego karku, przytrzymując go mocno na deskach.

Jimbo zawył z bólu.

- Jezu Chryste, moja ręka, moja ręka! Pieprzona dziwka! Złamała mi nadgarstek!

Sam stał jak wryty, podobnie jak cała reszta towarzystwa. Był w głębokim szoku. Nie miał pojęcia, jak jego mała siostra mogła pokonać w jednej chwili tak ogromnego faceta.

- Przepróż - Caitlin warknęła na Jimbo. Jej własny głos brzmiał obco.

Gardłowo. Zwierzęco.

- Przepraszam. Przepraszam, przepraszam - Jim skomlał żałośnie.

Caitlin chciała pozwolić mu odejść, mieć to już za sobą, ale z jakiegoś powodu nie mogła. Furia całkowicie przejęła nad nią kontrolę. Nie mogła odpuścić. Agresja nie przestawała w niej narastać. Chciała zabić tego chłopca, choć wiedziała, że nie ma to żadnego sensu.

- Caitlin!?! - Sam był przerażony – Proszę cię!

Ale Caitlin nie mogła go puścić. Naprawdę była gotowa go zabić.

W tym momencie usłyszała warczenie, a kątem oka zobaczyła psa. Ruszył na nią z zębami, rzucił się do gardła.

Caitlin zareagowała w mgnieniu oka. Puściła Jimbo i jednym ruchem złapał

psa w powietrzu. Dostała się pod niego, chwyciła za brzuch i rzuciła nim z całych sił. Przeleciał kilka metrów i z ogromnym impetem przebił swoim cielskim drewnianą ścianę stodoły. Pies zaskomlał i uciekł w popłochu z podkulonym ogonem.

Cały pokój gapił się na Caitlin. Nie mogli zrozumieć, co się tu wydarzyło. Z

całą pewnością mieli do czynienia z nadludzką siłą, ale nie mogli w to uwierzyć.

Wszyscy stali tam jak wryci, z otwartymi gębami.

Caitlin targały silne emocje. Złość. Smutek. Nie wiedziała co czuje i nie ufała już sobie w żaden sposób. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Musiała się stamtąd wydostać. Wiedziała, że Sam z nią nie pójdzie. Był teraz inną osobą.

Tak jak i ona.

ROZDZIAŁ TRZECI

Caitlin i Caleb szli powoli wzdłuż brzegu rzeki. Ta strona Hudson była bardzo zaniedbana, pełno tu opuszczonych fabryk i starych magazynów paliw. W całej okolicy nie było żywej duszy. Caitlin obserwowała dryfujące po wodzie kawałki kry, powoli topniejące w marcowym słońcu. W powietrzu rozchodził się cichy dźwięk pękającego lodu. Światło odbijało się w nim, tworząc magiczną aurę.

Miała ochotę wejść na jedną z tych brył i dać się jej ponieść w dal.

Szli w milczeniu, każdy w swoim własnym świecie. Caitlin była zdruzgotana tym, co zrobiła. Było jej wstyd przed Calebem, z powodu tego niekontrolowanego wybuchu agresji.

Wstydziała się też za swojego brata, za to jak się zachowywał, z kim się zadawał. Nigdy wcześniej go takim nie widziała. Była zażenowana tą całą sytuacją. Pierwsze spotkanie z jej rodziną nie poszło chyba najlepiej. Musiał mieć o niej fatalne zdanie. I to ją najbardziej bolało.

Nie wiedziała, co teraz począć. Sam był jej jedyną nadzieją na znalezienie ojca. Nie miała innych pomysłów. Gdyby było inaczej, sama by go znalazła już lata temu. Nie wiedziała, co powiedzieć Calebowi. Czy on teraz odejdzie?

Oczywiście, że tak. Nie mogła mu pomóc, a on musiał znaleźć ten miecz. Po co miałby z nią zostać?

Szli w milczeniu, a napięcie w niej rosło. Czowała, że Caleb tylko czeka na odpowiedni moment, by powiedzieć jej, że odchodzi. Jak wszyscy w jej życiu.

- Chcę cię przeprosić - powiedziała w końcu cichym głosem – Za moje zachowanie. Przykro mi, że straciłam nad sobą kontrolę.

- Nie potrzebnie. Nie zrobiłaś nic złego. Dopiero się uczysz. A jesteś niezwykle potężna.

- Przepraszam cię też za mojego brata.

Uśmiechnął się.

- Przez te wszystkie wieki mojego życia nauczyłem się, że rodziny nie da się kontrolować.

Szli dalej w milczeniu. Caleb obserwował rzekę.

- Więc? - zapytała w końcu - Co teraz?

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Zamierzasz wyjechać? - zapytała z wahaniem.

Zamyślił się.

- Czy wiesz cokolwiek o swoim ojcu? Gdzie może być? Może kojarzysz kogoś, kto go znał? Cokolwiek?

Już wcześniej o tym myślała. Nie było nic. Absolutnie nic. Pokręciła przecząco głową.

- Musi coś być – nie przestawał jej naciskać - Pomyśl trochę. Przypomnij sobie. Nie masz żadnych wspomnień?

Caitlin pograżyła się w myślach. Zamknęła oczy i rozpaczliwie próbowała przywołać w sobie wspomnienia tamtych lat. Tyle razy zadawała sobie te same pytania. Tak często widywała swojego ojca w snach, że nie wiedziała już, co było jawą a co snem. Potrafiła opisać każdy szczegół tego snu, bieg po polanie, ojca na jej skraju, to jak się oddalał w miarę, jak ona się zbliżała. Ale to nie była prawda. To tylko głupi sen.

Były też retrospekcje, wspomnienia z czasów, kiedy była małym dzieckiem, wspólne z nim wyjazdy. Chyba było wtedy lato, pomyślała. Przypominała sobie ocean. Oraz że było ciepło, bardzo ciepło. Nadal jednak nie była pewna, czy to wydarzyło się naprawdę. Granica między jawą a snem coraz bardziej się zacierała. I za nic nie mogła sobie przypomnieć, gdzie dokładnie była ta plaża.

- Tak mi przykro – powiedziała – Chciałbym móc powiedzieć ci więcej. Jeśli nie dla ciebie, to dla siebie samej. Po prostu nie wiem nic więcej. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. I nie wiem, jak go znaleźć.

Caleb odwrócił i znowu spojrzał na rzekę. Westchnął głęboko. Wpatrywał się w lód, a jego oczy znów zmieniły kolor, tym razem

na szaro-morski.

Caitlin czuła, że ich wspólny czas dobiega końca. W każdej chwili mógł

przekazać jej tą straszną wiadomość. Odchodził. Nie była mu już potrzebna.

Przez chwile chciała nawet wymyśleć jakieś kłamstwo o swoim ojcu, o tym gdzie może być. Ale wiedziała, że to nie ma sensu.

Chciało jej się płakać.

- Nie rozumiem - Caleb powiedział cicho, wciąż patrząc na rzekę - Byłem pewien, że jesteś Wybrana.

Bez słowa patrzył w przestrzeń. Nieznośna cisza trwała wieki.

- I czegoś jeszcze nie rozumiem - odwrócił się i spojrzał na nią. Jego wielkie oczy były hipnotyzujące.

- Gdy jestem przy tobie, czuje coś dziwnego. W innych zawsze mogę zobaczyć ich przeszłość, wszystkie sytuacje, w których nasze drogi się skrzyżowały, w każdym wcieleniu. Z tobą jest inaczej, wszystko jest zamglone. Niczego nie mogę odczytać. Nigdy wcześniej mnie to nie spotkało. To tak, jakby ... coś blokowało moje widzenie.

- Może nigdy wcześniej nasze drogi się nie spotkały.

Potrząsnął głową.

- To też bym wiedział. A u ciebie nie widzę nic. Nie widzę też naszej przyszłości. To też dla mnie nowość. W ciągu 3000 lat, nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Czuję się jakbym... skądś cię pamiętał. Czuję, że jestem o krok od

zobaczenia wszystkiego. To wszystko siedzi w moim umyśle. Ale nie mogę przełamać tej bariery. I to doprowadza mnie do szaleństwa.

- Więc, może jednak – zaczęła – może nic tam nie ma. Może istnieje tylko tu i teraz. Może nigdy nie było nic więcej i może nigdy niczego więcej nie będzie.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Znowu to zrobiła, palnęła coś bez zastanowienia. Dlaczego musiała to powiedzieć? Przecież myślała i czuła coś dokładnie przeciwnego. Chciała powiedzieć: *Tak. Ja też to czuję. Czuję, jakbyśmy od zawsze byli razem. I że na zawsze pozostaniemy razem.* Zamiast tego znowu powiedziała coś

głupiego. To dlatego, że była zdenerwowana. A teraz nie mogła cofnąć już tych słów.

To nie zniechęciło jednak Caleba. Zbliżył się do niej i powoli położył dłoń na jej policzku. Głębokie spojrzenie jego niebieskich oczu, przyprawiło ją o drżenie serca. Zalała ją fala gorąca. Czowała, że nogi jej miękną.

Czy on coś z niej wyczytać? Czy chciał się pożegnać?

Czy może ją pocałować?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bardziej niż ludzi Kyle nienawidził tylko polityków. Nie mógł znieść ich pozerstwa, obłudy, ich poczucia wyższości. Nie mógł znieść ich arogancji. W

dodatku zupełnie bezpodstawnej. Większość z nich żyła najwyżej 100 lat. On żył

już ponad 5000. Kiedy mówili o swoich “doświadczenia z przeszłości”, robiło mu się niedobrze.

Ironią losu było więc to, że Kyle co wieczór musiał obok nich przechodzić, za każdym razem jak wstawał ze snu i wychodził z podziemi przez Ratusz Miejski.

Klan Blacktide założył swoje siedlisko głęboko pod nowojorskim Ratuszem już wieki temu, i to przy ścisłej współpracy z politykami. W rzeczywistości, większość tych rzekomych polityków, krążących po korytarzach, było również członkami jego klanu. Realizowali program ich społeczności nie tylko w mieście, ale i w całym stanie. Robienie interesów z ludźmi uchodziło w tej sytuacji za zło konieczne.

Kyle’a przechodziły ciarki na myśl o tym, jak wielu z tych polityków było prawdziwymi ludźmi. Nie mógł znieść ich obecności w tym budynku. Szczególnie denerwowało go, gdy podchodzili zbyt blisko niego. Idąc korytarzem uderzył

barkiem jakiegoś człowieka.

- Hej - krzyknął mężczyzna. Ale Kyle nie zareagował. Zacisnął tylko szczęki i skierował się w stronę szerokich, podwójnych drzwi na końcu korytarza.

Kyle pozabijałby ich wszystkich, gdyby tylko mógł. Ale nie wolno mu było.

Jego klan odpowiadał przed Radą Najwyższą, a ta wciąż jeszcze nie wydała na to zgody. Czekali na odpowiedni moment, by ostatecznie zgładzić rasę ludzką. Kyle czekał na ten moment od tysięcy lat, i nie wiedział, jak długo będzie musiał

jeszcze czekać. Było, rzecz jasna, kilka pięknych chwil w historii, kiedy byli naprawdę blisko, kiedy dostali zielone światło. W 1350 roku w Europie, kiedy za wspólnym porozumieniem rozprzestrzynie zarazę, znaną jako Czarna Śmierć. To był wspaniały czas. Kyle uśmiechnął się na samo wspomnienie.

Było też kilka innych miłych momentów w dziejach ludzkości. Na przykład Średniowiecze, kiedy rozpętali wojnę totalną w Europie, gwałcili i zabijali miliony. Kyle uśmiechnął się jeszcze szerzej. To były jedne z najpiękniejszych wieków jego życia.

Ale w ciągu ostatnich kilkuset lat, Najwyższa Rada stała się żałośnie słaba.

Jakby zaczęli bać się ludzi. II wojna światowa była przyjemną odmianą, ale jakże ograniczoną, jak krótką. Pragnął więcej. Od tamtego czasu nie było żadnych poważniejszych plag, spektakularnych wojen. Wyglądało to tak, jakby rasa wampirów była sparaliżowana, niezdolna do wykonania ruchu, przytłoczona rosnącą liczebnością populacji i mocy ludzkiej rasy.

Teraz wszystko miało się zmienić. Kyle dumnym krokiem opuścił budynek Ratusza. Żwawo ruszył w kierunku South Street Seaport, gdzie czekać miał na niego ogromny ładunek. Dziesiątki tysięcy nienaruszonych skrzynek z genetycznie zmodyfikowaną dżumą. Doskonale zachowany materiał przechowywali od setek lat w Europie. Teraz poddali go dalszej modyfikacji, by stał się całkowicie odporny na antybiotyki. I to wszystko miało należeć do Kyle'a. Mógł zrobić z tym, co tylko chciał. Mógł rozpętać nową wojnę na kontynencie amerykańskim. Na swoim terytorium.

Pamięć po nim zostanie zachowana na wieki.

Na myśl o tym Kyle roześmiał się demonicznie.

Plan będzie musiał zgłosić Rexiusowi, liderowi swojego sabatu, ale to była tylko formalność. W praktyce to on będzie wykonawcą całego planu. Tysiące wampirów z jego własnego sabatu oraz ze wszystkich sąsiednich sabatów, będzie musiało przed nim odpowiadać. Będzie potężniejszy, niż kiedykolwiek wcześniej.

Kyle miał już plan uwolnienia zarazy: część zasobów rozpyli na Penn Station, drugą część na Grand Central, a trzecią na Times

Square. Wszystko to w odpowiednim czasie, w godzinach szczytu. To powinno załatwić sprawę. Z jego szacunków wynikało, że w przeciągu kilku dni, zakażona powinna być już połowa Manhattanu, w ciągu kolejnego tygodnia, cała reszta miasta. Ta zaraza rozprzestrzenia się szybko, szczególnie że rozpylona będzie w powietrzu.

Ci żałośni ludzie będą próbowali odgrodzić miasto. Zamkną mosty i tunele.

Wstrzymają ruch powietrzny i wodny. A tego właśnie chciał Kyle. Odgrodzeni od świata ludzie, nie będą mieli drogi ucieczki przed terrorem. Epidemia będzie dziesiątkowała ludność, a Kyle i tysiące jego sług rozpętają wojnę, jakiej świat dotąd nie widział. Przeprowadzenie czystki w Nowym Jorku nie powinno zająć im więcej, niż kilka dni.

I wtedy miasto będzie ich. Nie tylko *pod* ziemią, ale też nad ziemią. To byłby nowy początek, zaproszenie, inspiracja dla każdego klanu w każdym mieście, w każdym kraju, do działania. W ciągu kilku tygodni Ameryka będzie ich, a może nawet cały świat. I Kyle będzie tym, od którego wszystko się zaczęło. To o nim pamięć będzie trwać po wsze czasy. Ten, który na zawsze wyprowadził wampiry spod ziemi.

A tych nielicznych ludzi, którym uda się przetrwać, zawsze można do czegoś wykorzystać. Można by wziąć ich w niewole i uwięzić w ogromnym gospodarstwie hodowlanym. Kyleowi podobał się ten pomysł. Dbałby o to, by ludzie tam uwięzieni, byli dobrze wykarmieni. A kiedy jego rasa miałaby chęć na przekąskę, udawałaby się tam celem konsumpcji. Tak, ludzie byliby dobrymi niewolnikami. I całkiem smakowitym posiłkiem, jeśli hodowano ich prawidłowo.

Kyleowi pocięła ślinka. Czekająca go wspaniała przyszłość. I nic już nie mogło stanąć mu na drodze.

Nic, z wyjątkiem tego cholernego Białego Klanu z Cloisters. Tylko oni mogli mu zaszkodzić. Ale i z nimi sobie poradzi. Musi tylko odnaleźć tą gówniarę Caitlin i jej zdradzieckiego towarzysza-Caleba, a oni doprowadzą go już do miecza. A wtedy Biały Klan będzie bezbronny. Wtedy nic go już nie zatrzyma.

Kyle rozgorzał z wściekłości na myśl o tej głupiej dziewczynie, której udało się wymknąć z jego pułapki. Zrobiła z niego głupca.

Skreślił w stronę Wall Street, przeszedł na drugą stronę ulicy i z premedytacją wpadł z impetem na idącego w przeciwnym kierunku

postawnego mężczyznę w dobrze skrojonym garniturze. Mężczyzna polecił na ścianę budynku.

- Hej kolego, masz jakiś problem!? – krzyknął zaczepnie mężczyzna.

Kyle odwarknął mu w taki sposób, że człowiekowi natychmiast zrzęła mina.

Kyle wyglądał na faceta, którego nie chcesz prowokować. Mimo wiec swojej solidnej postury, mężczyzna odwrócił się na pięcie i oddalił w popłochu.

Wiedział, że tej bijatyki by nie wygrał.

Poturbowanie człowieka sprawiło, że Kyle poczuł się trochę lepiej, choć wściekłość nadal się w nim żarzyła. Gdyby tylko ta dziewczyna dostała się w jego ręce. Zabijałby ją powoli.

To nie był jednak dobry moment, by zawracać sobie tym głowę. Miał

ważniejsze sprawy do załatwienia. Przystań. Przesyłka.

Tak, wziął głęboki oddech i powoli znów się uśmiechnął. Przesyłka znajdowała się zaledwie kilka przecznic od niego.

Dla niego to było jak gwiazdkowy prezent.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sam obudził się z nieznośnym bólem głowy. Otworzył jedno oko i uświadomił

sobie, że spędził noc na podłodze stodoły. Było zimno. Żaden z jego kumpli nie zadał sobie trudu, by rozpać na noc ogień. Wszyscy byli zbyt naćpani.

Co gorsza, pokój wirował wokół niego jak oszalały. Sam uniósł lekko głowę, wyciągając kawałek słomy z ust i poczuł straszny ból w skroniach. Spał w dziwnej pozycji, przez co szyja bolała go przy każdym najmniejszym skręcie.

Przetarł oczy i otrzepał ubranie z pajęczyn. Zeszłej nocy zdecydowanie przesadził. Pamiętał bongo. Potem piwo, następnie Southern Comfort, i jeszcze więcej piwa. Pamiętał jak wymiotował. Potem znowu palenie, by trochę się wyluzować. Przytomność musiał stracić jakoś w środku nocy. Kiedy i gdzie, nie mógł sobie przypomnieć.

Umierał z głodu, a jednocześnie mdliło go okrutnie. Czuł, że mógłby zjeść stos naleśników i tuzin jaj, ale potem natychmiast to

wszystko zwrócić. W sumie to nawet teraz mógłby puścić pawia.

Próbował przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru.
Pamiętał

Caitlin. Tego nie mógł zapomnieć. Totalnie go to rozwaliło. To, że tu przyjechała.

No i to jak załatwiła Jimbo. I psa. Co, do cholery? Czy to wszystko naprawdę się stało?

Odwrócił głowę i zobaczył w ścianie dziurę. Wlatujące przez nią zimne powietrze, utwierdził go w przekonaniu, że jednak nie zwariował. Nie wiedział

tylko, jak to wszystko sobie wytłumaczyć. Kim w ogóle był ten koleś, z którym tu przyszła? Facet wyglądał jak napastnik z NFL, tylko był blady jak diabli.

Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z Matrixa. Sam nie mógł nawet określić ile ten gość miał lat. Co dziwniejsze, miał wrażenie, że skądś go znał.

Sam rozejrzał się po stodołę i zobaczył swoich kumpli śpiących na podłodze.

Większość z nich głośno chrapała. Podniósł swój zegarek z podłogi - była 11 rano.

Będą spali jeszcze przez dłuższy czas.

Sam przeszedł przez stodołę i chwycił butelkę wody. Już miał się z niej napić, kiedy spojrzał w dół i zobaczył, że była pełna niedopałków. Wzdrygnął się i rozejrzał za czymś innym do picia. Kątem oka zobaczył na wpół pusty baniak z wodą. Chwycił go i pił tak długo, aż prawie go opróżnił.

Pozbywając się suchości w gardle, poczuł się trochę lepiej. Wziął głęboki oddech i położył dłoń na skroni. Pokój wciąż wirował. W pomieszczeniu unosił

się straszny smród. Musiał stamtąd wyjść.

Sam przeszedł przez pokój i rozsunął drzwi do stodoły. Zimne poranne powietrze dobrze mu zrobiło. Całe szczęście niebo dziś było pochmurne. Na

podwórku wciąż jednak było zbyt jasno, by czuć się komfortowo. I znowu padał

śnieg. Super. Więcej śniegu.

Kiedyś Sam uwielbiał śnieg. Szczególnie, kiedy padało tak, że mógł nie iść do szkoły. Pamiętał, jak chodził wtedy z Caitlin na pobliskie wzgórze i zjeżdżał z niego na sankach przez pół dnia.

Teraz jednak prawie w ogóle nie chodził do szkoły, więc przestało to mieć znaczenie. Teraz, śnieg był wyłącznie wrzodem na dupie.

Sam sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmiętą paczkę papierosów. Wsadził

jednego do ust i podpalił.

Wiedział, że nie powinien palić, ale wszyscy jego kumple palili i cały czas go do tego namawiali. Wreszcie się skusił. I tak to się zaczęło już kilka tygodni temu.

Teraz nawet to polubił. Często miał kaszel, płuca go bolały, ale co tam. Wiedział, że to go zabija, ale przecież i tak musiał na coś umrzeć. Coś mu podpowiadało, że i tak nie dożyje 20-tych.

Powoli zaczynał jaśniej myśleć i znowu przypomniał sobie Caitlin. Czuł się naprawdę podle. Przecież tak bardzo ją kochał... A ona przejechała taki kawał, żeby go zobaczyć. Dlaczego pytała go o ojca? Czy ta część tylko mu się to przyśniła?

Nie mógł uwierzyć, że tu była. Zastanawiał się, czy ich matka się wściekła, kiedy dowiedziała się, że Caitlin też wyjechała. Pewnie tak. Pewnie teraz szaleje z nerwów. Pewnie próbuje ich odnaleźć. Chociaż, kto wie. Może wcale nie? W

sumie, jakie to w ogóle ma znaczenia. Sama do tego doprowadziła.

Ale Caitlin. Z nią było inaczej. Nie powinien był tak jej potraktować. Mógł

być miłszy. To dlatego, że był tak naćpany. Wciąż czuł się źle. W głębi serca chciał, żeby wszystko wróciło do normy, chciał, żeby było jak dawniej. A ona była tym, co dawało mu tą namiastkę normalności.

Czemu wróciła? Chce zamieszkać znowu w Oakville? Byłoby wspaniale.

Mogliby zamieszkać razem. Tak, im więcej Sam o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Musiał z nią pogadać.

Sam wyciągnął swój telefon i zobaczył migające światełko. Odblokował

telefon i zobaczył nową wiadomość na Facebooku. To była Caitlin. Czekala na niego w stodole.

Wspaniale. Nie ma na co czekać.

*

Sam zaparkował i przeszedł przez trawnik w stronę starej stodoły. “Stara stodoła”, nic więcej nie musieli dodawać. Oboje wiedzieli, co to znaczy. To było miejsce, do którego zawsze chodzili, kiedy mieszkali jeszcze w Oakville. Stodoła

znajdowała się na terenie nieruchomości wystawionej na sprzedaż lata temu.

Stojący tam dom był zdecydowanie za drogi na kieszeń okolicznych mieszkańców.

Z tego, co wiedzieli, nikt nigdy nawet nie przyszedł go obejrzeć.

Na tyłach posesji stała ta bombowa stodoła. Sam odkrył ją pewnego dnia i pokazał ją Caitlin. Razem doszli do wniosku, że nikt się nie pogniewa, jeśli czasem sobie tam posiedzą. Oboje nienawidzili tej ciasnej przyczepy, w której musieli gnieździć się z mamą. Pewnej nocy siedzieli w niej do późna, rozmawiali, opiekali nad ogniem pianki, aż wreszcie oboje zasnęli. Od tego czasu przebywali tam bez przerwy, zwłaszcza gdy w domu robiło się nie ciekawie. Chociaż oni mieli z tego miejsca pożytek. Po kilku miesiącach, zaczęli czuć się tu jak u siebie.

Sam szedł przez posesję wartkim krokiem, nie mogąc doczekać się spotkania z Caitlin. Teraz mógł jaśniej myśleć, zwłaszcza po tej dużej kawie z Dunkin

‘Donuts, którą wypił po drodze. Miał świadomość tego, że w wieku 15 lat nie mógł jeszcze prowadzić, ale na prawo jazdy musiałby czekać jeszcze kilka lat, a na to nie miał najmniejszej ochoty. Do tej pory jeszcze nigdy nie został

zatrzymany. Umiał prowadzić. Po co więc czekać? Kumple pozwalali mu pożyczyć swoją półciężarówkę i to mu w zupełności wystarczało.

Podchodząc do stodoły Sam zastanawiał się czy ten wielki koleś też tam będzie. W tym facecie było coś dziwnego. Nie mógł zrozumieć, co Caitlin z nim robiła. Był jej chłopakiem? Caitlin zawsze mówiła mu wszystko. Jak to się stało, że nigdy wcześniej o nim nie słyszał?

I dlaczego Caitlin nagle zaczęła pytać go o ojca? Sam był na siebie wściekły, szczególnie że faktycznie miał dla niej wieści. Wreszcie dostał odpowiedź do jednego z tych ludzi z Facebooka. To naprawdę był ich ojciec. Powiedział, że za nimi tęsknił i że chciałby ich

zobaczyć. Nareszcie. Po tych wszystkich latach. Sam już mu odpisał. Zaczęli ze sobą korespondować. Tata chciał go zobaczyć. Ich oboje. Dlaczego jej tego nie powiedział? Cóż, przynajmniej może powiedzieć jej to teraz.

Śnieg skrzypiał pod Sama butami i sypał mu na głowę, a on czuł się coraz bardziej szczęśliwy. Przy Caitlin wszystko może się jeszcze ułożyć. Być może pojawiła się w odpowiednim czasie, może mogła mu pomóc wyrwać się z tego marazmu. Przy niej zawsze stawał się lepszy. Może to była jego szansa.

Sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa, ale powstrzymał się. Może zacznie małymi krokami.

Sam zgniótł paczkę i rzucił ją w trawę. Już jej nie potrzebował. Był silniejszy.

Otworzył drzwi stodoły, gotowy zaskoczyć Caitlin i rzucić się jej w ramiona.

Powie jej, jak bardzo jest mu przykro. Ona też go przeprosi i wszystko będzie jak dawniej.

Ale stodoła była pusta.

- Halo? - zawołał Sam, choć wiedział już że nikt mu nie odpowie.

Zauważył lekko tłący się ogień, do którego od kilku godzin nie było dorzucane. Po nich nie było tam już śladu. Caitlin odeszła. Pewnie z tym kołosem. Dlaczego nie mogła na niego zaczekać? Dać mu szansy? Tych kilku godzin?

Sam poczuł się tak, jakby dostał właśnie potężnego kopa w jaja. Jego własna siostra. Nawet jej już nie obchodził.

Musiał usiąść. Spoczął na stogu siana i oparł głowę na rękach. Znowu zaczęło go mdlić. Ona naprawdę to zrobiła. Zostawiła go. Czyżby tym razem na dobre? W

głębi duszy czuł, że tak było.

Sam wziął w końcu głęboki oddech. No dobrze.

Poczuł, że teraz musi być twardy. Został sam. Wiedział, jak sobie z tym poradzić. Nie potrzebował nikogo.

- Cześć – odezwał się nagle piękny, miękki, kobiecy głos.

Sam spojrział w górę, przez sekundę mając złudną nadzieję, że to Caitlin. To był najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszał.

Dziewczyna stała w wejściu do stodoły, opierając się niedbale o ścianę.

Wow. Ona była wprost oszałamiająca. Miała długie, faliste, rude włosy i jasnozielone oczy. Idealne ciało. Była chyba w jego wieku, może kilka lat starsza.

Wow. Była zniewalająca.

Sam wstał.

Trudno było w to uwierzyć, ale po sposobie, w jaki na niego patrzyła, można było wywnioskować, że flirtowała z nim. Nigdy wcześniej żadna dziewczyna tak na niego nie patrzyła. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Mam na imię Samantha - powiedziała słodko, robiąc krok do przodu i wyciągając rękę.

Sam podszedł i uściskał jej dłoń. Miała taką miękką skórę.

Czy on śnił? Co taka dziewczyna w ogóle robiła na takim zadupiu? Jak się tu dostała? Nie słyszał samochodu, a nawet żadnych kroków. Niczego nie rozumiał.

- Jestem Sam - powiedział.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając białe zęby. Jej uśmiech był niesamowity. Kiedy spojrzała mu w oczy, Sam poczuł jak miękną mu kolana.

- Sam i Samantha – powtórzyła – Ładnie to brzmi.

Zaniemówił.

- Zobaczyłam cię tu i pomyślałam, że musi ci być zimno – powiedziała -

Chcesz wejść?

Sam był w szoku, nie miał pojęcia o co jej chodzi.

- Wejść gdzie?

- No do domu, oczywiście - odpowiedziała, uśmiechając się szerzej, jakby to

była najbardziej oczywista rzecz na świecie - Wiesz, taki ze ścianami i oknami...

Sam starał się zrozumieć, o czym ona mówi. Zaprasza go do domu? Do tego, który był na sprzedaż? Dlaczego w ogóle go dokądś zaprasza?

- Właśnie go kupiłam - wyjaśniła, jakby w odpowiedzi na jego myśli
- Nie miałam jeszcze okazji zdjąć znaku „na sprzedaż” sprzed wejścia - dodała.

Sam był w szoku.

- Kupiłaś ten dom?

Przytaknęła.

- Musze gdzieś mieszkać. Chodzę do Oakville High. Chcę dokończyć ostatni rok.

Wow. To wszystko wyjaśnia.

Chodziła do Oakville. Była w ostatniej klasie. Więc może on też wróci do szkoły. W sumie, jeśli ona by tam była, to dlaczego nie?

- Spoko - powiedział, jakby od niechcenia - Czemu nie? Chętnie obejrzę ten dom.

Odwrócili się i razem ruszyli w kierunku domu. Mijając zmiętą paczkę papierosów, Sam schylił się i podniósł ją z ziemi. Skoro Caitlin tu nie ma, to kogo to obchodzi?

- Znaczy, że jesteś tutaj nowa? - zagadał Sam.

Wiedział, że to głupie pytanie. Przecież już mu to powiedziała. Ale nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Nigdy nie był dobry w podtrzymywaniu konwersacji.

Ona tylko się uśmiechnęła.

- Coś w tym stylu.

- Dlaczego tutaj? – kontynuował - To znaczy, bez urazy, ale to miasto jest do bani.

- To długa historia - powiedziała tajemniczo.

Nagle do niego trafiło.

- Czy ty przed chwilą powiedziałaś, że kupiłaś ten dom? W sensie ty? Czy chodziło ci o twoich rodziców?

- Nie, mówiłam o sobie – odpowiedziała – Sama go kupiłam.

Wciąż nie mógł zrozumieć. Nie chciał wyjść na idiotę, ale musiał się upewnić.

- Znaczy, że mieszkasz tu sama? A twoi rodzice?

- Moi rodzice nie żyją – wyjaśniła - Kupiłam ten dom dla siebie. Mam już 18

lat. Jestem dorosła. Mogę robić, co chcę.

- Wow – Sam pokręcił głową z niedowierzaniem – Ale ci fajnie. Masz cały dom dla siebie. Emmm. To znaczy, przykro mi z powodu twoich rodziców. Ja po prostu nie znam nikogo w naszym wieku, kto byłby właścicielem domu.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

- Mam dla ciebie jeszcze kilka innych niespodzianek.

Otworzyła drzwi i patrzyła, jak z ochotą przekraczał próg domu.

Był taki naiwny.

Oblizwała wargi, czując narastający w sobie głód.

To będzie znacznie łatwiejsze niż myślała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stali na brzegu rzeki, patrząc sobie w oczy. Caitlin cała drżała z nerwów, przekonana o rychłym odejściu Caleba.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Spojrzał na jej szyję i oniemiał z wrażenia.

Poczuła jego palce na swoim dekolcie. Czowała metal. Jej naszyjnik. Zapomniała już o nim.

Caleb przyglądał mu się w milczeniu.

- Co to jest? – zapytał wreszcie.

Podniosła rękę i położyła na jego dłoni. To był jej krzyż, jej mały, srebrny krzyżyk.

- To tylko stara pamiątka - odpowiedziała.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że krzyż ten był w jej rodzinie od pokoleń.

Nie pamiętała, kto jej go dał, ani kiedy, ale wiedziała, że jest to coś naprawdę starego. I że należał do kogoś od strony ojca. Tak. To było coś. Może nawet jakiś trop.

Caleb nie mógł oderwać od niego wzroku.

- To nie jest zwykły krzyż – powiedział - Jego krawędzie są zaokrąglone. Nie widziałem niczego podobnego od tysiąca lat. To jest krzyż świętego Piotra –

patrzył na niego jak zahipnotyzowany – Skąd go masz?

- Zawsze go miałam – odparła jeszcze bardziej podekscytowanym głosem.

- To jest starożytny znak niezwykle potężnego klanu z Jerozolimy. Krążyły nawet pogłoski, że ten klan nigdy nie istniał. Jak zdobyłaś ten krzyż?

Czuła, jak serce jej wali.

- Ja ... nie wiem. Powiedziano mi, że należał do mojego ojca. Ja ... nawet o tym nie myślałam...

Caleb powoli odwrócił krzyżyk i szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Tu jest jakiś napis.

Przytaknęła. Tak. Było tam coś wyryte, ale co?

- To chyba po grecku - powiedziała.

- Łacina – poprawił ją – „*Spina rosam et congregari Salem*” - przeczytał, a potem spojrzał na nią, jakby szukając zrozumienia.

Ona jednak nie miała zielonego pojęcia, co to znaczy.

- Tu jest napisane: „Róża i Cierń spotkają się w Salem.”

Popatrzyli na siebie.

Z całych sił próbowała zrozumieć, co to może znaczyć. On cały rozpromieniał.

- To musiał być twój ojciec. Ten napis jest pradawną wampirzą zagadką.

Podpowiada ci, jak go znaleźć. Mówi nam, dokąd powinniśmy się udać.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Salem?

Pokiwał głową z powagą i położył rękę na jej ramieniu.

- Bardzo mi na tobie zależy. Nie chciałbym, żeby ktoś cię skrzywdził. To jest moja wojna. I nie chcę cię w nią wciągać. To będzie bardzo niebezpieczna wyprawa, a ty nie jesteś w pełni wampirem. Może ci się coś stać. Nie musisz ze mną iść, zwłaszcza teraz, gdy wiem już, gdzie zacząć poszukiwania. Zrobiłaś dla mnie już tak wiele...

Caitlin poczuła jak świat jej wiruje. Czy on już jej nie chce? Czy tylko próbuje ją chronić?

- Wiem, że mam wybór – powiedziała – Ale chcę wyruszyć z tobą.
Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż w końcu skinął głową.

- OK - powiedział.

- Poza tym – dodała z uśmiechem – jak mogłabym nie przedstawić cię swojej rodzinie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kyle szedł podekscytowany brukowanymi uliczkami South Street Seaport, wciąż przyspieszając kroku. Wyobrażał sobie ten moment od lat.

Dostrzegł go, jak tylko wyszedł zza rogu. Statek. Jego statek.

Udając zabytkowy żaglowiec z jakiegoś europejskiego kraju, miał spędzić w Seaport cały tydzień. Ludzie są tacy głupi. Uwierzyliby w największą bzdurę. Byli tacy ufni. Nie przyszło im nawet do głowy, by sprawdzić ładunek zabytkowego okrętu. By upewnić się, że to nie Koń Trojański, niosący w sobie śmierć.

Jakże groteskowo wyglądali ci bezmyślni turyści, tłumnie podziwiający domniemany pomnik historii. Głupcy, gdyby tylko wiedzieli.

Kyle łokciami torował sobie drogę w tłumie, kierując się w dół alejki.

Czterej potężni mężczyźni stali na straży wejścia, lecz gdy tylko go spostrzegli, skinęli głową z szacunkiem i szybko rozsunęli się na boki. Wszyscy byli członkami jego rodu. Wszyscy ubrani na czarno i tak wysocy, jak on. Kyle wyczuwał w nich tą samą nienawiść, którą pielęgnował w sobie. Od razu poczuł

się swobodniej. Zawsze czuł się lepiej wśród swoich.

Rozstąpili się przed nim z szacunkiem, a gdy ten wszedł na pokład, ponownie zagrodzili wejście.

Kyle, bez chwili namysłu, przeszedł na rufę statku. Na jego widok, zgromadzona tam załoga wampirów, natychmiast wzięła się do roboty. Obniżyli ogromną rampę i zaczęli opuszczać ciężki drewniany kontener. Potrzebnych było dziesięciu mężczyzn, by powoli opuścić ładunek w dół rampy i dalej na chodnik.

Kyle podszedł bliżej.

- Mistrzu - niski, łysiejący wampir podbiegł do Kyla i pokłonił mu się.

Wydawał się być zdenerwowany, miał rozbiegany wzrok i pociał się obficie.

Musiał obawiać się nadejścia policji. Chyba od dłuższego czasu wypatrywał

Kyle'a w tłumie. I dobrze. Kyle lubił, jak się na niego czekało.

- Wszystko jest tutaj – bezzwłocznie poinformował mężczyzna -

Sprawdziliśmy wszystko kilka razy. Cały ładunek dojechał w nienaruszonym stanie, mój Mistrzu.

- Chcę go zobaczyć - zdecydował Kyle.

Wampir pstryknął tylko palcami i już miał do pomocy czterech rosłych mężczyzn.

Unieśli łomy i wyłamali jedną z drewnianych desek. Chwile im zajęło, zanim przedarli się przez warstwy grubego przemysłowego plastiku.

Wreszcie Kyle mógł sięgnąć do środka. Pod palcami poczuł zimną, szklaną fiolkę, którą wyciągnął ją na wierzch.

Podniósł ją do światła, uważnie badając jej zawartość.

Tak właśnie to pamiętał. Mikroby dzumy roily się w rękę.

Uśmiechnął się powoli.

Teraz jego wojna może się rozpocząć.

*

Kyle nie marnował czasu. W ciągu kilku godzin był już na Penn Station, gotowy do pracy. Gdy przemierzał stację wypełnioną ludźmi, jego podekscytowanie sięgało zenitu. Wszedł prosto w hordy ludzi, w godzinach szczytu, kiedy wszyscy biegi do domów, do swoich żalośnych rodzin, małych domków, mężów i żon. Czuł, że przepelnia go nienawiść.

Kyle nie znosił tego całego motłochu, przemieszczającego się z jednego miejsca na drugie, stwarzającego pozory, że ich życie miało jakiegokolwiek znaczenie, że ich obecność na ziemi miała jakiegokolwiek wpływ na losy świata.

Kyle przeżywał i pokonywał ich wszystkich, pokolenie za pokoleniem, od tysięcy lat. Nawet bardziej znaczący ludzie w historii, tacy jak Cezar i Stalin i - jego ulubiony, Hitler, zostali praktycznie zapomniani. Kiedyś byli wielcy, ale ich chwala nie trwała zbyt długo. Ich fanatyczne ruchy, ich szaleńcze wręcz

poczucie własnej wartości, odrażały go. Trzeba było ich wtedy zabić.

Teraz zbliżał się moment, na który Kyle czekał od dawna. W otoczeniu niewielkiej świty wampirów, przedarł się sprawnie przez tłum. Każdy z ośmiu towarzyszących mu wampirów niósł plecak. A w każdy z nich znajdowało się 300

fiolek z zarazą. Już za chwilę podzielić się mieli na cztery zespoły, a każdy z tych zespołów, rozprzestrzenić miał swój ładunek śmiertelnej substancji w innym końcu stacji. Jeden zespół odpowiadać będzie za samą stację, drugi za Path do Grand Central, kolejny za linie metra, A, C lub E, a ostatni za linię pociągu 1 lub 9. Kyle zastrzegł dla siebie najlepszą lokalizację: Amtrak. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak daleko i szybko rozniesie się taka dawka zarazy. Jak dobrze pójdzie, epidemia mogłaby dotrzeć nawet do innych miast.

Słudzy Kyle'a pracowali równie ciężko na innych stacjach metra w całym mieście, na Grand Central i na Times Square.

Kyle skinął głową i zespoły natychmiast rozdzieliły się. Kyle szedł samotnie w kierunku wyjścia na Ósmą Aleję.

Zszedł ruchomymi schodami do końca peronu, a następnie jeszcze dalej, aż do miejsca, gdzie nikt go już nie widział. Jednym susem zeskoczył na tory. Gdy wylądował, szczury rozbiegły się w popłochu. Chyba poczuły jego obecność. Co za ironia, Kyle pomyślał. Przecież to szczury rozniosły zarazę na samym początku.

Teraz same od niej uciekają.

Brzegiem tunelu Kyle wchodził coraz głębiej w ciemność. Szedł dalej, aż w końcu doszedł do skrzyżowania, gdzie spotykały się wszystkie tory. Sięgnął do plecaka i wyjął fiolkę. Był niezwykle podekscytowany. Postawił plecak na ziemi i zabrał się do roboty.

Po tylu wiekach oczekiwania, wreszcie miała nadejść ta wiekopomna chwila.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sam nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Był oprowadzany po tym wspaniałym domu przez zjawiskowo piękną dziewczynę ze starszej klasy, która na dodatek, zdawała się na niego lecieć. Była niesamowicie seksowna. I naprawdę fajna. No i miała ten dom cały dla siebie.

To było jakby anioł zstąpił z nieba wprost w jego ramiona. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Tego właśnie teraz najbardziej potrzebował. Obawiał się, że w każdej chwili jego szczęście może się odwrócić i ona wyprosi go z domu. Póki co, nie miała chyba takiego zamiaru. Co więcej, wydawało się, że potrzebuje towarzystwa. I nawet nie miało dla niej znaczenia, że spotkała go w stodole.

Może nawet ją to kręciło. Nie mógł w to uwierzyć. Jeszcze nigdy w życiu nie przytrafiło mu się nic podobnego.

Przechadzając się po pokojach zauważył, że dom był nadal prawie zupełnie pusty. Nie miała jedzenia w lodówce i prawie żadnych mebli. Pod ścianami stało tylko kilka krzeseł i jakaś mała kanapa. To się nawet dobrze składa, bo mógł się jej do czegoś przydać. Jeśli by chciała, oczywiście. Mógł jej pomóc się urządzić, przenieść rzeczy, kupić jedzenie, łopatę, cokolwiek było jej potrzebne. Byłoby super, gdyby chociaż pozwoliła mu spać w swojej stodole. A jeśli mógłby zostać w tym domu, to jeszcze lepiej. Naprawdę ją polubił. Był samotny. Uświadomił

sobie to teraz. Naprawdę lubił być przy niej.

- A to jest pokój dzienny – wprowadziła go do ostatniego pokoju. Był zupełnie pusty, bez żadnych obrazów na ścianach, dywanu na podłodze - tylko małe siedzisko po środku.

- Sorry, nadal jest tu pusto – powiedziała - Właśnie się sprowadziłam. Nie chciałem przenosić tu moich starych rzeczy. Pomyślałam, że to będzie zupełnie nowy początek.

Sam stał tam przytakując. Pragnął zadać jej całą masę pytań: Skąd jesteś? Jak twoi rodzice umarli? Dlaczego przyjechałaś właśnie tu?

Nie chciał być przy tym zbyt nachalny, więc stał tam tylko kiwając głową, jak idiota.

Był też bardzo zestresowany. Strasznie mu się podobała, bardziej niż jakakolwiek inna dziewczyna w całym jego życiu, a on zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Miał wrażenie, że cokolwiek powie i tak wyjdzie głupio.

- Chcesz usiąść? – Samantha obesła kanapę i rozsiadła się w niej wygodnie.

Przytaknął.

Próbował powstrzymać emocje. Chciał wyglądać, jakby szedł tam od niechcienia. Usiadł obok niej na małej kanapie, tak że jego noga ocierała się o jej

co kilka chwil. Kiedy poczuł zapach jej perfum, serce zaczęło mu szybciej bić.

Nie mógł już jasno myśleć.

Założyła nogę na nogę, odwróciła się i spojrzała na niego. Siedziała tam uśmiechnięta, patrząc mu w oczy. Sam zastanawiał się po raz setny, czy to wszystko było tylko snem, czy może kumple zrobili mu kawał.

- A więc – zaczęła – opowiedz mi o sobie.

- Co chciałabyś wiedzieć? – zapytał zakłopotany.

- Na przykład, czy jesteś stąd?

Sam myślał, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nie było to wcale takie proste.

- Nie, nie do końca. Chociaż może trochę tak, bo tutaj mieszkałem dłużej, niż w jakimkolwiek innym miejscu. Często się przeprowadzaliśmy. Moja rodzina. To znaczy ja, moja siostra i moja mama.

- A co z twoim tatą? - zapytała natychmiast.

Sam wzruszył ramionami.

- Nigdy go przy nas nie było. Mówiono mi, że wyprowadził się, kiedy byłem mały. Naprawdę nie pamiętam.

- Nie próbowałeś go odnaleźć?

Sam spojrzał jej w oczy, zastanawiając się, czy przypadkiem nie czyta mu w myślach.

- To zabawne, że pytasz – powiedział – jasne, że próbowałem. Zawsze chciałem się czegoś o nim dowiedzieć. Bez skutku. Aż do ubiegłego tygodnia.

Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Sam był nieco zaskoczony jej reakcją. Nie mógł zrozumieć, dlaczego aż tak ją to obchodzi?

- Naprawdę? – zapytała nie kryjąc zainteresowania – Więc gdzie on jest?

- No, dokładnie to nie wiem. Rozmawialiśmy tylko na Facebooku. Mówił, że chce się ze mną zobaczyć.

- Tak? Więc dlaczego się z nim nie spotkasz?

- Spotkamy się. Tylko że to wszystko stało się tak szybko. Muszę to sobie wszystko poukładać.

- Na co czekasz? - zapytała, uśmiechając się.

W sumie, miała rację. Na co on czekał?

- Dlaczego mu nie odpiszesz? Nie zaplanujesz spotkania? Wiesz, bez planu, bez tego pierwszego kroku, nic się nie wydarzy. Jeśli chodziłoby o mojego ojca, napisałabym do niego w tej chwili – ponaglała.

Sam spojrzął jej w oczy i poczuł jak zmienia się jego tok myślenia. Wszystko, co powiedziała miało sens. To dziwne, ale za każdym razem, kiedy coś mówiła, jej zdanie stawało się i jego zdaniem. Miała we wszystkim rację. Nie powinien już dłużej czekać.

Z kieszeni wyjął telefon i zalogował się na Facebooka.

Gdy to zrobił, ona przytuliła się do niego, oparła głowę na jego ramieniu i utkwiała wzrok w jego telefonie. Serce zaczęło mu szybciej bić. To było niesamowite uczucie. Jakby tam właśnie było jej miejsce. Czuł zapach jej włosów, to było przytłaczające. Totalnie wybiło go to z rytmu. Zapomniał już, po co wyciągnął ten telefon.

Wtedy zobaczył, że ma nową wiadomość. Otworzył ją.

To była wiadomość od jego ojca.

Brzmiała ona tak: *Sam, pragnę cię zobaczyć. Musimy się spotkać. Wiem, że jesteś zajęty w szkole i w ogóle, ale daj mi znać, kiedy mógłbyś znaleźć dla mnie trochę czasu. Mi jest ciężko podróżować, z powodu mojej chorej nogi, ale tak sobie myślę, że może ty mógłbyś mnie odwiedzić? Mieszkam w Connecticut.*

Samantha uśmiechnęła się.

- No proszę - powiedziała.

- Co mam mu odpisać? - zapytał Sam.

- Odpowiedz TAK. Jutro sobota. Weekend. Nie będzie lepszego momentu.

Miała absolutną rację. Sobota była najlepszym dniem. Wow. Ta dziewczyna była nie tylko ładna, ale też bardzo mądra.

Sam odpowiedział: *OK. Brzmi dobrze. Może być ten weekend? Jaki masz adres?*

Zawahał się przez chwilę. Potem kliknął Wyślij. Od razu poczuł się lepiej.

- Jakie to ekscytujące! – wykrzyknęła Samanta, uśmiechając się szeroko -

Wow, to niesamowite, że mogłam cię poznać w tak ważnym dla ciebie momencie.

Sam nagle poczuł jej delikatny dotyk na swojej twarzy, a potem na włosach.

Uczucie to było niezwykle intensywne. Nieziemskie. Serce łomotało mu w piersi, ledwo mógł myśleć.

Odwrócił się w jej stronę. Teraz już obie jej ręce pieściły jego twarz, szyję, włosy. Nie mógł oderwać wzroku od jej dużych, błyszczących, zielonych oczu.

Zaparło mu dech w piersiach.

- Bardzo cię lubię – powiedziała zalotnie.

Sam otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić z siebie słowa.

- Ja też cię naprawdę lubię – przyznał wreszcie.

Wiedział, że powinien ją teraz pocałować, ale był zbyt zestresowany. Poczul

ulgę, gdy to ona pochyliła się i zbliżyła usta do jego ust.

To było cudowne. Jego świat zawirował. Modlił się, by ta chwila nigdy nie minęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szybując w przestworzach wtulona w Caleba, Caitlin nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Jeszcze wczoraj martwiła się, że Caleb ją opuści. W końcu jej los się odmienił.

Boże, dzięki ci za ten naszyjnik, pomyślała.

Kiedy dotarli do Salem, było już późne popołudnie. Specjalnie wyładowali w pustym polu na obrzeżach miasta, by nikt ich nie zauważył.

Po krótkiej wędrówce znaleźli się na głównej ulicy Salem.

Caitlin była zaskoczona. Spodziewała się czegoś innego. Wiele słyszała o Salem, głównie z podręczników, zawsze w kontekście czarownic. Zawiodła się widząc, że to miasto nie wyróżnia się niczym specjalnym. Wyobrażała je sobie jako doskonale zachowane, historyczne miejsce. Widok przeciętnych, współczesnych ludzi

mieszkających tu, jeżdżących samochodami, będących w ciągłym pośpiechu, zbił ją z tropu.

Salem wyglądało jak każde inne małe miasteczko w Nowej Anglii. Było tu kilka sklepów sieciowych, aptek, a wszystko to w nowoczesnej aranżacji. Nie zauważyła prawie niczego, co mogłoby świadczyć o tak bogatej historii tego miejsca. Miasto było również dużo większe, niż sobie wyobrażała. Caitlin nie miała bladego pojęcia, gdzie powinni zacząć swoje poszukiwania.

Caleba naszły chyba podobne myśli, bo spojrzał na nią z wyrazem: *i co teraz?*

- Cóż – zaczęła - Chyba nie spodziewaliśmy się, że będzie czekał na nas na głównej ulicy, z ramionami szeroko otwartymi.

Caleb uśmiechnął się.

- Nie, tego się nie spodziewaliśmy.

- No wiec, co teraz? - zapytała.

Caleb spojrzał na nią.

- Nie mam pojęcia – odrzekł po chwili.

Caitlin stała tam, zastanawiając się, jaki powinien być ich kolejny krok. W

tym czasie kilka osób przechodzących obok, obrzuciło ich dziwnym spojrzeniem.

Caitlin przyjrzała się sobie i Calebowi w odbiciu witryny sklepowej i zdała sobie sprawę z tego, jak oryginalną parą byli. Nic dziwnego, że ścigali na siebie uwagę. On był wysoki, ubrany elegancko, cały na czarno. Wyglądał jak gwiazda filmowa. Stojąc obok niego, czuła się jak szara myszka.

- Może powinniśmy zacząć od najbardziej oczywistych miejsc – zaproponowała – Sprawdźmy moje nazwisko. Paine. Jeśli mój tata wciąż tu mieszka, może jest w spisie mieszkańców.

Caleb uśmiechnął się.

- Myślisz, że upubliczniłby swoje dane?

- Wątpię. Ale czasem najbardziej oczywiste odpowiedzi są najlepsze. W

każdym razie, nie zaszkodzi spróbować. Masz jakieś inne pomysły?

Caleb zamyślił się. Wreszcie, potrząsnął głową.

- Spróbujmy więc - nalegała.

Po raz setny żałowała, że nie ma swojego telefonu. Rozejrzała się po okolicy i zauważyła kafejkę internetową po drugiej stronie ulicy.

*

Caitlin wpisała w wyszukiwarkę wszystkie możliwe odmiany *Paine*. Niestety, nie przyniosło to żadnych efektów. Zaczęło ją to irytować. Przeszukali każdy jeden spis i rejestr w Salem. Próbowali Paine i Payne i Pain i Paiyne. Nic. Nie było nikogo o podobnym nazwisku.

Caleb miał rację: to był głupi pomysł. Jeśli nawet jej ojciec tu mieszkał, to z całą pewnością i tak nie podałyby swojego numeru do wiadomości publicznej. Po co byłyby wcześniej te wszystkie zagadki, skoro teraz wystarczyłoby znaleźć jego numer telefonu. Wzdychając, odwróciła się do Caleba.

- Miałeś rację. To strata czasu.

- Róża i Cierń spotykają się w Salem - Caleb recytował wyryta na krzyżyku sentencję.

Widziała, jak intensywnie myśli.

Ona też powtarzała sobie w głowie te słowa. Próbowwała z nich coś wyczytać, jakoś je zinterpretować. Niestety, bez skutku.

- Może jest tu gdzieś ogród różany? – pomyślała głośno - I może tam jest ukryty jakiś kolejny trop? – kontynuowała - A może to nazwa miejscowości? –

dodała - Może jest tam bar, lub stara karczma, zwana Róża i Cierń?

Caitlin odwrócił się do komputera i wpisała w wyszukiwarkę kilka opcji.

Spróbowała samą Różę. Potem sam Cierń. Następnie obie te nazwy razem.

Próbowała nazwy biznesów. Parki. Ogrody.

Bez skutku.

Wyraźnie zniecierpliwiona, wyłączyła w końcu komputer.

Oboje siedzieli w milczeniu przez dobrych kilka minut.

- Może myślimy o tym w niewłaściwy sposób - powiedział nagle Caleb.

Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Co masz na myśli?

- Cóż, do tej pory szukaliśmy żywego człowieka – zaczął - w dzisiejszym świecie. W tym wieku. A wampiry żyją przecież przez tysiące lat. Kiedy jeden wampir mówi do drugiego, „spotkajmy się”, to nie musi mu wcale chodzić o ten

wiek. Wampiry, liczą czas w tysiącletniach a nie w latach. Może więc być tak, że twojego ojca nie ma tu w tej chwili. Ale był tu. Bardzo dawno temu. Może popełniamy błąd, szukając żyjącej osoby. Może powinniśmy szukać wśród ludzi, którzy mieszkali tu kiedyś. Może nawet tutaj umarli.

Caitlin wpatrywał się w niego, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Umarli? Co ty mówisz? Że mój ojciec nie żyje?

- Trudno mi to wyjaśnić. Musisz spróbować o tym myśleć w innych kategoriach. Wampiry żyją przez wiele wcieleń. Wielu z nas ma swoje nagrobki, choć cały czas żyje. Ja sam jestem pochowany na wielu cmentarzach, w kilku krajach, pod różnymi nazwiskami. Oczywiście, nie jestem naprawdę martwy, ani zakopany. Ale w pewnym momencie, miejscowi musieli być przekonani o tym, że umarłem. Musieliśmy dać im dowód, uspokoić ich, że nie wrócę już do życia. A pogrzeb i nagrobek był jedyną rzeczą, która mogła ich uspokoić.

Wampiry wolą nie zostawić za sobą śladów i nie lubią, kiedy ludzie wiedzą, że powrócili zza grobu. To przyciąga zbyt dużo niechcianej uwagi. Tak więc czasami, gdy nie ma innego wyjścia, pozwalamy im siebie pogrzebać. A potem wymykamy się po cichu, w środku nocy, i ruszamy dalej.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Może być tak, że twój ojciec został tu pochowany. Może nie powinniśmy szukać go na ziemi, ale pod nią. Sprawdzaliśmy już Painów żyjących. Ale nie sprawdziliśmy zmarłych.

*

Wizyta na niewielkim cmentarzu w Salem była dla Caitlin silnym przeżyciem.

Nigdy jeszcze nie była w tak starym miejscu. Przy bramie wejściowej widniał

duży znak “Miejsce Pochówku, 1637”. To było niesamowite, że ludzie przybywali tu już od prawie 400 lat.

Była zaskoczona obecnością w tym miejscu grupy turystów. Zakłada, że będą tutaj sami. Nie wzięła jednak pod uwagę, że byli przecież w Salem. A ten cmentarz był jego atrakcją turystyczną. Ludzie zdawali się traktować to miejsce jak muzeum. Ona jednak tego nie pochwałała. Czuła, że to miejsce powinno być bardziej uświęcone.

Cmentarz był mały i kameralny, wielkości zwykłego podwórka, z brukowaną ścieżką wijącą się pomiędzy grobami. Gdy tak spacerowała, przyglądała się uważnie starym nagrobkom i wyrytym na nich nietypową czcionką napisom.

Wszystko było napisane w języku angielskim, ale tak starym, że aż brzmiącym jak inny język.

Dokładnie czytała wszystkie napisy, przykładając szczególną uwagę do

nazwisk.

Ku swojemu rozczarowaniu, nie natrafiła na ani jednego "Paine" lub jakąkolwiek odmianę tego nazwiska. Przeszli cały cmentarz i nic.

Na końcu drogi widniała tablica, na której to opisane były niektóre z tych okrutnych tortur, którym poddawane były czarownice. Jedną z nich było

„rozprasowanie” na śmierć. Caitlin była wstrząśnięta.

- Nie mogę uwierzyć w to, co im zrobili – powiedziała drżącym głosem -

Wydaje się, że wszystkie czarownice spotkała okrutna śmierć.

- One nie były czarownicami – poprawił ją Caleb.

Caitlin wyczuła smutek w jego głosie.

- One były jednymi z nas - wyjaśnił.

Caitlin szerzej otworzyła oczy za zdumienia.

- Wampirami? – upewniła się.

Caleb skinął głową, nie podnosząc wzroku.

Zapadła cisza. Caitlin potrzebowała chwili, żeby zebrać myśli.

- Nie rozumiem - powiedziała w końcu - Jak one się tu znalazły?

Caleb westchnął.

- Purytanie. Oni nie byli prześladowani w Anglii ze względów religijnych.

Byli prześladowani, ponieważ byli z naszej rasy. Dlatego opuścili Europę i przybyli tutaj. Chcieli mieć więcej swobody w zaspokajaniu swoich potrzeb.

Wampiry z Europy próbowały ratować siebie. Wszyscy wiedzieli, że nie przetrwamy, jeśli tam zostaniemy. W poszukiwaniu lepszego życia, przybyliśmy tutaj. Oni byli życzliwą rasą wampirów, nie chcieli wojny z innymi wampirami, ani z ludźmi. Oni po prostu chcieli spokojnie tu żyć.

Z czasem zaczęło pojawiać się tu coraz więcej mrocznych wampirów. W

dawnych czasach, wojny na tych terenach nie toczyły się między ludźmi, lecz między dobrymi i złymi wampirami.

A prześladowania czarownic w Salem był tylko przykrywką dla prześladowań wampirów.

Wszędzie tam, gdzie jest dobro, pojawia się wkrótce i zło. Wieczna walka pomiędzy światłem i ciemnością. Te wszystkie rzekome czarownice, prześladowane i wieszane w Salem, były w istocie dobrymi wampirami.

To dlatego istnieje duże prawdopodobieństwo, że twój ojciec został pochowany tu, w Salem. Twój naszyjnik wpisuje się idealnie w tą historię. Wszystko wskazuje na to, że jesteś spadkobierczynią. Kluczem do znalezienia miecza, który ukryli i który nas ochroni.

Caitlin znowu rozejrzała się po cmentarzu. Od tych wszystkich informacji, zakręciło jej się w głowie. Nie wiedziała, co ma zrobić z tą wiedzą. Ale wiedział

jedno: tutaj nie ma żadnego "Paine". To był kolejny fałszywy trop.

- Ale tu nic nie ma - powiedziała w końcu Caitlin.

Caleb jeszcze raz przestudiował wszystkie napisy i z wyraźnym rozczarowaniem, przyznał jej rację.

Caitlin bała się, że ich poszukiwania dobiegły tym samym końca. Za nic nie chciała na to pozwolić.

- Róża i Cierń, Róża i Cierń – powtarzała na okrągło cichym głosem, zmuszając się do znalezienia odpowiedzi.

Niestety, nic nie przychodziło jej do głowy.

Caleb znów zaczął przechadzać się ścieżką pomiędzy grobami, Caitlin ruszyła więc jego śladami.

Niespodziewanie natknęła się na kolejną tablicę informacyjną, przybitą tym razem do drzewa. Na początku czytała z czystej ciekawości, jednak szybko jej dociekliwość okazała się być dla nich zbawienna.

- Caleb! – wrzasnęła podekscytowana – Coś znalazłam!

Po chwili był już przy niej.

- Posłuchaj tego: “Nie wszystkie prześladowane czarownice, zostały pochowane na tym cmentarzu. Na liście “oskarżonych” znajduje się ponad 130

nazwisk czarownic. Niektóre z nich uciekły, część zaś pochowana została na innych cmentarzach. Z pełną listą nazwisk, zapoznać się możesz w muzeum.”

Nie musieli nic więcej mówić, wiedzieli już, gdzie teraz pójść.

*

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarli pod drzwi muzeum. Caleb, dosłownie w ostatniej chwili powstrzymał staruszkę o surowym wyglądzie, przed zatrzaśnięciem im drzwi przed nosem.

- Przykro mi kochani, zamykamy już – powiedziała zniecierpliwiona –

Zapraszam jutro.

- Bardzo przepraszamy – Caleb użył całego swojego wdzięku - My tylko na kilka minut. A jutro nie będziemy mogli już tu zajrzeć.

- Jest pięć po piątej – mruknęła - Zamykamy o piątej. Każdego dnia. Bez wyjątków. Takie są zasady. Nie mogę robić wyjątku dla spóźnialskich. Tak jak powiedziałem, jeśli chcecie, wróćcie jutro. Dobranoc.

Znowu spróbowała zamknąć drzwi, ale Caleb wciąż trzymał w nich swoją nogę. Wychyliła się znowu, jeszcze bardziej zirytowana.

- Słuchaj, mam zadzwonić na polic...

Nagle zamarła w pół zdania, sparaliżowana wzrokiem Caleba. Patrzyła na niego przez kilka sekund, aż w końcu Caitlin zobaczyła jak zmienia się jej wyraz twarzy. Wyraźnie złagodniała, a następnie uśmiechnęła się nawet.

- Witam was serdecznie - powiedziała zupełnie odmienionym głosem – Miło, że wpadliście. Wejdźcie, proszę – otworzyła drzwi szeroko i wykonała zapraszający gest.

Caitlin spojrzała na Caleba, zdezorientowana. *Jak on to zrobił?*

Cokolwiek to było, ona też chciała mieć taką moc.

Nie martw się, nauczysz się.

Caitlin spojrzała na Caleba w jeszcze większym szoku, zorientowawszy się, że właśnie dokonała się między nimi bardzo wyraźna wymiana myśli.

*

Jako jedyni goście w muzeum, mogli swobodnie przechadzać się wąskimi, słabo oświetlonymi korytarzami. Ściany wyłożone były obrazami, tablicami pamiątkowymi i akcesoriami, a wszystko to związane było z czarownicami, sędziami, albo egzekucjami. To było niezwykle miejsce.

Idąc dalej, natknęła się na opis pewnych wydarzeń, które wstrząsnęły Caitlin do głębi.

- Posłuchaj tego – powiedziała do Caleba – „W Salem, w 1692 roku duża grupa nastolatek nagle zachorowała. Większość z nich popadła w histerię, krzyczała, że zostały zaatakowane przez czarownice. Wiele z tych dziewczyn podały nawet nazwiska czarownic, które je zaatakowały.

Ponieważ ich choroby były tak tajemnicze i dla wielu z nich okazały się śmiertelne, miejscowa ludność, nie mogąc znaleźć wytłumaczenia zaistniałej sytuacji, wpadła w szal. Rozpoczęły się nagonki na osoby podejrzane o czary.

Warto zauważyć, że w tamtym czasie, nikt nie był w stanie zidentyfikować choroby, która dotknęła te dziewczyny i nie było wiadomo, co wywołuje u nich te ataki histerii.

- To dlatego, że wchodziły w dojrzałość – wyszeptał Caleb.

Caitlin spojrzała na niego.

- Tak jak i ty – powiedział – Stawały się jednymi z nas i rządziła krwi zaczynała je przerastać. Nie były chore. Popadały w histerię. Przytłaczało je to, co się z nimi działo, nie wiedziały, jak sobie z tym poradzić.

Caitlin zalał potok myśli. Nastoletnie dziewczyny. 1692 rok w Salem.

Dojrzewanie. Przechodziły dokładnie przez to samo, przez co ona przechodzi teraz.

Te myśli były przytłaczające. Czowała niezwykle zjednoczenie z historią; już nie czuła się osamotniona w tym, co przeżywała. Jednocześnie przerażała ją to.

Stanowiło bowiem potwierdzenie wszystkiego, czego się najbardziej obawiała. A ona chciała, by ktoś jej powiedział, że to wszystko nie jest prawdą, że to tylko

przerażający sen, z którego zaraz się obudzi. Im więcej informacji zdobywała, tym większy strach ją ogarniał. Uświadamiała sobie bowiem, że nic już nie będzie takie, jak kiedyś.

- Tutaj jest wszystko – Caleb przywołał ją na drugą stronę pokoju.

Caitlin podeszła do niego.

- Lista 133 oskarżonych.

Oboje uważnie studiowali długą listę nazwisk, wypisanych ręcznie starodawną czcionką. Zajęło im to sporo czasu, ponieważ pismo było trudne do rozszyfrowania dla laika.

W pewnym momencie Caitlin zamarła. Wyciągnęła palec i wskazała pozycje na liście.

Widniało tam jej nazwisko. Paine. Napisane dokładnie w takiej formie.

Znajdowało się na liście “oskarżonych.”

- Elizabeth Paine. Oskarżona o czary. 1692 rok.

Elizabeth? Kobieta?

- Wiedziałem - zatriumfował Caleb - Wiedziałem, że jest jakiś związek.

- Ale ... - Caitlin była zupełnie zdezorientowana - ... Elizabeth. To kobieta.

Myślałam, że szukamy mojego taty?

- To nie jest takie proste. Pamiętaj, że mamy do czynienia z całym pokoleniami. Możliwe, że szukamy Elizabeth. Ale może być tak, że szukamy jej ojca. Albo męża. Nie wiemy, gdzie twoja historia się zaczyna lub kończy. Ale wiemy, że jest jakiś związek.

- Spójrz na to! - wykrzyknęła Caitlin podekscytowana i podbiegła do innej wystawy.

Oboje gapili się bez słowa. To było niesamowite. Cała wystawa poświęcona Elizabeth Paine.

Caitlin zaczęła czytać na głos: “Elizabeth Paine była wyjątkową postacią wśród tych, znajdujących się na liście Oskarżonych. Zdobyła wielką sławę, a jej historia uwieczniona została w Szkarłatnej Literze. Powszechnie przyjmuje się, że losy słynnej bohaterki, Hester Prynne, oparte zostały na autentycznej historii życia Elizabeth Paine. Była ona bohaterką największego dzieła długoletniego rezydenta Salem, Nathaniela Hawthorne’a.

Caitlin spojrzała na Caleba porozumiewawczo.

- To jest to!

- Co? – zapytał, nie widząc związku.

- Nie rozumiesz? – powiedziała zniecierpliwiona – Ta zagadka. To gra słów.

Hawthorne. Róża i Cierń. Cierniem jest Hawthorne. A róża jest szkarłatna. Jak w Szkarłatnej Literze. Innymi słowy, chodzi tu o Hawthorne’a. I Paine.

W tym momencie, starsza kobieta weszła do pokoju, najwyraźniej wracając

do zmysłów.

- Przykro mi, ale naprawdę muszę już zamykać – powiedziała zdecydowanym głosem.

Caitlin podbiegła do niej i chwyciła ją za ramiona.

- Gdzie mieszkał Hawthorne?

- Słucham?

- Nathaniel Hawthorne - powtórzyła podekscytowana – Tutaj jest napisane, że kiedyś mieszkał gdzieś w Salem.

- Młoda damo, my dokładnie wiemy, gdzie on mieszkał. Dzięki naszym staraniom, jego dom jest zachowany w doskonałym stanie. Stoi tu do dziś.

Caitlin i Caleb popatrzyli na siebie.

Oboje wiedzieli, dokąd teraz mają pójść.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Caitlin i Caleb zbliżali się do posiadłości Hawthorna. Prosty, czerwony budynek był cofnięty jakieś 30 metrów od chodnika, wyglądał jak zwykły, mały podmiejski dom, ze ścieżką i krzewami przed frontem.

Ciemnoczerwona farba i okiennice nadawały mu starodawnej prostoty. Był po prostu skromny.

Dało się jednak poznać, że było w nim coś wyjątkowego. Promieniował

historią.

Stali przed nim obydwój, w ciszy, tylko patrząc.

- Myślałam, że będzie większy – powiedziała Caitlin.

Caleb stał obok, marszcząc brwi.

- Wszystko w porządku?

- Pamiętam ten dom – powiedział Caleb – tylko nie wiem skąd. Mógłbym przysiąc, że stał w innym miejscu.

Caitlin spojrzała na niego, na jego pięknie rzeźbione rysy. Pomyślała ile mieści jego pamięć. Ciekawe jak to jest, pamiętać aż tyle. Setki lat – tysiące.

Nosił w sobie rzeczy, doświadczenia, o których nie mogła nawet marzyć. Była ciekawa, czy to bardziej błogosławieństwo, czy przekleństwo, zastanawiała się czy chciałaby takiego losu dla siebie.

Podeszła kilka kroków do żelaznego ogrodzenia posiadłości i spróbowała otworzyć furtkę. Bez skutku. Obok wisiała tabliczka: *Otwarte 9 – 17 w dni powszednie.*

Sprawdziła godzinę: Była 17:30. Nieczynne.

- Co teraz? – spytała.

Caleb rozejrzał się dyskretnie, więc i ona popatrzyła wokół. Podmiejska ulica była pusta, nikogo w zasięgu wzroku. Domyśliła się, co planuje. Spojrzał na nią, więc kiwnęła tylko głową.

Sięgnął do metalowej zasuwki i jednym, płynnym ruchem zerwał ją z zawiasów. Rozejrzał się wokół raz jeszcze i nie zauważywszy nikogo, otworzył

bramkę. Skinął w jej stronę. Zamknął furtkę za nimi, a metalową zasuwkę położył

w trawie, po czym ruszył za nią po ścieżce.

Caitlin podeszła do drzwi wejściowych i nacisnęła klamkę. Zamknięte.

Caleb zbliżył się i sięgnął do klamki, gotowy wyłamać kolejne drzwi.

- Stój – powiedziała Caitlin.

Caleb zatrzymał się.

- Mogę ja spróbować? – spytała, uśmiechając się psotnie.

Chciała przekonać się, czy ona też ma taką siłę. Czuła ją, krążącą w jej żyłach,

lecz nie знаła jej ograniczeń, nie wiedziała skąd się bierze ani kiedy się pojawia.

Uśmiechnął się do niej i ustąpił miejsca.

- Proszę bardzo.

Szarpnęła klamkę, jednak nic nie wskórała. Spróbowała mocniej, nadal nic.

Czuła narastającą frustrację i upokorzenie.

Już miała dać spokój, lecz Caleb odezwał się.

- Skoncentruj się. Zabierasz się do tego zbyt ludzko. Sięgnij głębiej.

Zaczerpnij z innego miejsca. Pozwól, by twoje ciało działało samo.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Położyła delikatnie rękę na klamce i spróbowała się skupić, tak jak jej poradził.

Spróbowała jeszcze raz, tym razem jednak usłyszała trzask.

Otworzyła oczy i zobaczyła wyłamany zamek. Drzwi stały otworem.

Spojrzała przez ramię na Caleba, ten odpowiedział uśmiechem.

- Świetnie – powiedział, wskazując jej wejście – Panie przodem.

Dom był przytulny, z niskim sufitem i oknami dzielonymi na małe szybki.

Słońca szybko ubywało, nie mieli więc dużo czasu na poszukiwania, chyba że zaczęliby zapalać światła w domu. Szybko przeszli dalej po skrzypiącej podłodze, chcąc obejrzeć wszystko jak najszybciej.

- Czego my właściwie szukamy? – zapytała.

- Wiem tyle, co ty – powiedział – ale wydaje mi się, że jesteśmy we właściwym miejscu.

Przy końcu korytarza urządzono wystawę poświęconą życiu Hawthorna.

Zatrzymała się i przeczytała na głos:

- Nathaniel Hawthorne to nie tylko jeden z autorów, który pisał o Salem.

Hawthorne żył w Salem. Większość jego opowiadań dzieje się w Salem. Wiele budynków, które grają główne role w jego opowiadaniach, stoi w Salem do dziś.

- Co więcej, Hawthorne związany był osobiście z wieloma wydarzeniami i postaciami ze swoich prac. Jego najgłośniejsze dzieło, dla przykładu -

„Szkarłatna Litera” – opowiada historię kobiety, Hester Prynne, uwięzionej i wzgardzonej przez bliźnich za swe rozwiązłe życie. Hawthorne związany był z tymi wydarzeniami mocniej, niż można by podejrzewać. Jego dziadek, John Hawthorne, był jednym z głównych sędziów w procesach czarownic z Salem.

John Hawthorne był odpowiedzialny za oskarżenie i śmierć wielu czarownic.

Hawthorne musiał nosić to ciężkie dziedzictwo Salem.

Caitlin i Caleb spojrzeli po sobie, coraz bardziej zaintrygowani. Było jasne, że te sprawy były mocno powiązane z nimi, oboje czuli, że znaleźli coś istotnego.

Jednak dalej nie wiedzieli, co to takiego. Tajemnic nadal było wiele.

Podążyli w głąb domu, oglądając różne przedmioty, szukając nadal czegokolwiek. Jednak skończywszy przeszukiwać parter, nie znaleźli nic więcej.

Obydwoje zatrzymali się przed wąskimi, drewnianymi schodami. Odgródzone były aksamitną liną, na której wisiała tabliczka: „Piętro niedostępne dla zwiedzających”.

Caleb spojrzął na Caitlin.

- Doszliśmy za daleko, by teraz się cofnąć – powiedział.

Sięgnął do liny i odpiął ją na bok.

Weszła pierwsza, podekscytowana. Jej kroki odbijały się echem po drewnianych schodach. Dom cały skrzypiał i jęczał za nimi, jakby w proteście przeciwko nowym gościom.

Na piętrze sufity były jeszcze niższe, Caleb ledwie był w stanie się wyprostować. Było prawie zupełnie ciemno, światła ledwie starczało, by widzieć cokolwiek. Stali w pięknym, przytulnym pokoju, gustownie umeblowanym antykami, z podłogą o szerokich deskach i małymi oknami. W centralnym punkcie znajdował się ceglany kominek, okopcony po bokach, widać było po nim lata użytkowania.

Na piętrze powitała ich kolejna wystawa, ta poświęcona Elizabeth Paine.

Caitlin przeczytała na głos:

- Historia Hester Prynne, najsławniejszej postaci Hawthorne'a, głównej bohaterki

„Szkarłatnej Litery”, kobiety prześladowanej za odmowę wyjawienia tożsamości ojca jej dziecka była, jak uważa wielu uczonych, oparta na życiu prawdziwej mieszkanki Salem: Elizabeth Paine. Żaden uczonec nie był w stanie określić rodowodu dziecka Elizabeth, która nigdy nie wyjawiała żadnemu z mieszkańców, kto był ojcem. Legenda głosi, że był nim tajemniczy mężczyzna, który przybył na statku z Europy, a ich związek był mezaliansem.

- Elizabeth została wygnana z Salem i zmuszona żyć samotnie z dzieckiem w małej chatce w lesie, poza granicami miasta. Lokalizacja chatki nigdy nie została odnaleziona.

Caitlin spojrzała na Caleba. Zabrakło jej słów.

- Mezalians? – spytała – W sensie...

Caleb skinął głową.

- Tak. Związek wampira i człowieka. Ta historia nie jest opowieścią o rozwiązłości. Jest w niej drugie dno, to alegoria. Tak naprawdę jest o nas.

Naszemu gatunkowi. A konkretnie: jest o tobie. Ich dziecku. Dziecku pół-krwi.

Caitlin poczuła, że świat usuwa się jej spod nóg. Konsekwencje były przytłaczające.

I nie mogła odpędzić myśli, że historia się powtarza, że pokolenia później ona zamknięta była w podobnym schemacie. Mezalians. Dwie rasy. Ona i Caleb.

Historia znowu się powtarza, ścieżka została już wydeptana przez ich przodków.

Zastanawiała się czy w ogóle ma jakikolwiek wpływ na swoje własne życie.

Rozglądali się powoli po pokoju. Trudno było dojrzeć cokolwiek w gęstniejącym mroku, ona nadal nie była pewna, czego szukają. Teraz jednak nie miała cienia wątpliwości, że szukają we właściwym miejscu.

Wyglądało na to, że Caleb również. Przeszukiwał pokój zaciekawiony, oglądając każdy znajdujący się w nim przedmiot. Oboje byli pewni, że czegokolwiek szukają, znajdą to w tym pokoju. Może nawet sam miecz?

W pokoju nie było jednak zbyt dużo mebli i nie miała pomysłu na to, gdzie można by schować cokolwiek.

- Tutaj – Caleb odezwał się wreszcie.

Caitlin podeszła szybko. Stał przed starą skrzynią.

Badał dłonią lewy bok skrzyni.

- Zobacz sama – powiedział.

Wziął jej rękę i poprowadził ją wzdłuż boku, poczuła coś pod dłonią. Małe, metalowe wgłębienie. W kształcie krzyża.

- Co to takiego? – spytała.

- Nie wiem – odpowiedział – ale na pewno nic, co można znaleźć na każdej skrzyni. I podejrzewam coś jeszcze: ten dziwny kształt, zaokrąglone brzegi –

założę się, że jest dokładnie w kształcie twojego krzyża.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi. Chwilę zajęło, zanim dotarło do niej. Jej naszyjnik.

- Myślę, że to klucz – powiedział.

Zdjęła go szybko i razem, jej ręką na jego dłoni, wsunęli krzyż delikatnie we wgłębienie. Z radością stwierdziła, że pasował jak ulał. Wpadł we wgłębienie z cichym kliknięciem, i gdy delikatnie obrócili go w prawo, wąska, pionowa szufladka otworzyła się przed nimi.

Serce biło jej jak oszalałe, gdy sięgnęła do środka i delikatnie wyciągnęła cienki, poźółkły, kruchy zwój. Przewiązany był zetłalym kawałkiem wstążki.

Podąga go Calebowi, by rozwinęli go wspólnie.

Znaleźli mapę. Rysowaną odręcznie setki lat temu.

U góry widniał napis: Chatka Elizabeth.

Caleb spojrzał na nią.

- Jej chatka – powiedział z zapartym tchem – To mapa do miejsca, w którym żyła.

Popatrzyła na mapę w zdumieniu.

- Ktokolwiek schował ją tutaj, chciał, żebyś ty ją znalazła. Twój naszyjnik był

kluczem. Nikt dotąd nie otworzył tej szufladki. Ktoś chciał, byś znalazła mapę, znalazła jej chatkę. Gdziekolwiek ona jest, znajdziemy tam coś ważnego.

To było wymyślone specjalnie dla *niej*. Dla Caitlin, tylko dla niej. Ta myśl oszołomiła ją. Sprawiała, że po raz pierwszy w życiu poczuła się chciana.

Kochana. Istotna. Czowała się związana z czymś większym od niej samej, z czymś dawnym, sprzed wieków. Była centralnym kawałkiem tej całej układanki. Ledwo była w stanie opanować emocje.

Wtem, nagle, straszliwy ból eksplodował w jej brzuchu. Pozostawił ją bez tchu, zgięła się w pół, próbując zaczerpnąć powietrza.

- Wszystko w porządku? – spytał Caleb, poczuła jego dłoń na swym ramieniu.

Głód. Znów powrócił. Tym razem bolało tak strasznie, że ledwo oddychała.

Poczuła kolejne ułknięcie, zabołało tak bardzo, że konwulsje wygięły ją do pionu. Usłyszała, że z jej gardła wydobywa się warczenie, straszliwy, nieludzki dźwięk. Zorientowała się, że biegnie, starając się pozbyć tego bólu. Wpadła na oszkloną szafę wystawową i przewróciła ją, usłyszała trzask rozbijanego szkła.

Ale nie była w stanie się opanować. Wirowała wokół, nie mogąc się opanować, gotowa rozedrzeć cały pokój na strzępy.

Caleb pojawił się obok i złapał ją mocno.

- Caitlin – powiedział twardo – Caitlin, posłuchaj mnie!

Złapał ją za ramiona z całych sił, lecz ledwie był w stanie ją przytrzymać.

- Wszystko będzie w porządku. To tylko bóle z głodu. Słyszysz mnie?

Wszystko będzie dobrze. Musisz tylko się pożywić. Musimy cię stąd zabrać –

powiedział powoli i wyraźnie – Natychmiast!

Oszołomiona Caitlin ledwo dostrzegała go. Usłyszała, co mówił, lecz bolało zbyt potwornie. Nie była w stanie się opanować. Musiała pić. Zniszczyć wszystko, nasycić się. Teraz.

Caleb musiał zorientować się co ją ogarnia, ponieważ zanim była w stanie cokolwiek zrobić, mocno chwycił ją za ramię, poprowadził w dół schodów i wyprowadził z domu.

Było prawie ciemno, gdy wybiegli z posiadłości Hawthorna. Ruszyli tak prędko, że nie rozejrzeli się wokół, nie zorientowali, że właśnie wpadli w pułapkę.

- Stać! – wykrzyknął głos.

Przed nimi stało kilku policjantów a miasteczka Salem, z bronią w ręku.

- Ręce do góry! Powoli!

Caitlin wciąż była oszołomiona. Bóle szarpały ją mocno, nie była w stanie oprzeć się falom szału i wściekłości, opanowywały ją całkowicie. Nie była w stanie się skupić, zrozumieć, co dokładnie do niej mówią. Widziała policjantów, lecz nie czuła strachu. Wręcz przeciwnie, była gotowa rzucić się na nich.

Jak przez mgłę poczuła silny uścisk Caleba na swych ramionach, jedyna rzecz, która trzymała szaleństwo na wodzy.

- Powiedziałem ręce do góry! – wrzasnął policjant, dwóch innych podeszło bliżej.

- Spokojnie Caitlin, spokojnie – wyszeptał Caleb, gdy powoli, wciąż ściskając zwój, podniósł ręce do góry, szturchając ją, by zrobiła tak samo – Nie są w stanie nic nam zrobić.

Jednak Caitlin nie była spokojna. Widziała policjantów, widziała jak celują w Caleba, czuła, że rozpala ją szalony gniew. Ból szarpał znowu, nie była w stanie się opanować, gdy skupiła wzrok na policjancie, jego gardle, krwi płynącej pod skórą. Potrzebowała jej.

Caitlin skoczyła. Rzuciła się na policjanta w samym środku grupy. Zanim zdążył zareagować, już miała go w swym uścisku. Odchyliła głowę, wyciągnięte zęby wpiła głęboko w jego szyję.

Padł strzał.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zegar wybił północ, gdy Kyle schodził po marmurowych schodach, otoczony dwoma tuzinami swoich podwładnych. To była długa noc, i udała się znacznie lepiej, niż kiedykolwiek sądził. Jednak nadal obawiał się powitania swojego mistrza, Rexiusa, przywódcy ich klanu. Byli związani od tysiący lat i wiedział, że Rexius nie miał przesadnie wiele cierpliwości dla durniów. Zupełnie nie tolerował

błędów, więc Kyle był w nerwowym nastroju, odkąd pozwolił tej dziewczynie, Caitlin, wymknąć mu się z garści. Rexius zawsze karał nawet najmniejsze potknięcia, więc Kyle starał się przygotować na nadchodzącą karę.

Wiedział, że Rexius tylko zwlekał, że nigdy nie zapomniałby mu tego.

Jednak zadanie Kyle'a zostało dziś wykonane popisowo, w każdym zakątku miasta, więc nie wyobrażał sobie, jak jego mistrz mógł wciąż się na niego gniewać. Ten sukces po stokroć przysłał to błahe potknięcie. Przecież znaleźli się w kluczowym momencie historii, a Kyle dowodził tą wojną jako generał. Jak jego mistrz miałby ukarać go w takiej chwili?

Im więcej Kyle o tym myślał, tym bardziej cieszył się na to spotkanie. Nie mógł doczekać się, by zdać relację z siły zarazy i tempa jej rozprzestrzeniania, tego jak rozniósł ją wraz ze swymi ludźmi. Nie mógł doczekać się pochwały Rexiusa, jego ekscytacji wojną, która – po tysiącach lat oczekiwania – właśnie nadeszła.

Kyle czuł się wyśmienicie, gdy wchodził coraz głębiej w podziemia Ratusza Miejskiego, w głąb kolejnego marmurowego korytarza. Czekał na ten dzień od lat.

Wspaniale było prowadzić tak dużą świtę, wspaniale czuć nadchodzącą wojnę.

Nie był tak podniecony od czasów, gdy oglądał Rewolucję Francuską i jej gilotyny.

Kiedy Kyle wkroczył do komnat swojego mistrza i przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi, kilku starszych wampirów stanęło mu za plecami, zastępując drogę jego światła. Zamknęli drzwi z hukiem, zostawiając Kyle'a samego w pomieszczeniu. Nie był z tego powodu szczególnie zadowolony. Z

drugiej strony, Rexus nigdy nie pytał o zdanie, nie pozostawiał wyboru. I nigdy nie było wiadomo, jaki będzie jego następny ruch.

Pomieszczenie było wielkie, przepastne i gdy Kyle rozejrzał się wokół, zaskoczył go widok setek wampirów stojących w szeregu pod ścianą. Ich liczebność dramatycznie wzrosła, wielu z wampirów Kyle nie rozpoznawał.

Ci tutaj stali cicho, na baczność, po bokach pomieszczenia, ledwie w zasięgu wzroku. Komnatę dominowała postać przywódcy. Rexiusa. Siedział w samym środku, jak zwykle, na swym wielkim, marmurowym tronie, patrząc na Kyle'a.

Tak właśnie przyjmował wizyty.

Kyle postąpił naprzód i skłonił głowę.

- Mój panie – powiedział.

Ciężka cisza zaległa nad pomieszczeniem.

Kyle podniósł wzrok.

- Mam przyjemność zakomunikować, panie, że nasza praca zakończyła się wspaniałym sukcesem. Zaraza została rozniesiona po wszystkich zakątkach miasta. W przeciągu kilku dni ludzie padną na kolana.

Zapadło kilka sekund kłępującej ciszy, Kyle czuł na sobie wzrok swego mistrza. Te lodowate, błękitne oczy zawsze sprawiały, że czuł się nieswojo.

W końcu Kyle opuścił wzrok, znowu skłaniając głowę. Nie był w stanie dłużej patrzeć.

- Sprawileś się, Kyle – przywódca odezwał się powoli, niskim, mocnym, grobowym głosem – Reszta klanów już przybywa z pomocą. Nasze liczby rosną z każdą minutą.

- Wojna będzie wspaniała, mój panie – powiedział Kyle – Jestem dumny, mogąc dowodzić nią w twoim imieniu.

Kolejne kilka sekund ciszy.

- Zaiste – Rexius rzekł wreszcie – ta wojna będzie wspaniała. W ciągu kilku dni Nowy Jork będzie należał do nas, po kilku tygodniach zaś ludzka rasa zostanie zakuta w kajdany.

Rexius skrzywił się w uśmiechu, oblizując delikatnie usta. Kyle zamarł na ten widok. Uśmiech Rexiusa mógł znaczyć tylko jedno: złe wieści.

- Przykro mi oznajmić – Rexius ciągnął dalej – że nie będzie cię wśród nas, by dzielić z nami tą przyjemność.

Kyle poczuł ukłucie bólu w piersiach, podniósł oczy w przerażeniu. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie wśród nas? A gdzie miałby być? Zostanie przeniesiony na inne stanowisko?

- Nie wśród nas? – Kyle zapytał zmieszany. Słyszał jak załamuje mu się głos, co za wstyd.

- Panie mój, obawiam się, że nic nie rozumiem. Plan wykonałem doskonale.

- Wiem o tym. To jedyny powód, dla którego nadal żyjesz – powiedział.

Kyle przełknął ciężko ślinę.

- Jednak twoje przeszłe grzechy nie zostały rozliczone. Ja nie zapominam, Kyle.

Kyle znów przełknął ślinę, poczuł, że gardło wyschło mu na wiór. Tego właśnie się obawiał.

- Pozwoliłeś, by bękart pół-krwi uciekł. Może doprowadzić kogoś innego do miecza. W takim przypadku nasza wojna będzie zagrożona – pochylił się do

przodu, by Kyle mógł spojrzeć z bliska w jego lodowate, błękitne oczy –

Śmiertelnie zagrożona.

Kyle doskonale wiedział, że to nie czas na mowy obronne. To tylko pogorszyłoby sprawy. Więc tylko klęczał w oczekiwaniu, trzęsąc się ze wściekłości i strachu. Został oszukany. Prowadził ich wojnę doskonale, i za to zostanie ukarany.

Minęło kilka sekund, podczas których Kyle zastanawiał się nad swoją przyszłością.

- Kyle'u z Klanu Blacktide, nie udało ci się dopełnić swych obowiązków, złamałeś nasze święte prawa. Niniejszym skazuję cię na skapanie w Kwasiu Jorowym i wygnanie z klanu po wsze czasy. Odtąd nie będziesz żył pośród nas.

Będziesz żył, lecz życiem samotnym, zapomnimy twego imienia. Zostałeś wygnany. Na zawsze.

Oczy Kyle'a otwarły się szeroko z przerażenia i zdumienia, gdy dziesiątki sług nagle pojawiły się obok i złapały go za ramiona, odciągając go na bok. Ta kara była straszliwie ciężka. Straszliwie niesprawiedliwa.

- Mój panie, nie możesz. Byłem twoim najwierniejszym sługą – od wieków!

Kyle wrywał się, lecz coraz więcej i więcej rąk krępowało go, ciągnąc na bok.

- Mogę ją odnaleźć! – wykrzyknął, gdy ciągnęli go po podłodze – Mogę sprowadzić ją z powrotem! Ja i tylko ja! Wiem jak ją odnaleźć. Musisz dać mi tę szansę!

- Szans miałeś już zbyt wiele – powiedział przywódca z lodowatym uśmiechem na ustach – Odnajdę ją sam. Mam wiele sług w swojej armii.

To była ostatnia rzecz, którą Kyle usłyszał, zanim wywleczono go z pomieszczenia.

- Panie mój! – wrzasnął Kyle, lecz zanim zdążył wykrzyknąć coś jeszcze, drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem.

Kyle poczuł przytrzymujące go ręce, dziesiątki rąk, po chwili leżał płasko na plecach, na kamiennym ołtarzu.

Przytrzymywało go coraz więcej wampirów, widział jak mnożą się nad nim.

W szale zemsty. Pomyślał o tysiącach lat swego życia, ile osób mogło chcieć jego upadku. Pnąc się na szczyt nadepnął na niejednen odcisk. A teraz nadszedł czas zapłaty.

Jeden z wampirów, uśmiechając się szyderczo, podszedł z wiadrem. Kyle poczuł okropny smród Kwasu Jorowego.

- NIE! – wykrzyknął. Widział innych poddawanych tej karze. Ból, który miał

go spotkać, musiał być straszliwy.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, było przechylające się wiadro, z którego

zaczynał lać się płyn, prosto na jego twarz.

Po czym pomieszczenie wypełniło się jego wrzaskami.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Caitlin trzymała mocno Caleba, lecieli. Chłodne powietrze owiewało jej twarz, bóle głodu zaczęły wygasać, zaczęła też wracać jej pełnia świadomości.

Spojrzała na Caleba i zobaczyła, że cały zalani jest krwią, ona zresztą też. Starła się przypomnieć sobie, co się wydarzyło.

Pamiętała, że wyszli z posiadłości Hawthorna. Potem była policja i straciła nad sobą kontrolę. Padł strzał. Tak, pamiętała. Gdy już miała wbić zęby w szyję jednego z policjantów, poczuła, że Caleb odciąga ją od niego. Z szybkością błyskawicy ściągnął ją z jej ofiary, oszczędzając jej tym samym kolejnego człowieka na sumieniu.

Kosztowało go to. Strzał policjanta trafił Caleba w ramię. To jego krwią umazani byli obydwaj. Nie spowolniło go to jednak ani

trochę. Zdołał ogłuszyć trzech policjantów, zanim ci zorientowali się, co się dzieje. Płynnym ruchem wziął Caitlin na rękę i wzbił się w powietrze. Była zdumiona jego samokontrolą, w każdej sytuacji. Udało mu się wydostać ich z tej opresji i nikomu, oprócz niego samego, nie stała się większa krzywda. Było jej wstyd, że nie jest tak dobra jak on, nie potrafi się kontrolować. Było jej przykro, że po raz kolejny wystawia go na niebezpieczeństwo.

Gdy Caitlin i Caleb lecieli ponad lasami na obrzeżach Salem, było już ciemno. Chłodne, nocne powietrze sprawiło, że uspokoiła się. Silny uścisk Caleba sprawiał, że stres i napięcie opuszczały jej ciało. Głód ucichł, dziki szal

także.

Gdy wreszcie wylądowali pośród lasu czuła się jak dawniej. Głowę miała jasną i świeżą, a zdarzenia poprzedniej godziny zdawały się jakimś przedziwnym, szalonym snem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak zareagowała. Dlaczego tak prędko ogarnął ją szal? Dlaczego nie była w stanie się opanować?

Oczywiście wiedziała, że odpowiedź jest prosta: gdy złapały ją bóle, straciła nad sobą kontrolę. To była inna osoba, rzucona na pastwę swoim zwierzęcym instynktom. Bogu dzięki za Caleba. Nie chciałaby mieć krwi policjanta na rękach.

Była mu głęboko wdzięczna, że uratował ją przed zrobieniem czegoś pochopnego.

Gdy zobaczyła krew kapiącą w dół jego ramienia znowu poczuła się winna.

Został postrzelony z jej powodu.

Sięgnęła w jego stronę i dotknęła jego ręki.

Spojrzał na nią.

- Tak mi przykro – powiedziała – Nic ci nie będzie?

- Wszystko w porządku – powiedział – Wampiry nie są jak ludzie: nasza skóra szybko się goi. Rana zupełnie zniknie w ciągu kilku godzin. To tylko zwykła kula.

Gdyby była srebrna, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale nie była, więc nie ma się czym przejmować – powiedział uspokajająco.

Gdy przyjrzała się jego ramieniu dostrzegła, że rana rzeczywiście szybko się goi. To było niesamowite. Już teraz wyglądała zaledwie jak porządny siniak.

Goiła się i znikła w oczach.

Była ciekawa, czy w jej przypadku byłoby tak samo. Pewnie nie, była tylko pół-krwi. Zapewne większość wampirzych mocy manifestowało się tylko u wampirów pełnej krwi. Trochę żał jej było, że nie jest jednym z nich.

Nieśmiertelność. Moc. Niewrażliwość na większość broni. Miała część tych zdolności, lecz ewidentnie nie wszystkie. Tkwiła pomiędzy światami i nie wiedziała, który z nich wybrać.

Poza tym, nikt nie dał jej specjalnego wyboru. Jedynym sposobem, by stać się prawdziwym wampirem było przemienienie przez wampira. To było zakazane, więc Caleb nie proponował. A nawet, jeśli nie byłoby zakazane, pewnie i tak by tego nie zrobił. Jego nieśmiertelność zdawała się go przytłaczać, wydawał się zazdrościć jej śmiertelności. Miała poczucie, że nie życzyłby jej swojego losu.

Dla jej dobra.

- Nadal ją masz? – spytał.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Mapę – dodał.

No jasne. To powód, dla którego tu byli.

Sięgnęła do kieszeni i z ulgą stwierdziła, że nadal tam jest. Bogu dzięki za kieszenie na suwak.

Podowała mu mapę.

Rozwinął ją i studiował ją przez dłuższą chwilę.

- Jesteśmy niedaleko – powiedział, opuszczając mapę i spoglądając na las przed nimi – Chatka powinna być blisko.

Caitlin rozejrzała się wokół, wyteżając wzrok w ciemności. Dojrzała tylko drzewa.

- Nic nie widzę – powiedziała.

- To stara mapa – odpowiedział – Rysowana odręcznie, bardzo ogólna. Jestem pewien, że nie jest dokładna. Ale oznaczenia wskazują tę okolicę.

Caleb rozejrzył się znowu, Caitlin także. Jednak nie zobaczyli nic więcej.

- Ta chatka – powiedziała – stała tu setki lat temu. Może została zniszczona?

Caleb wciąż przeszukiwał las. Podążała za nim, słysząc tylko szelest liści.

- Tak – powiedział – to możliwe. Szczególnie, jeśli była drewniana. Wtedy to prawie pewne. Ale mam nadzieję, że była murowana. Większość wampirzych domów jest murowanych. Więc to możliwe, że jeszcze stoi. Przynajmniej częściowo.

- Nawet jeśli, nie sądzisz, że już dawno zostałaaby znaleziona czy splądrowana? – spytała.

- Możliwe. Chyba że...

- Chyba że...?

- Chyba że całkiem zarosła. Tradycją wśród wampirów jest jak zostawiać informacje dla przyszłych pokoleń. Buduje się murowany domek i gęsto obsadza go bluszczem, kolczastymi krzewami i pnączami. Pozostawione tak krzaki, rosną tak gęsto i szybko, że po jakimś czasie, jeśli miejsce jest odludne, zostaje zupełnie osłonięte przed oczami zwykłych ludzi. Jednak ci, którzy znają ten sposób, mogą znaleźć takie miejsce nawet po wielu latach, wiekach.

Rozejrzał się wokół.

- Plusem jest to, że ta część lasu jest odludna. To nasza nadzieja.

- Jeśli oczywiście to prawdziwa mapa – powiedziała Caitlin, bawiąc się w adwokata diabła – Może ktoś ją podzucił. Może to fałszywy trop.

Caleb spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Masz bardzo żywy umysł – powiedział – Ale chyba martwisz się na wyrost.

Tak, to wszystko możliwe. Ale mało prawdopodobne. Ten zwój jest autentyczny.

Wziął ją za rękę, gdy wchodzili głębiej w las, jedynym słyszalnym dźwiękiem był szelest liści. Czują, że zimno wkrada się jej za skórę.

Caleb nagle zdjął swój duży, skórzany płaszcz i okrył nim jej ramiona. Jak zawsze, była zdumiona, że zdawał się czytać w jej myślach, i poruszona jego dobrocią.

- Nie – powiedziała – Nie mogę zabrać ci-

- Proszę – odpowiedział – Mi nie jest zimno.

Gdy owinał swój płaszcz wokół jej ramion, Caitlin poczuła się wspaniale.

Był znacznie cięższy niż się wydawał, a podszewka nadal zachowała ciepło ciała Caleba. Zapach skóry był wspaniały. Wydawał się być tak ułożony, tak wygodny, jakby nosił go od setek lat. Był na nią za duży, a jednocześnie jakoś pasował

doskonale. Nosząc ten płaszcz czuła, jakby należała do niego. Jakby byli parą, był

jej chłopakiem, a ona jego dziewczyną. Wspaniałe uczucie.

Caleb spojrział w dół, studiując zwój i znów podniósł wzrok na drzewa.

Wciąż nic.

Caitlin rozglądała się wokół, w każdym kierunku, z całych sił próbując wypatrzeć cokolwiek w mroku.

Gdy jej oczy wreszcie przyzwyczyły się do ciemności, zdało jej się, że coś zauważyła.

- Caleb – powiedziała.

Odwrócił się, a ona podniosła palec wskazując.

- Widzisz? Na horyzoncie. Wygląda jak gąszcz gałęzi. Jak sądzisz?

Spojrzał w tamtą stronę i zmrużył oczy. Wreszcie wziął ją za rękę i poprowadził w tamtym kierunku.

- To możliwe – powiedział.

Gdy szli w tamtym kierunku, pośród szumu drzew, coraz bliżej, Caitlin czuła podekscytowanie. Przed nimi znajdował się wielki, niedostępny gąszcz splątanych gałęzi i kolczastych krzewów. Prawie jak mur. Okrążyli go, wydawał

się głęboki na co najmniej kilkadziesiąt metrów z każdej strony. Zupełnie niedostępny. Jeśli cokolwiek pasowało do opowieści Caleba – to było to. Nikt nie byłby w stanie zapuścić się w ten gąszcz bez porządnej maczety i kilku dni rąbania gałęzi. Jeśli cokolwiek było w środku, było nietknięte ludzką ręką.

Ale z drugiej strony, mógł być to tylko zwykły gąszcz, wewnątrz mogli nie znaleźć nic więcej oprócz gałęzi, pnączy i kolczastych krzaków.

Caleb kiwnął głową powoli.

- Tak – powiedział – Możliwe, że tego właśnie szukamy.

Przyglądał się gąszczowi przez chwilę.

- Stań z tyłu – powiedział wreszcie.

Caitlin cofnęła się o kilka kroków, zastanawiając się, co zrobi.

Caleb naciągnął rękawy na dłonie, osłaniając je i sięgnął w gąszcz, używając swej niesamowitej siły, by rwać poprzepłatane gałęzie. To było niezwykle, jakby oglądać piłę łańcuchową przy pracy.

Kilka sekund wystarczyło, by oczyścić ścieżkę na tyle szeroką, by przeszła jedna osoba. Zniknął już głęboko w gąszczu, gdy usłyszała jego głos.

- Tutaj!

Caitlin weszła w wąską ścieżkę mając po obu stronach gęsty mur splątanych gałęzi. Dobrze kilkanaście metrów głębiej wreszcie dogoniła go.

Zza jego ramienia zobaczyła kawałek kamiennego muru.

- Znalazłaś ją – powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Wyłamał jeszcze kilka gałęzi i odsłonił małe, półkoliste wejście do malutkiej, kamiennej chatki. Wziął ją za rękę i razem weszli do środka.

Wewnątrz było ciemno, a powietrze było zatęchłe. Po kilku krokach Caleb zatrzymał się nagle. Usłyszeli, że coś toczy się pod ich nogami, Caleb schylił się i podniósł to.

- Co znalazłeś? – spytała.

Podniósł rękę, ale nie było nic widać w ciemnościach.

- Stare świece – powiedział wreszcie – Wydają się całe. Potrzyмай na chwilę.

Caitlin wzięła świeczkę, a on zaczął pocierać dłońmi z błyskawiczną prędkością. Nigdy nie widziała nic podobnego. Po kilku sekundach jego ręce poruszały się tak szybko, że poczuła żar bijący od nich. Po chwili położył dłonie

na knocie świeczki i przytrzymał go. Zaraz cofnął je, a Caitlin ze zdumieniem ujrzała, że świeczka płonie. Spojrzała na niego zaskoczona. Sama chciałaby tak umieć.

- Musisz nauczyć mnie kiedyś tej sztuczki – powiedziała z uśmiechem.

W świetle świeczki zobaczyła, że odpowiada uśmiechem. Opuściła świecę do podłogi i oświetliła więcej rozsypanych świeczek. To był ten dziwny dźwięk, odgłos toczących się świec. Podniósł jedną z

nich i wyprostował jej knot, Caitlin zapaliła ją od swojej świeczki. Teraz obydwójce mieli źródło światła, wystarczające by zorientować się w otoczeniu.

Chatka była malutka, ledwie na tyle wysoka, by Caitlin stanęła wyprostowana, jednak na tyle niska, że Caleb musiał się pochylić. Pomieszczenie nie było duże, może cztery metry na cztery. Ściany były z kamienia i mimo, że ich powierzchnia nie była równa, nie widać było żadnych oczywistych kryjówek. Przy przeciwległej ścianie znajdowało się małe palenisko pełne gałęzi, które przez całe te wszystkie lata musiały poprzerastać niewielki komin.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że podłoga ułożona jest z drewna. Na dodatek nie rozsypała się dotąd ze starości. Nie było to jednak aż tak dziwne. Chatka nie miała okien, woda mogła dostać się do środka jedynie przez komin i wejście.

Poza tym nie dało się dojrzeć tam nic ciekawego, żadnych schowków, kryjówek. Chatka była kompletnie pusta. Wyglądało to na kolejny ślepy zaułek.

Przynajmniej było tu sucho i przytulnie. Mogli spokojnie spędzić tu noc.

Ogrzać się trochę i odpocząć.

- Myślisz, że uda ci się rozpalić w kominku? – zapytała.

- Chyba tak – odpowiedział, obejrzawszy go.

Podał jej świeczkę i podszedł do paleniska. Szybko wyciągnął z niego wszystkie śmieci i gałęzie. Caitlin kichnęła, podrażniona podniesionym kurzem.

Sięgnął do komina i wyjął jeszcze więcej gałęzi, zebrał je wszystkie i wyniósł

z chatki.

Caitlin usłyszała, jak wspina się na dach i przepycha komin od góry. Nagle poczuła lekki powiew powietrza, komin zdawał się odblokowany. Chwilę później pojawił się w środku, niosąc niewielkie naręcze suchego drewna. Wszystko szło mu bardzo sprawnie. Zaimponował tym Caitlin. Szybkość wampirzej rasy.

Niesamowite. W porównaniu do niego była taka powolna.

Umieścił drewno w palenisku, wziął od niej świeczkę i podpalił je w kilku miejscach. W chwilę później ogień strzelał już w przytulnej, małej chatce. Była wdzięczna za odrobinę ciepła.

Ich świeczki powtykała wysoko w kamienne ściany, co sprawiało, że pomieszczenie było dosyć jasne i przytulne. Podeszła do ognia i usiadła, opierając się o kamienną ścianę. Zaczęła pocierać rękoma tuż przed ogniem.

Czuła się coraz lepiej.

Caleb poszedł za jej przykładem, siadając po drugiej stronie ognia, również oparty o ścianę. Siedzieli tak naprzeciwko siebie, niemal dotykając się stopami.

Caleb obejrzał pokój, spojrzął po podłodze, ścianach, wreszcie suficie.

Przyjrzał się dokładnie każdemu szczegółowi paleniska. Caitlin także zaczęła się przyglądać. Myśleli o tym samym: co takiego mogło się tu ukrywać? I gdzie?

- Jesteśmy we właściwym miejscu, bez wątpienia – powiedział Caleb – Tutaj mieszkała Elizabeth. Pytanie brzmi: dlaczego mapa skierowała nas w to miejsce?

Niczego tu nie widzę – powiedział wreszcie, przyznając się do porażki.

- Ja też nie – musiała przyznać Caitlin.

Zapadła przyjemna cisza. Po szalonych wypadkach dzisiejszego dnia czuła się wyczerpana. Cieszyła się, że mają schronienie na noc, poza tym była zbyt zmęczona, by myśleć o czymkolwiek innym. Jego płaszcz na jej ramionach sprawiał, że czuła się bezpiecznie. Jej pamiętnik nadal tkwił w kieszeni jej džinsów, miała ochotę wyciągnąć go i coś napisać. Była jednak zbyt zmęczona.

Spojrzała na Caleba po drugiej stronie pomieszczenie. To zdumiewające jak wytrzymały był na zimno, zmęczenie, czy nawet głód. Nocą zdawał się nabierać jeszcze więcej sił. Zdawał się być w doskonałej kondycji, pomimo wszystkiego, czego doświadczyli. Mimo że został postrzelony. Spojrzała na jego ramię i zobaczyła, że rana całkowicie się zgoiła.

Gdy tak patrzył w ogień, zamyślony, jego oczy mieniły się głębokim brązem.

Nagle poczuła, że musi dowiedzieć się o nim więcej.

- Opowiedz mi o sobie – powiedziała Caitlin – Proszę.

- Co chciałabyś wiedzieć? – spytał, wciąż wpatrując się w ogień.

- Wszystko – odpowiedziała – Rzeczy, które ty widziałeś... ja nawet nie mogę ich sobie wyobrazić. Co najlepiej pamiętasz?

Długa cisza zapadła w pomieszczeniu, Caleb siedział bez ruchu ze zmarszczonymi brwiami.

- Trudno powiedzieć – rozpoczął cicho – Na początku, przez kilka pierwszych stuleci, byłem po prostu ogarnięty radością życia, wiek po wieku. Ja żyłem, gdy wszyscy moi bliscy umierali. Na początku zaczynasz tracić przyjaciół i rodzinę, wszystkich, których kiedykolwiek kochałaś. To najbardziej boli. To najtrudniejszy okres. Zaczynasz czuć się bardzo, bardzo samotna.

- Po kilku pierwszych stuleciach zaczynasz przywiązywać się bardziej do miejsc, niż do ludzi. Do wiosek, miast, budynków, gór. Tego właśnie się chwytasz.

- Jednak wieki płyną i nawet miejsca zaczynają znikać. Miasta znikają, nowe pojawiają się w ich miejsce. Jedne kraje przemieniają się w drugie. Wojny ścierają na proch całe cywilizacje. Języki zanikają. Więc uczysz się, by także i do tego się nie przywiązywać.

Chrząknął, by oczyścić gardło.

- Kiedy miejsca, które kochasz zaczynają znikać przywiązujesz się do tego, co posiadasz. Przez setki lat zbierałem artefakty, bezcenne skarby. Sprawiało mi to wiele radości. Ale po kilkuset latach i to traci swój powab. Zaczyna być bezcelowe.

- Wreszcie, po tysiącach lat, patrzysz inaczej na życie. Nie przywiązujesz się ani do ludzi, ani do miejsc czy tego, co posiadasz. Nie przywiązujesz się do niczego.

- Więc co pozostaje? – Caitlin spytała wreszcie – Na czym ci zależy? Musi być coś takiego.

Caleb patrzył przed siebie, zamyślony.

- Wydaje mi się – powiedział wreszcie – że to, co pozostaje, gdy wszystko inne odchodzi to... wrażenia.

- Wrażenia?

- Wrażenia, jakie wywarli na tobie ludzie. Pamięć czasu, który spędziliście razem. W jaki sposób wpłynęli na ciebie.

Caitlin starała się dobrać słowa bardzo starannie.

- Masz na myśli... związki? W sensie, miłość?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Czują, że on również starannie dobiera swoje słowa.

- Wiele rodzajów związków jest istotnych, jednak w końcu miłość wydaje się najdłużej siedzieć ci w głowie – powiedział wreszcie – Poza tym jest w tym coś więcej. Na początku rzeczywiście jesteś zakochany. Z czasem jednak taka osoba...

staje się częścią siebie samego. Nie wiem jak inaczej to wyjaśnić. Ale po tych wszystkich stuleciach to właśnie w tobie zostaje.

Caitlin była wzruszona jego szczerością. Sądziła, że opowie jej o czasach, gdy się urodził, gdy dorastał. Lecz jak zwykle zrobił o wiele, wiele więcej. Jego słowa dotknęły ją do głębi. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

- Po tak długim czasie – kontynuował wreszcie – gdy spotykasz ludzi od razu starasz się określić, kim byli dla ciebie w poprzednich wcieleniach. Teraz, gdy poznaję kogokolwiek, dochodzę do wniosku, że spędziłem z tą osobą sporo czasu w jakimś poprzednim wcieleniu. Oni nigdy nie pamiętają, ale ja zawsze pamiętam. Wystarczy czasem poczekać, by rozpoznać osobę, jako wcielenie kogoś, kogo znałem. Wreszcie dociera to do mnie i wszystko nagle nabiera sensu.

Caitlin bała się zadać kolejne pytanie. Zawahała się.

- A... co z nami?

Caitlin zmarszczyła brwi wpatrując się w ogień. Caleb długo czekał z odpowiedzią.

- Jesteś jedyną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem, przy której wszystko jest... niejasne. Wiem, że znałem cię kiedyś. Nie wiem jednak jak i kiedy. Coś sprawia, że nie widzę tego jasno, nie wiem dlaczego. Zakładam więc, że jest w tobie – w nas – coś, czego nie powinienem wiedzieć.

Caitlin nie wiedziała, co powiedzieć. Przepelniały ją uczucia do niego i nie ufała sobie na tyle, by cokolwiek z tego wypowiedzieć. Wiedziała, że wszystko zabrzmi nie tak, jak powinno.

Wstała i złapała za gałąź trzęsącymi się dłońmi, chcąc dorzucić ją do ognia.

Była zbyt zdenerwowana, więc drewno wysliznęło się jej z rąk i wylądowało na podłodze z głuchym łupnięciem.

Caitlin i Caleb obydwójce oderwali się od swoich myśli i spojrzeli po sobie.

Ten głuchy dźwięk: niczym pusta skrzynia. Podłoga. Coś znajdowało się pod podłogą.

Obydwoje podeszli do tego miejsca i Caleb oczyścił je dłoni. Wylał kurz zbierający się od wieków, odsłaniając nagie drewno. Popukał w nie mocno i znów dało się słyszeć ten głuchy odgłos.

- Odsuń się – powiedział, więc oparła się o ścianę.

Gdy stanęła dalej, cofnął dłoń i ciosem pięści wybił dziurę w podłodze.

Drewno trzasnęło, po czym sięgnął do otworu i wyrwał jeszcze kilka desek.

Caitlin złapała świeczkę i zbliżyła ją do powstałej dziury. Miejsca nie było dużo, pod spodem była już tylko ziemia. Caitlin przybliżyła świeczkę. Z początku niczego nie dostrzegli, jednak gdy świeczka była bliżej jednego z rogów, zobaczyli coś.

- Tam, zobacz.

Caitlin sięgnęła do środka i powoli wyjęła znalezisko. Uniosła je wyżej i wytarła z grubej warstwy kurzu.

Był to niewielki woreczek z czerwonej satyny, przewiązany sznurkiem.

Podawała świeczkę Calebowi i zabrała się za otwieranie woreczka.

Zastanawiała się, co takiego mogło być w środku. Moneta? Biżuteria? Serce biło jej z podniecenia. Powoli sięgnęła do środka i poczuła chłód metalu.

Wyjęła przedmiot, by obydwójce mogli się mu przyjrzeć.

Był to niewielki klucz.

Sięgnęła raz jeszcze do woreczka, by sprawdzić czy nie było tam nic więcej.

To wszystko, tylko ten kluczyk.

Podawała go Calebowi. On także unosił go wysoko, bliżej ognia, by obejrzeć go z każdej strony.

- Widziałeś go kiedykolwiek? – spytała Caitlin.

Potrząsnął głową.

Caitlin podeszła do niego, blisko, usiadła przy ogniu, by oglądać klucz. Gdy

tak obracali go w dłoniach, zauważyła coś. Pośliniła palec i przetarła nim metal.

Ostatnia warstwa kurzu została usunięta i ich oczom ukazała się niewielka inskrypcja wyryta drobnymi literkami.

The Vincent House

Spojrzała na Caleba.

- Co o tym myślisz?

Odchylił się do tyłu, potrząsnął głową i westchnął.

- Wygląda na to, że to nie koniec naszych poszukiwań – powiedział wreszcie.

W jego głosie słychać było rozczarowanie. Widać było, że miał nadzieję znaleźć miecz w tym miejscu. Było jej przykro. Z jakiegoś powodu czuła się winna temu niepowodzeniu. Ona także była sfrustrowana tymi wszystkimi zagadkami. Też oparła się o ścianę, przygotowując się na długie poszukiwania.

Przynajmniej znaleźli jakiś trop, nie utknęli w martwym punkcie. Przynajmniej mieli ten klucz. Ciekawe, do czego...

Zanim zdołała skończyć swą myśl, nagły ból przygiął ją do podłogi. Ukłucie głodu było silniejsze niż kiedykolwiek. Ledwo była w stanie zaczerpnąć tchu.

Poczuła dłoń na ramieniu.

- Caitlin?

Nie czekał aż mu odpowie. Poczuła silną rękę pod swoim ramieniem, czuła że podnosi ją i niesie, wybiegając z chatki, przez gęstwinę gałęzi, w głąb lasu.

Bóle szarpały nią raz za razem, a on niósł ją przez las.

Poczuła, że gdzieś wewnątrz budzi się szal. Dzika chęć zaspokojenia głodu.

Dzika chęć zabijania. Jej ciało przemieniało się szybko, i gdy wiała się mu w rękach, nie wiedziała, jak długo jest w stanie zachować nad sobą kontrolę.

Caleb wreszcie zatrzymał się, posadził ją i pomógł jej stanąć o własnych siłach. Przytrzymał ją za ramiona i spojrzał jej w oczy.

- Musisz mnie posłuchać. Wiem, że to trudne, lecz musisz się skupić.

Starła się jak mogła, by skupić się na jego słowach, jego oczach. Świat zaczęła zasłaniać krwawa mgiełka, potrzeba zabijania wypełniała jej żyły.

- Czujesz głód, potrzebujesz krwi. Jak najszybciej. Jesteśmy w lesie. Nauczę cię, co robić. Zapolujemy razem.

Nauczę cię. Nauczę cię. Starła się skupić na tych dwóch słowach.

Poczuła, że ciągnie ją za rękę. Pobiegli, na nocne łowy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Samantha obudziła się bladym świtem i spojrzała przez ramię. Obok leżał ten nastoletni chłopak. Sam. Tak łatwo było go uwieść. Prawie było jej go szkoda.

Wiedziała, że naruszyła prawo idąc do łóżka z człowiekiem, ale ten chłopak był

taki młody i świeży, że zdecydowała się nagiąć zasady. Czemu nie? Nikt nigdy się nie dowie. Ona nikomu nie powie, a Samowi nie pozwoli żyć na tyle długo, by miał szansę komukolwiek o tym powiedzieć. Raz na kilkaset lat musiała się trochę zabawić. Przynajmniej na tyle mogła sobie pozwolić.

Poza tym było w nim coś, dzięki czemu był prawie znośny, jak na człowieka.

A właściwie, jeśli miała być ze sobą szczerą, więcej jak znośny. Nie umiała dokładnie tego określić i właśnie to nie dawało jej spokoju.

Podenerwowana tymi uczuciami podniosła się, wciąż naga, i jednym płynnym ruchem wyskoczyła z łóżka i cicho przeszła przez pokój. Podniosła swoje ciuchy i ubrała się szybko, wyglądając przez rozsuwane, szklane drzwi. Słońce właśnie wschodziło. *Zabawne – pomyślała. Spać w ciągu nocy i budzić się rano. Jak zwykły człowiek.* Sama myśl sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze, ale czasem trzeba było zrobić wyjątek.

Spojrzała za siebie i zobaczyła, że chłopak śpi spokojnie.

Wymęczyła go porządnie. Wiedziała, że nigdy nie zdarzyło mu się nic takiego, no i już nie zdarzy.

W końcu swoje doświadczenie zbierała przez dwa tysiące lat.

Poszcęściło mu się. Przynajmniej do czasu. Równie wielkie nieszczęście przydarzy mu się w nadchodzących tygodniach, gdy już się nim nasyci, i gdy dowie się wszystkiego o jego ojcu. Wtedy się go pozbędzie. Ale póki co, był fajną zabawką. Naprawdę fajną.

Ponieważ była gibka i bezszelestna niczym kot, mogła swobodnie poruszać się po całym domu, a on nie usłyszałby najmniejszego dźwięku. No chyba że właśnie tego by chciała. Jeden z wielu plusów bycia wampirem.

Był tak naiwny: naprawdę uwierzył, że dom należał do niej. Martwiła się, jak wytłumaczy brak koców, prześcieradeł czy poduszek – zresztą brak czegokolwiek w tym domu – ale ku jej zaskoczeniu, on nawet nie spytał. A dom był przynajmniej częściowo umeblowany. Pewnie wszystko to było robotą jakiegoś zdesperowanego agenta nieruchomości, który przygotowywał dom na jakieś przyszłe wizyty. Przynajmniej jej to się przydało.

Poczuła, że w jej żyłach znowu płynie żar, zorientowała się, że nie może czekać ani chwili dłużej. Musiała się pożywić. Trudno jej było przespać się z nim i nie zakończyć tego, jak zwykle czyniła, pić krwi. Ale potrzebowała go żywego. Był kluczem, musiała więc się kontrolować. Jednak to nie powstrzymało

głodu, więc gdy tak przechadzała się po pustym domu, wyglądając za okno na jaśniejące niebo i pustą szosę, zastanawiała się, czy jacyś ludzie, mogą zapuszczać się w te okolice. Może małe dziecko, które wstało trochę za wcześnie.

Byłoby doskonale.

Zanim jednak skończyła myśl, lśniąca BMW skręciło wprost na ich podjazd.

Pod kołami zaskrzypiał żwir, gdy błyszczące opony samochodu toczyły się powoli w stronę domu. Któż taki, zastanawiała się, mógł podjeżdżać pod dom o tej porze dnia? Kto mógł wiedzieć, że tu była?

Serce zamarło jej na chwilę, gdy pomyślała, że to może być członek jej klanu.

Czy ktokolwiek mógł wyczuć, że sypia z ludźmi? Czy jakiś jej rywal doniósł na nią i oto właśnie nadchodzi kara?

Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadł z nich człowiek, kiepsko ubrany w tani garnitur, niosąc pod pachą znak „Na sprzedaż”. Szedł w kierunku domu.

Ulżyło jej tak bardzo, że aż roześmiała się na głos. To tylko kolejny żaloszny człowieczek. Tym razem prawdziwy agent nieruchomości. Najgorsza gnida.

Oczywiście. To miało sens. Pewnie chciał kogoś oprowadzić po domu. Może zorganizował „dzień otwartych drzwi” i przyjechał z samego rana, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nadgorliwy. I zdesperowany.

Dostrzegła, jak na jego twarzy rysuje się coraz większe zdezorientowanie, w miarę jak orientuje się, że w środku ktoś jest. Samochód Sama stojący na podjeździe. Zapalone światło. Wydawał się zupełnie zbity z tropu, jakby przekopywał swój umysł, próbując przypomnieć sobie czy aby nie zostawił

zapalonego światła lub czyj mógł być ten samochód. Po chwili jednak, gdy doszedł do wniosku, że coś tu jest nie tak, jego wyraz twarzy zmienił się w zirytowany.

Samantha uśmiechnęła się. Jego irytacja sprawiała jej przyjemność, radowała się na myśl, że zaraz sprawy nabiorą dla niego dużo gorszy obrót. Nie mogła się doczekać.

Otworzyła szeroko drzwi frontowe i wyszła z domu, w kierunku mężczyzny.

Jego twarz zmieniła wyraz na oburzony.

- Co do jasnej cholery robisz w tym domu? – wykrzyknął przez długość trawnika, truchtając w jej kierunku – Masz pojęcie, że włamanie jest niezgodne z prawem? Ech wy dzieciaki, myślicie wszyscy, że to jakieś żarty, że można sobie przyłazić gdzie tylko wam się podoba. Mam tego dość. Tym razem ci się nie upiecze. Mam tego serdecznie dość! – wrzeszczał jak oszalały, wyciągając telefon z kieszeni, wciąż biegnąc w jej kierunku.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, co zupełnie wyprowadziło go z równowagi.

- Czy ty myślisz, że to są jakieś żarty? – powiedział podnosząc telefon do ucha.

Zbliżył się wreszcie i złapał ją obcesowo pod rękę. Obrócił się na pięcie, sądząc, że powlecze ją za sobą.

Szok odmalował się na jego twarzy, gdy zorientował się, że ona ma inne plany. Zanim porządnie chwycił jej rękę, ona wykręciła mu ramię za plecy jednym, płynnym ruchem, na tyle mocno, by złamać je w pół.

Jego twarz skrzywiła się w bólu. Zanim jednak zdołał wydać z siebie krzyk, złapała jego głowę i szarpnęła w dół, objając ją o swoje kolano. Rozniósł się trzask kości i zapadła cisza, gdy jego ciało zwiotczało.

Zanim jeszcze przewrócił się na ziemię, skoczyła mu do gardła, zatapiając zęby głęboko w jego szyi. Jej oczy wywróciły się ukazując białka. Czuła ekstazę jego krwi krążącej w jej ciele.

Gdy wreszcie skończyła, podniosła jego martwe ciało, podeszła do samochodu, otworzyła bagażnik i wrzuciła trupa do środka. Zanim zatrzasnęła klapę, sięgnęła mu do kieszeni spodni i wyjęła kluczyki do samochodu.

Ruszyła z powrotem w kierunku domu, wycierając ostatnie krople krwi z ust, podziwiając poranne niebo.

Zapowiadał się wspaniały dzień.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Caitlin biegła. Znów była na łące, biegła przez sięgającą kolan trawę. Był

świt, i gdy tak biegła, świat zdawał się wirować wokół. Czowała jakby biegła prosto w stronę wielkiego, jarzącego się słońca.

A w oddali, na horyzoncie, stał jej ojciec, jego sylwetka podświetlona słońcem. Ręce rozłożone, jakby w oczekiwaniu na jej uścisk. Nie była w stanie dostrzec jego twarzy, lecz wiedziała, że uśmiecha się, czekając by ją przytulić.

Szybciej, musiała biec szybciej.

Caitlin puściła się pędem, lecz nieważne jak szybko biegła, on zdawał się oddalać.

Nie była zdziwiona. Ten sen zawsze był taki sam. Część niej doskonale wiedziała co będzie dalej.

Lecz tym razem stało się coś innego. Tym razem, nagle, zaczęła się zbliżać.

Gdy zbliżała się coraz bardziej, 50 metrów, 20, wreszcie 10, po raz pierwszy w życiu, zobaczyła go wyraźnie. Stał tam, potężny, wysoki i dumny, w całej swej chwale, podświetlony słońcem. Był przystojnym mężczyzną. Wojownikiem. Z

jakiegoś powodu zdawał się przypominać Caleba.

Wreszcie padła w jego ramiona i uściśnęła go mocno, on zaś uściskał ją. To wspaniale wreszcie znaleźć się w jego ramionach.

- Tatusiu! – wykrzyknęła.

- Moje dziecko – powiedział ciepłym, pięknym, uspokajającym głosem – Tak bardzo się stęskniłem. Obserwuję cię tam, z góry. I jestem z ciebie bardzo dumny.

Wziął ją za ramiona, cofnął się na odległość wyciągniętej ręki i spojrzał jej w oczy.

Jego były jasnożółte, koloru słońca, świecące prosto na nią.

Nie była w stanie patrzeć, lecz jednocześnie nie była w stanie odwrócić oczu.

Promieniowały takim ciepłem i miłością.

- Pamiętasz, Caitlin? – spytał – Pamiętasz jak byłaś mała? Gdzie jeździliśmy?

Nad urwiska, czerwone urwiska.

W głowie błysnął jej obraz wielkich, czerwonych urwisk, wielkich skał

rozsypanych na plaży, aż do samej wody. Magiczne miejsce. Tak, pamiętała.

Wszystko wracało do niej.

- Tam mnie znajdziesz – powiedział – Szukaj dalej. Tam właśnie mnie znajdziesz.

Jego postać zaczęła blednąć, i gdy sięgnęła, by go uchwycić, już go nie było.

Caitlin obudziła się nagle.

Leżała płasko na plecach, spoglądając na wierzchołki drzew. W oddali, przez

gałęzie, widziała niebo. Strzęp chmur przepłynął powoli.

Nie miała pojęcia gdzie się znajduje, ale czuła się jakby nadal we śnie.

Słyszała wiatr szeleszczący w drobnych, bezlistnych gałęziach i czuła, jakby cały świat ożył, poruszał się i wydawał dźwięki.

Mimo że leżała pod gołym niebem, było jej wygodnie. Rozejrzała się, by zobaczyć, że leży na posłaniu z miękkich igieł sosnowych. Zaraz obok leżał

Caleb. Jej serce wypełniło się szczęściem. Wspaniale było spać tak blisko niego.

Miała nadzieję, że nie obudzi się jeszcze przez jakiś czas, że ta chwila będzie trwać wiecznie. Teraz wszystko zdawało się być na swoim miejscu.

Spojrzała z powrotem w niebo, starając się przypomnieć sobie, jak się tu znaleźli. Przypomnieć sobie poprzednią noc.

Pamiętała picie krwi. Znaleźli stadko jeleni, Caleb uspokoił ją i nauczył

czekać. Nauczył ją jak się kontrolować. Pamiętała uczucie jasności umysłu.

Gdy wreszcie rzuciła się za nimi w pogoń, jej ciało zaskoczyło ją, podpowiadając co robić i jak. Z zawrotną prędkością biegła przez las i by dorwać swoją ofiarę.

Pamiętała oplatanie ramionami szyi jelenia i to jak zwierzę uniosło ją. Biegło szybko, szybciej niż mogłaby sobie wyobrazić. Lecz w końcu znalazła odpowiednią żyłę i zatopiła w niej zęby. Wrażenie było oszalamiające.

Nigdy nie czuła się tak żywa jak wtedy, gdy krew jelenia krążyła w jej ciele.

Cała płonęła. Zupełnie odświeżona.

Bóle powoli zniknęły, tak jak głód. Poza tym czuła się silniejsza niż kiedykolwiek. Czuła, jakby świat należał tylko do niej.

Spojrzała na Caleba. On także polował wczorajszej nocy. Spotkali się potem, obydwójce tak uradowani, i jednocześnie zmęczeni. Położyli się na leśnym poszyciu, blisko siebie, i spoglądali na kołyszające się drzewa. Słuchali szumu wiatru.

Zaraz potem, wystarczyła chwila, obydwójce zasnęli twardo.

Teraz, leżąc obok, przysuwała się powoli, chcąc przekonać się, jak to jest znaleźć się w jego ramionach. Wciąż miała na sobie jego skórzany płaszcz, wyciągnęła rękę, by rękaw zsunął się z jej dłoni i dotknęła jej grzbietem jego policzka. Był taki gładki. Wyobraziła sobie, że są razem, że są parą.

Nagle Caitlin usłyszała szelest, więc podniosła się.

Zaraz przed nią ukazało się stado wilków. Nigdy wcześniej nie widziała wilka i nie wiedziała jak zareagować. Co dziwne, nie bała się wcale. Była zaciekawiona, zahipnotyzowana. Tak naprawdę, patrząc na nie, czuła dziwne podobieństwo dusz.

Nie odrywając od nich wzroku, sięgnęła w stronę Caleba i potrząsnęła nim.

Podniósł się szybko, zaniepokojony. Patrzyli obydwójce jak stado podchodzi

bliżej, na kilka metrów, wężąc i okrążając ich.

- Nie bój się – Caleb powiedział cicho – Czuję ich myśli. Są tylko ciekawe.

Bądź spokojna.

Caitlin siedziała bez ruchu, obserwując, jak przywódca stada podchodzi do niej, centymetry od jej twarzy, prawie przykładając nos do jej policzka.

Siedziała tak w napięciu przez kilka chwil, zastanawiając się jak zareagować.

Serce jej waliło, chciała odepchnąć wilka od siebie. Ale posłuchała rady Caleba i siedziała spokojnie, bez ruchu.

Nagle wilk odwrócił się i odszedł, reszta stada ruszyła za nim.

Oprócz jednego. Mały wilczek, szczenię, niewiele większy od małego pieska został z tyłu. Kulał i spoglądał za swoim stadem. Lecz potem odwrócił się i spojrzął na Caitlin, podszedł do niej blisko.

Wszedł na jej kolana i usiadł, opuszczając głowę. Było jasne, że nie chce odchodzić.

- Stado nie chce jej wśród nich – powiedział Caleb – Jest ranna. Jest ciężarem. A oni są zbyt głodni i niecierpliwi. Porzucili ją.

Caitlin starała się skupić, starała się posłuchać myśli zwierzęcia, tak jak robił

to Caleb. Nie mogła odczytać nic dokładnie, ale czuła jakąś energię, jej uczucia.

Czuła się bardzo samotna. I przestraszona.

Caitlin sięgnęła w dół, podniosła ją i trzymała na rękach. Gdy głaskała łeb zwierzęcia, wilczyca odwróciła się i polizała ją po twarzy.

Uśmiechnęła się.

- Zdobyłaś przyjaciela – powiedział Caleb.

- Możemy zabrać ją ze sobą? – spytała.

Caleb zmarszczył brew.

- To nienajlepszy pomysł – powiedział – jej woń... może przyciągnąć inne rzeczy.

- Nie możemy jej tak tu zostawić – zaprotestowała Caitlin, nagle czując się odpowiedzialną za zwierzę – *Nie możemy*.

- Tam, gdzie się wybieramy, nie będzie bezpiecznie. Narazimy ją tylko.

- A tu będzie bezpieczna? – spytała – Umrze, jeśli ją zostawimy.

Caleb myślał dłuższą chwilę.

- No dobrze, możemy ją zabrać...

Wilczyca, jakby wszystko rozumiejąc, podbiegła i skoczyła Calebowi na ręce i polizała go po twarzy.

Caleb uśmiechnął się szeroko i pogłaskał ją.

- No już, już, maleńka – powiedział.

- Jak damy jej na imię? – spytała Caitlin.

Caleb zamyslił się.

- Nie wiem – powiedział wreszcie.

Nagle pomysł przyszedł jej do głowy. Róża i Cierń.

- Róża – powiedziała nagle – Nazwiemy ją Róża.

Caleb spojrział na nią i pokiwał głową z aprobatą.

- Róża – powiedział – Tak, pasuje doskonale.

Jak gdyby w odpowiedzi na swoje nowe imię Róża pobiegła z powrotem na kolana Caitlin i przytuliła się do jej piersi.

- Wilcza rodzina to potężny omen – powiedział Caleb – Oznacza, że siły natury są po naszej stronie. Nie jesteśmy sami w naszych poszukiwaniach.

- Miałam sen wczorajszej nocy – powiedziała Caitlin, przypomniawszy sobie

– Był niepodobny do żadnego wcześniejszego. Był taki żywy. Zupełnie jak...

odwiedziny. Mojego ojca.

Caleb odwrócił się i spojrział na nią.

- We śnie przypominałam sobie wszystko. Stare wspomnienie. Pewnego lata, jeśli dobrze pamiętam, ojciec zabrał mnie gdzieś. Na wyspę. Pamiętam wielkie skały nad oceanem, i strome urwiska, czerwone urwiska lśniące w świetle słońca-Oczy Caleba nagle rozjarzyły się.

- Śniłaś o urwiskach w Aquinnah – powiedział – Tak. To ma sens.

- W moim śnie ojciec zasugerował, bym tam wróciła. Powiedział że... tam go *znajdę*.

- To nie był sen – powiedział Caleb, prostując się – Wampiry nawiedzają poranne sny. Twój ojciec chce, byśmy udali się do urwisk.

- A co z kluczem, który znaleźliśmy? – spytała Caitlin.

- Nie wiemy jeszcze co otwiera – odpowiedział – *Vincent House* może być wszędzie. To właściwie ślepy zaułek. Tym sposobem niczego nie znajdziemy.

Caleb podniósł się na nogi.

– Musimy natychmiast udać się na klify

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sam obudził się w obcej sypialni i rozejrzał wokół. Starał się przypomnieć sobie, gdzie się znajdował. Łóżko było wygodne, bardziej wygodne niż jakiegokolwiek, na którym spał od dłuższego czasu, jednak nie mógł przypomnieć sobie czyje było, ani co tu robił.

Wreszcie przypomniał sobie. Samantha.

Odwrócił się i poszukał jej wzrokiem, lecz nigdzie jej nie było. Czy to stało się naprawdę? A może to był tylko sen?

Usiadł na łóżku, przetarł oczy i zorientował się, że jest nagi i leży na łóżku bez pościeli. Jego ubrania wały się po podłodze. Był wykończony, ale czuł się świetnie. Był zupełnie odmienionym człowiekiem. *Mężczyzną*. Po raz pierwszy w życiu obudził się, czując się jak prawdziwy facet. Nigdy nie przeżył nic takiego i mógł się założyć, że nigdy więcej nie będzie miał okazji. Ona była niesamowita.

Sam skoczył na równe nogi, ubrał się i ruszył przez pusty dom. Wyjrzał przez szklane drzwi i zobaczył, że dzień dopiero się rozpoczyna. To też było dziwne.

Nie widział wschodzącego słońca od nie wiadomo kiedy. Rzadko zdarzało mu się wstawać przed dwunastą.

Był głodny i chciało mu się pić, poza tym był wykończony.

- Samantha? – krzyknął, przechadzając się po domu.

Chodził od pokoju do pokoju, jednak nigdzie nie mógł jej znaleźć. Zaczął

zastanawiać się, czy rzeczywiście to wszystko nie było tylko wytworem jego wyobraźni.

Przeszedł do dużego pokoju i wyjrzał przez wielkie okno. Na podjeździe stała jego półciężarówka. Ale dalej, za nią stało lśniące BMW. Zastanawiał się, czy należało do niej. I dlaczego wcześniej go nie zauważył. Ta laska była pełna niespodzianek.

Ale tak naprawdę niewiele go to obchodziło. Nawet nie obchodziło go, czy będzie miał miejsce do spania. Zdał sobie sprawę z tego, że najzwyczajniej w świecie lubił z nią przebywać. Jej zapach. Dźwięk jej głosu. Sposób, w jaki się poruszała. I ostatnia noc, oczywiście. To było niewiarygodne.

Głównie jednak lubił mieć kogoś, z kim można pogadać. Kogoś, kto słuchał, kogo obchodziło co mówi, kto zdawał się go rozumieć. Chyba się zakochał.

Nie mógł w to uwierzyć, ale tak chyba było. A teraz, po tym wszystkim, mogła sobie pójść?

Otworzył drzwi frontowe i zobaczył ją. Samanthę. Chciała otworzyć drzwi w tym samym momencie.

- Cześć – powiedział Sam, starając się, by zabrzmiało to zwyczajnie. Cieszył

się, że ją widzi. Czuł, że jego serce skoczyło na sam jej widok. Rankiem wyglądała jeszcze ładniej niż poprzedniej nocy, z długimi, rudymi włosami okalającymi twarz i zielonymi oczami wpatrzonymi w niego. I bladą skórą. Sam był dosyć blady, ale ona miała skórę jaśniejszą, niż ktokolwiek ze znanych mu ludzi.

- Cześć – powiedziała po prostu. Wyglądała na zawstydzoną, jakby ją zaskoczył i złapał w trakcie robienia czegoś.

Weszła do domu ocierając się o niego.

Odwrócił się i poszedł za nią, zmieszany. Zastanawiał się, czy zrobił coś złego. A może nie był wystarczająco dobry. Może chciała, by sobie poszedł.

Zaczął czuć się nieswojo.

Usłyszał odgłos lecącej wody. Stała nad umywalką myjąc ręce i przemywając twarz wodą. Pewnie dopiero co się obudziła, może wyszła na poranny spacer.

- Wcześniej wstałaś – powiedział z uśmiechem, patrząc jak znowu przemywa twarz.

Zatrzymała się na chwilę, po czym sięgnęła po ręcznik i wytarła twarz.

Odgarnęła włosy z twarzy i wzięła głęboki oddech.

- Tak – powiedziała – poranne bieganie. Zwykle wstaję wcześniej.

- Tak bez butów? – zapytał.

Samantha spojrzała w dół i zorientowała się, że jest bosa. Twarz jej poczerwieniała. Chłopak był spostrzegawczy.

- To lepiej dla stóp – powiedziała, po czym szybko odwróciła się i wyszła do drugiego pokoju.

Zaskoczony tą ucieczką Sam zastanawiał się, czy aby go nie unika. Może zmieniła zdanie. Pewnie w jakiś sposób udało mu się wszystko popsuć.

Oczywiście. Zawsze, gdy przytrafiało mu się coś dobrego, on potrafił wszystko spieprzyć.

Sam poszedł za nią do dużego pokoju. Stwierdził, że musi wyjaśnić sprawy, porozmawiać z nią.

Gdy wszedł, zbierała właśnie włosy z twarzy, by związać je w kucyk. Jej policzki były zaróżowione i wyglądały jakby nabierały kolorów z każdą chwilą.

Naprawdę musiała porządnie się przebiec, pomyślał.

- Samantha – zaczął niepewnie – ostatnia noc była wspianiała.

Odwróciła się i spojrzała na niego, jej twarz rozjaśniła się lekko. Podeszła do niego powoli, położyła jedną dłoń na jego policzku i pocałowała go wolno.

Serce Sama zabiło mocniej. Nie miała go dosyć. Nic nie spieprzył. Jego optymizm zaczynał wracać. Pragnął jej.

Ale zanim zdołał ją objąć wycofała się, podeszła do kanapy i narzuciła swój czarny, skórzany płaszcz.

- Nosi mnie – powiedziała – Wyjdźmy gdzieś.

Spojrzała na niego.

- Wybierzemy się na przejażdżkę? – spytała.

- Przejażdżkę? – powiedział, zerkając na zegarek – Tak wcześnie?

- Nie znoszę siedzenia beczynnie – powiedziała – Chciałabym wyjść. Chodź, przyda nam się trochę świeżego powietrza. Co ty na to? – spytała, spoglądając na niego swoimi zielonymi oczyma.

Gdy ich oczy spotkały się, poczuł, że jego myśli biegną innym torem. To było jak czary. Nagle stwierdził, że jej plany bardzo mu się podobają: były najbardziej sensowną rzeczą na świecie. Miała rację. Po co wciąż siedzieć w domu? To nudne. Nagle poczuł tę samą potrzebę wyjścia, co ona. Czuł że nie wytrzyma w domu ani chwili dłużej.

- Jasne, chodźmy gdzieś – usłyszał swoje słowa – ale gdzie?

- Napisz do swojego taty – powiedziała – Powiedz, że wpadniemy z wizytą.

Sam poczuł, że jego brwi unoszą się w zdumieniu.

- Do mojego taty? W sensie, że tak teraz?

- Czemu nie? Chcieliście przecież się spotkać. Dziś jest taki sam dzień jak co dzień. Jest w Connecticut, tak? To będzie fajna przejażdżka.

Sam starał się zebrać myśli. Wszystko działo się strasznie szybko.

- Wiesz, nie wiem czy on będzie mógł, tak z dnia na dzień.

- Sam – powiedziała twardo – on często pisze do ciebie maile. Bardzo chciałby się spotkać. Po prostu napisz i spytaj. Tak czy inaczej możemy pojechać.

Jeśli nie będzie chciał się spotkać, to i tak zrobimy sobie fajną wycieczkę.

Zastanowił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że ona znów ma rację. No jasne. Czemu sam na to nie wpadł? Wyprawa do Connecticut. Napisze maila do taty. Tak, świetny pomysł.

Wyciągnął komórkę, zalogował się na Facebooka i wpisał wiadomość: *Tato, chciałbym przyjechać, zobaczyć się z tobą. Właśnie wychodzę z domu. Jestem kilka godzin drogi od ciebie. Proszę podaj mi swój adres. Mam nadzieję, że przeczytasz tą wiadomość wystarczająco szybko. Pozdrawiam, Sam.*

Sam wsadził swój telefon do kieszeni, wziął kluczyki i wyszedł przed drzwi wyjściowe. Samantha czekała już na zewnątrz.

Gdy przeszli przez trawnik kierując się w stronę BMW, Sam powiedział:

- Fajny masz ten samochód.

Uśmiechnęła się pokazując kluczyki.

- Dzięki – powiedziała – Długo na niego oszczędzałam.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdy Caitlin i Caleb stali przy barierce, spoglądając na ocean, prom płynący na wyspę Martha's Vineyard odezwał się basowym dźwiękiem syreny i zaczął

odpływać. Catlin spojrzała w dół na płynącą wodę, była podekscytowana.

Uwielbiała statki. Czowała się szczęśliwa i wolna. Gdy tak patrzyła na fale kołyszące się pod nią, naszała ją myśl, że w jej starym życiu pewnie siedziałaby teraz na jakiejś durnej lekcji, słuchając

przynudzania jakiegoś nauczyciela. A tak, mogła poczuć się jak dorosła. Niezależna. Cały świat należał do niej.

Spojrzała na Caleba, oczekując, że też będzie wesoły, jednak ku jej zdziwieniu, wydał jej się podenerwowany. Nigdy wcześniej go takim nie widziała.

Wyglądał bardziej blado niż zwykle. Była ciekawa czy nie lubi statków, a może nie umie pływać.

Sięgnęła w jego stronę i położyła uspokajająco rękę na jego dłoni.

- W porządku?

Kiwnął głową i przełknął ślinę. Mocno wczepiał się w barierkę i spoglądał w dół, na wodę jakby była wrogiem.

- Co się dzieje? – spytała.

Znów przełknął ślinę.

- Woda – powiedział zwięźle. Chwycił barierkę jeszcze mocniej.

- Nasza rasa nie lubi wody. Przeprowadzanie się przez wodę, w szczególności.

Większość nawet nie próbuje.

Caitlin natomiast czuła się świetnie. Ciekawe czy to dlatego, że nie jest w pełni wampirem.

- Czemu? – spytała.

- Woda działa trochę jak psychiczna ochrona – powiedział – Gdy przepławiasz się przez duży akwen, przepływasz także przez pole energii. Ono wygłusza nasze zmysły. Osłabia je. Trudniej nam wtedy zorientować się o czym myślą inni, trudniej na nich wpłynąć, trudniej wyczuć pewne rzeczy. Trochę, jakby zaczynać od nowa. Tracisz swoją moc i ochronę, którą miałaś na lądzie.

Róża nagle wycofała się głębiej pod kurtkę Caitlin. Czuła, że cała się trzęsie, jakby ona też była przestraszona. Włożyła rękę pod pazuchę i podrapała ją po łebku.

Odwróciła się i zobaczyła, że na dużym promie jest tylko kilkoro innych ludzi.

Górny pokład był praktycznie pusty. Mieli szczęście, że prom w ogóle pływał, zważywszy porę roku. Zimne marcowe powietrze, wraz z mgłą wznoszącą się nad falami, sprawiało, że rejs nie był najprzyjemniejszy.

- Chcesz wejść do środka? – spytała.

Wpił się rękoma w barierkę jeszcze mocniej, wyglądając w stronę wody.

- Jeśli nie masz nic przeciwko – powiedział wreszcie.

- Oczywiście, że nie – powiedziała – Poza tym jestem zziębnięta.

Szli pomiędzy rzędami pustych siedzeń, aż znaleźli dwa przyległe siedzenia przy oknie.

Gdy Caleb usiadł, Róża wyciągnęła łebek zza kurtki Caitlin i odezwała się cichym skomleniem.

- Wydaje mi się, że jest głodna – powiedziała Caitlin – Co jedzą wilcze szczenięta?

Caleb uśmiechnął się.

- Nie wiem. Krówki ciągutki?

Caitlin odpowiedziała uśmiechem.

- Zobaczą co mają w sklepiku. Chcesz coś?

Caleb potrząsnął głową, wciąż wyglądając, jakby miał chorobę morską.

Caitlin podeszła do lady by popatrzeć na półki z czipsami i cukierkami.

Zamówiła hot-doga dla Róży, dla siebie Snickersa i jeszcze jednego dla Caleba, gdyby zmienił zdanie.

Gdy już zapłaciła i zbierała się do odejścia, coś zatrzymało ją w pół kroku.

Zauważyła ulotkę przypiętą do ściany. Przystudiowała ją szybko i zamarła. Ledwo mogła uwierzyć w to, co widzi.

Zdarła ją ze ściany i wróciła prędko na siedzenie.

Wyciągnęła rękę przed siebie, pokazując ulotkę Calebowi.

Spojrzał na nią raz, potem drugi. Szczeka opadła mu do samej ziemi.

Ulotka była reklamą atrakcji na Martha's Vineyard. Jedną z nich był *Vincent House*.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sam siedział na przednim siedzeniu BMW, gdy gnali autostradą międzystanową. Nie mógł w to uwierzyć. To było jak sen. Siedział

sobie w nowiułtkim BMW, mknąc autostradą, pełen relaks, z gorącą laską obok siebie.

Samochód był *jej* i to *ona* prowadziła. Już przedtem wydawała się fajna, teraz była fantastyczna. Czuł się jak w jakimś filmie z Jamesem Bondem. Takie rzeczy nigdy mu się nie zdarzały. Dziewczyny go nie zagadywały, a te kilka razy, gdy próbował je podrywać – nic z tego nie wychodziło.

A tu sprawy nabierały coraz lepszego obrotu. Nie dość, że miała świetny dom, fantastyczne kółka, a poza tym nosiło ją, tak jak jego. Oboje mieli opuszczone okna. Powoli okazywało się, że marcowy dzień będzie całkiem ciepły. W radiu zaczęło grać Coldplay, więc Sam nieco pogłośnił. Był ciekaw czy ona nie ściszy radia, albo nie zmieni stacji. Zamiast tego zrobiła jeszcze głośniej. Nie mógł w to uwierzyć.

Sam wyrztał przez okno, by popatrzeć na mijane drzewa. Wyobrażał sobie, jak to będzie poznać tatę. Nie mógł uwierzyć, że to działo się naprawdę. Po tylu latach poszukiwań ma zobaczyć się z nim już za kilka godzin. Ledwo był w stanie uwierzyć, że przez te wszystkie lata jego ojciec był tak blisko. W Connecticut.

Kilka godzin jazdy.

Sam był ciekaw jak wygląda. Pewnie był fajnym facetem, wysoki, nieogolony, z dłuższymi włosami i motocyklem. Może miał tatuaże. Może nawet jakieś kolczyki. Był ciekaw gdzie mieszka, w jakim domu. Na pewno w jakimś fajnym, jakiejś wielkiej posiadłości, może nad samą wodą. Może jest emerytowaną gwiazdą rocka.

Wyobraził sobie jazdę długim podjazdem obsadzonym drzewami i podjeżdżanie pod same wejście. Już widział tatę otwierającego drzwi, wybiegającego na zewnątrz, uśmiechającego się na widok Sama. Widział jak tata obejmuje go i ścisza serdecznie. I przeprasza.

Tak mi przykro, synu. Staralem się odnaleźć cię przez te wszystkie lata, ale nie dałem rady. Teraz będzie inaczej. Będziesz mieszkał tu ze mną.

Sam uśmiechnął się na samą myśl. Ledwo był w stanie opanować podniecenie. Był ciekaw, czy właśnie dziś rozpocznie się jego nowe życie. Tak, im dłużej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobne się to wydawało. Może po prostu nie wróci do Oakville. Może zostanie tutaj, wprowadzi się. I wreszcie będzie miał odrobinę stabilizacji. Kogoś, kto wreszcie zatroszczy się o niego, niezależnie od wszystkiego. To będzie takie fajne. To pierwszy dzień jego nowego życia.

Spojrzał na Samanthę, obserwował ją jak prowadzi, przy opuszczonym oknie jej długie, rude włosy łopotały na wietrze. Była strasznie ładna, i bardzo fajna.

Był ciekawy, czemu jej na nim zależy, na jego tacie i całej tej wyprawie. Może po prostu była typem szukającym przygód, jak on sam. Zawsze chętna na nowe wrażenia.

Był ciekaw, czy nie będzie krępujące spotkać się z tatą w jej towarzystwie.

Ale pomyślał nad tym chwilę i stwierdził, że to mogło być nawet spoko. Dzięki temu wyda się znacznie fajniejszy, niż był naprawdę. Oto on, pojawia się z ekstra laską wiszącą na ramieniu. Tata będzie pod wrażeniem. Na pewno z dumą pokiwa na niego głową.

Był ciekaw co zrobi Samantha po tym wszystkim, po tym jak on wprowadzi się do taty. Może zostanie? Może ruszy dalej? Pewnie wróci do Oakville, przecież właśnie kupiła dom. Będzie musiała wrócić. Więc co dalej będzie między nimi?

Sam przygryzł wargę, nagle podenerwowany, zastanawiając się jak wszystko się ułoży, jak to wszystko rozwiązać. Jeśli tata będzie chciał, by się wprowadził –

tak właśnie robi. Choć naprawdę nie chciał zostawiać Samanthę.

Zajmie się tym kiedy indziej. Teraz miał trochę za dużo na głowie. A teraz po prostu chciał cieszyć się podróżą, cieszyć się chwilą.

Poczuł ryk silnika i zobaczył, że Samantha zmienia bieg na szóstkę, a prędkościomierz dobija do 160. Był w siódmym niebie. Ciekawe, czy pozwoliłaby jemu sięś za kierownicą. Nadal nie miał prawa jazdy, ale coś mu mówiło, że jej to nie obchodzi.

Wreszcie zebrał odwagę, by zapytać.

- Dasz mi poprowadzić?

Samantha spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Jej zęby były doskonale i lśniące.

- A dasz radę?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Caitlin i Caleb zsiadli z promu w Edgartown, niewielkiej wiosce na południowo-wschodnim krańcu Martha's Vineyard. Gdy szli w dół trapu, Caitlin zauważyła, że i Caleb, i Róża wyglądali, jakby ulżyło im, że są wreszcie na suchym lądzie. Róża wystawiła łebek i już tak

została, wężąc w powietrzu i popatrując wokół z wielką ciekawością.

Caitlin znów podniosła ulotkę do oczu i zapatrzyła się w nią. Nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Ulotka namawiała do wycieczek „po historii Martha’s Vineyard”, i tam, pod koniec listy zabytków napisane było: „Vincent House.

Zbudowany w 1672 r.”

Gdy zobaczyli ulotkę, zdecydowali się zmienić nieco plany. Najpierw odwiedzą Vincent House, a dopiero później klify Aquinnah. W sumie, grawerunek na kluczu był o wiele konkretniejszym tropem niż urwiska. Może nawet nie będą musieli jechać do urwisk. Teraz przynajmniej wiedzieli dokąd dokładnie się udać.

Oczywiście, Caitlin nadal trzymała klucz w kieszeni, pod ręką. Wsunęła rękę do kieszeni by upewnić się, że ich znalezisko nadal tam jest.

Caitlin i Caleb szli wzdłuż długiego nabrzeża, teraz zupełnie pustego.

Wydawało się, jakby cała wyspa należała tylko do nich. Pomimo pory roku stawało się powoli coraz cieplej. Teraz było już około 18 stopni. Caitlin chętnie pozbyłaby się kilku warstw grubego ubrania.

Spojrzała po sobie i zawstydzila się, że wciąż nosi ciuchy, które kupiła kilka dni temu od Armii Zbawienia. Naprawdę potrzebowała nowych ubrań. Jednak nie miała przy sobie ani grosza. A Caleba nie mogła prosić o pieniądze.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że poprawia kołnierz, jemu też chyba było za ciepło. Pogoda była jak późną wiosną, na pewno nie jak w marcu. Słońce było jasne, świeciło, odbijając się od wody.

Caleb nagle spojrzał na nią i jakby czytając jej w myślach, powiedział:

- Może sprawilibyśmy ci jakieś nowe ubrania? – i zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał – Bez obaw. Mam kartę kredytową bez żadnego limitu –

uśmiechnął się z zakłopotaniem – Jeden z plusów życia przez tysiące lat.

Gromadzisz majątek.

Caitlin zadumała się. Jakim cudem mógł zawsze czytać jej w myślach. Z

jednej strony to było wspaniałe, ale z drugiej trochę martwiło ją, co tak dokładnie mógł odczytać. Czy był w stanie usłyszeć jej najgłębsze myśli i uczucia? Miała nadzieję, że nie. Jednak czuła, że nawet jeśli tak, to był w stanie kontrolować jak głęboko się zapuszcza i że szanował jej prywatność.

- Jeśli to naprawdę żaden problem – Caitlin powiedziała z wahaniem – I

musisz pozwolić mi zwrócić ci pieniądze pewnego dnia.

Wziął ją za rękę i poprowadził wzdłuż głównej ulicy tej osoblowej, starej wioski. Pomimo pięknej pogody, na ulicach było niewielu ludzi – pewnie, z racji pory roku. Okolica wydawała się być nastawiona na turystów. Czuła, jakby całe miasto pozostawiono tylko dla nich – i że było to najpiękniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek była.

Wioska była tak czysta, tak doskonale utrzymana, pełna niewielkich, starych domków, każdy następny bardziej zachwycający od poprzedniego. Wyglądało to jak dekoracje do filmu historycznego, jakby cofnęli się do początku XIX-go wieku. Miasteczko było cichym arcydziełem.

Jedyną rzeczą psującą iluzję, były nowoczesne sklepy. Pewnie latem wszystkie były otwarte na oścież i wypełnione po brzegi bogatymi ludźmi. To było jedno z tych miejsc, na wizytę w którym nigdy nie byłoby ją stać. Nie mogła nadziwić się swojemu szczęściu. To wspaniałe być tutaj, teraz, z Calebem, w tak piękny dzień.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko wiosennym powietrzem. Miała mgliste wrażenie, jakby mieszkała tutaj z Calebem, dawno temu, w innym stuleciu. Część jej marzyła o tym, by już dać spokój ucieczce i po prostu zamieszkać tu, prowadzić normalne życie. Jednak wiedziała, że tak być nie może.

- Poszukamy Vincent House? – spytała.

- Poszukamy – powiedział – Ale najpierw kupimy ci ubranie.

Pociągnął Caitlin do jedyne go otwartego sklepu. Lily Pulitzer.

Starodawny dzwonek zadzwonił, gdy otworzyli drzwi.

Sprzedawczyni wydała się zachwycona, że ma klientów. Odłożyła gazetę i podeszła do nich spieszenie, była niezwykle miła.

Caitlin podała Różę Calebowi, gdy przeglądała ubrania. Sprzedawczyni była wniebowzięta.

- Jaki piękny szczeniak – powiedziała otwierając szeroko oczy – To husky?

Caleb uśmiechnął się.

- Coś jakby – powiedział.

Dziesięć minut później wyszli ze sklepu, Caitlin miała na sobie nowe rzeczy od stóp do głów. Czuła się jak nowa osoba. Spojrzała po sobie i prawie że wybuchła śmiechem. To *zupełnie* nie był jej styl. Zmieniła ciuchy z Armii Zbawienia na ubranie we wszystkich kolorach pasteli: żółtozielone dżinsy, różowy t-shirt, wrzosowy, kaszmirowy sweter i żółtozielony płaszcz. Nie miała większego wyboru: to był jedyny otwarty sklep, a o tej porze roku tylko to zostało w jej rozmiarze. Płaszcz opinał ją ciasno i miał wewnętrzną kieszeń na tyle dużą, by pomieścić jej pamiętnik, który przełożyła z kurtki. Buty kupiła płaskie, złote, z cekinami. Była jak prosto wyjęta z katalogu Lily Pulitzer.

Cóż, przynajmniej jeśli włączy się w wojnę wampirów – będzie ubrana modnie. I pewnie będzie jedynym wampirem *nie* ubranym na czarno.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie zdumienie sprzedawczyni, gdy powiedziała jej, by wyrzucić wszystkie ubrania, w których przyszła. Pewnie nie co dzień zdarza się, że klienci mówią takie rzeczy.

W pewnym sensie sprawiło jej to radość. Zupełnie nowy wizerunek. Na pewno nie taką garderobę widziała dla siebie na podróż z Calebem. Wyobrażała się sobie w czerni, jak on, może coś skórzanego, z wysokim kołnierzem, jakiś mroczny ciuch. Ale to też dawało radę. Ciuchy były nowe, za co była niezwykle wdzięczna.

- Bardzo dziękuję, Caleb – powiedziała, gdy wychodzili ze sklepu. Naprawdę była wdzięczna. Jeszcze żaden facet nie kupił jej ubrania, nawet w połowie tak fajnego. Przy okazji będąc tak miłym i taktownym. Czuła, jakby się nią opiekował, i była bardziej wdzięczna niż mógł podejrzewać.

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę, gdy ruszyli ulicą. Było jej ciepło w nowym ubraniu, może trochę zbyt ciepło, ale ten dzień był wyjątkowo gorący, lepiej zbyt ciepło niż zbyt zimno.

Zapytali sprzedawczyni, czy słyszała o Vincent House. Szczęśliwie okazało się, że nie tylko wie gdzie to jest, ale mają do pokonania

tylko jedną przecznicę.

Gdy kierowali się w tamtą stronę, po raz pierwszy dali sobie trochę czasu.

Przechadzali się wolnym krokiem. Coś im podpowiadało, że gdy już dotrą do posiadłości i znajdą kolejną wskazówkę, sprawy znów nabiorą tempa. Obydwoje byli zmęczeni. Żadne z nich nie chciało znów rzucać się w szalony wir wydarzeń.

I żadne nie było zbyt skore, by jak najszybciej znaleźć tam to, czego szukają. Z

jednej strony – jasne, chcieli tego. Lecz z drugiej, obydwie wiedzieli, że w momencie, gdy znajdą wskazówkę – czymkolwiek i gdziekolwiek była – ich życie znów zmieni się bez powrotu. I bardzo możliwe, że będzie oznaczało to rozstanie.

Caitlin postawiła Różę na ziemi i pozwoliła jej iść razem z nimi. Cieszyła się, że jest tak grzeczna. Dotrzymuje im kroku i nie zbacza z drogi. Podbiegła do niewielkiej kępki trawy, by sobie ulżyć, jednak zaraz przybiegła z powrotem.

Caitlin sięgnęła w dół i dała jej kolejny kęs hot-doga, którego ta zjadła z radością.

Idąc wzdłuż małego białego płotku, minęli duży, stary kościół, po czym skręcili i weszli na ścieżkę, która prowadziła przez nieskazitelnie utrzymany trawnik. Trawa była soczyście zielona, nawet o tej porze roku. Po jednej stronie wznosił się wspaniały, stary kościół, po drugiej znajdował się wielki dom z połowy XIX-go wieku, z obszerną werandą z tyłu. Plakietka głosiła: „Posiadłość Daniela Fishera”. Był to najpiękniejszy dom jaki kiedykolwiek widziała. Z całą pewnością mogłaby w nim mieszkać. Przechadzając się po ogrodzie, z Calebem

za rękę i Różą przy nodze, czuła się prawie jak w domu.

Szli dalej ścieżką, aż wreszcie dotarli do niewielkiego, starego domku, cofniętego w stosunku do reszty zabudowań. Spojrzała na plakietkę: *Vincent House, 1672*.

Obydwoje zapatrzyli się na budynek. Nie wyglądał powalająco. Mały, parterowy dom, wyglądał jak typowy domek z XVII wieku, w ścianach miał tylko kilka okien, dach zaś nisko sklepiony. Wyglądał, jakby był w stanie pomieścić tylko jedną czy dwie sypialnie, był skromną, drewnianą budowlą. Nie tego Caitlin się spodziewała.

Podeszli do frontowych drzwi, Caleb sięgnął do klamki i nacisnął ją.

Zamknięte.

- Dzień dobry? – usłyszeli głos – W czym mogę pomóc?

Obydwoje obrócili się i ujrzeni kobietę po sześćdziesiątce, nieskazitelnie ubraną i z oficjalnym, chłodnym wyrazem twarzy, zbliżającą się do nich w bardzo sztywny, oficjalny sposób.

Caleb zwrócił się do Caitlin.

- Teraz twoja kolej – powiedział – Chcę byś spróbowała mocy kontrolowania umysłów. Dasz radę. To jedna z przewag wampirów nad ludźmi. Twoje moce są jeszcze niewykształcone i może nie tak silne, ale na pewno masz ich trochę.

Poćwicz na tej kobiecie. Wpłynij na nią. Bądź spokojna i pozwól, by jej myśli stały się twoimi myślami. Pozwól, by twoje myśli stały się jej myślami. Zasugeruj jej co powinna zrobić. Jej własnym głosem. Twój umysł to potrafi, musisz mu tylko pozwolić.

Kobieta podchodząc bliżej odezwała się znowu:

- Posiadłość jest nieczynna o tej porze roku, jak napisano na wywieszce –

powiedziała sztywno – Obawiam się, że będą państwo musieli odwiedzić nas w sezonie. Jesteśmy w trakcie remontu, przed którego zakończeniem nie wpuszczamy zwiedzających – spojrzała w dół, na Różę – A już *na pewno* nie z psami.

Kobieta stanęła obok z rękami na biodrach. Przypominała srogą nauczycielkę.

Róża wbiła w nią wzrok i warknęła w odpowiedzi.

Caleb spojrzał na Caitlin.

Caitlin popatrzyła na kobietę nerwowo. Nigdy nie próbowała nic takiego, nie była pewna czy w ogóle potrafi.

OK – pomyślała – trzeba spróbować.

Zapatrzyła się na kobietę, starając się uchwycić jej myśli. Czowała bijącą od niej stanowczość i sztywność. Osoba, którą niełatwo kontrolować. Czowała złość, irytację, przywiązanie do zasad. Uporządkowanie. Pozwoliła tym wszystkim uczuciom wnikać w siebie.

Potem próbowała wysłać coś w jej kierunku. Starła się zasugerować jej, że raz na jakiś czas dobrze jest nagiąć reguły. Że powinna dać im spokój. Że może wpuścić ich do środka.

Caitlin wpatrzyła się w nią, ciekawa czy to w ogóle działa. Kobieta wciąż patrzyła na nich z wściekłym wyrazem twarzy. Wydawało się nie działać.

- Dziękujemy za informacje – powiedziała Caitlin słodko – Bardzo miło było panią poznać. Bardzo jesteśmy wdzięczni, że ten jeden raz nagnie pani zasady i pozwoli nam zwiedzić dom.

Kobieta zapatrzyła się na nią.

- Nic takiego nie powiedziałam! – wybuchła.

Ale Caitlin odetchnęła tylko głęboko i zamknęła oczy, koncentrując się.

Otworzyła je po chwili i popatrzyła na kobietę.

Po kilku sekundach spojrzenie kobiety zaczęło mięknąć, aż wreszcie powiedziała:

- Wiecie co... Nic wielkiego się nie stanie, gdy zapomnimy o zasadach raz na jakiś czas. Bawcie się dobrze.

Po czym odwróciła się i odeszła, by po chwili zniknąć im z oczu.

Caitlin, dumna z siebie, zwróciła się w stronę Caleba. Była zdumiona swoimi mocami i bardzo zadowolona. Caleb uśmiechnął się.

- Używaj tych zdolności tylko wtedy, gdy musisz – ostrzegł ją – I tylko w taki sposób, by nie krzywdzić innych. To odróżnia dobre wampiry od złych.

Caitlin wyjęła mały, srebrny kluczyk, chcąc go wypróbować. Najpierw spróbowała go na zamku we frontowych drzwiach, lecz nic to nie dało.

- Nie pasuje – powiedziała.

Caleb wziął go od niej i sam spróbował.

Wreszcie zmarszczył brwi zdenerwowany.

- Masz rację – rozejrzył się – Może jest tu jeszcze inne wejście.

Obeszli dom z drugiej strony i znaleźli kolejne drzwi. Caleb wypróbował

klucz. Tutaj też nie pasował.

- Może nie jest od drzwi – powiedziała Caitlin – Może to klucz od czego innego. Czegoś *wewnątrz* domu.

- Cóż, chyba nie mamy wyjścia – powiedział i rozejrzawszy się wokół, sięgnął do klamki i wyłamał zamek. Niezbyt dobrze szło im szanowanie zabytków.

Szybko weszli do domu i zamknęli za sobą drzwi.

Wnętrze było ciemne, oświetlone tylko zewnętrznym światłem wpadającym przez małe okienka. Sufit był niski i Caleb musiał pochylać się chodząc. Wszystko było drewniane: sklepienie, kolumny, belki, szerokie deski podłogowe. Na środku pokoju stał duży, ceglany kominek. Dom zachowany był doskonale, jakby przenieść się w rok 1672.

Przeszli się skrzypiącej podłodze, oglądając każdy zakamarek. Obejrzel też wszystkie meble. Ale Caitlin nie znalazła niczego, do czego pasowałby ich klucz.

Tak właściwie, to nie mogła znaleźć żadnej kryjówki ani schowka.

Obeszli cały dom i spotkali się na środku.

- Znalazłaś coś? – spytał Caleb.

Potrząsnęła głową.

- A ty?

On również potrząsnął swoją.

Wtem usłyszeli dźwięk i obrócili się na pięcie.

Frontowe drzwi otworzyły się i stanął w nich duży, czarnoskóry mężczyzna po pięćdziesiątce. Wszedł kilka kroków do środka.

Zatrzymał się przed Calebem i zapatrzył na niego.

Caleb odpowiedział spojrzeniem.

- Caleb? – zapytał wreszcie mężczyzna.

Twarz Caleba złagodniała.

- Roger? – spytał.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, Caleb również i objęli się, ściskając mocno przez dłuższą chwilę.

Kto to taki? – pomyślała Caitlin.

Roger wybuchnął śmiechem – niskim, ciepłym, szczerym śmiechem. Ujął

Caleba za ramiona i przyjrzał się mu. Caleb był postawnym mężczyzną, mimo to Roger górował nad nim.

- Sukinsynu – powiedział Roger – Nie widziałem cię... no chyba ze sto pięćdziesiąt lat?

- Chyba z dwieście – powiedział Caleb.

Patrzyli na siebie zaskoczeni. Kimkolwiek był ten mężczyzna, widać było, że był ważną częścią życia Caleba.

Caleb obrócił się i wyciągnął rękę do Caitlin.

- Wybacz proszę moje maniery – powiedział – Roger, pozwól mi przedstawić Caitlin Paine.

Roger skłonił się lekko.

- Miło poznać cię, Caitlin.

Caitlin odpowiedziała uśmiechem.

- Miło poznać i ciebie. Skąd się znacie?

- Cóż – powiedział Roger z uśmiechem – można powiedzieć, że to stare dzieje.

- Roger jest jednym z moich najstarszych przyjaciół – powiedział Caleb –

Uratował mi życie raz czy dwa razy.

- Albo i więcej – powiedział Roger ze śmiechem.

Róża wychyliła łebek z płaszcza Caitlin, oczy Rogera zaświeciły się.

- O, cześć słodziaku – powiedział, podchodząc i głaszcząc ją po główce.

Róża polizała jego wielką dłoń.

- Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? – spytał Caleb.

- Caleb, proszę cię – powiedział Roger, jakby odpowiedź była oczywista –

Jesteśmy na wyspie. Twój zapach nigdzie się nie rozwieje. Czuć go z daleka.

- Więc wiedziałeś od chwili, gdy zszedłem ze statku – powiedział Caleb uśmiechając się – Czekałeś tylko, by zobaczyć dokąd się udam.

- Oczywiście – powiedział Roger – Ty byś tak nie zrobił? Ale mógłbym przysiąc, że przyjdziecie tutaj.

Caleb rozejrzał się po pokoju.

- Dlaczego?

- Jest tylko jeden powód, dla którego jeden z naszych mógłby odwiedzić Vincent House. Dla miecza, prawda? Tego właśnie szukasz?

Caitlin i Caleb spojrzeli po sobie.

- Możliwe – powiedział Caleb ostrożnie.

Roger uśmiechnął się.

- Wiesz, z tym mieczem tak jest – powiedział – że znajdzie go tylko osoba, która *powinna* go znaleźć. W sensie *Wybrańiec*. Wiem, że ty nie jesteś Wybrańcem. A jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę, z całym szacunkiem... cóż, nie chcę zakładać zbyt wiele, ale jeśli-Caitlin sięgnęła do kieszeni i wyjęła mały, srebrny klucz.

Roger zapatrzył się na niego przez chwilę, jakby zabrakło mu słów. Szczeka opadła mu zupełnie.

- Mój Boże – powiedział szeptem.

Spojrzał na Caleba, szukając potwierdzenia, Caleb skinął głową.

Wypuścił wstrzymywane powietrze.

- Cóż – powiedział zawstydzony, zupełnie innym tonem – to zmienia postać rzeczy.

Obejrzał Caitlin jeszcze raz i potrząsnął głową.

- Nigdy bym nie pomyślał – powiedział.

- Więc... wiesz gdzie on jest? – spytał Caleb.

Roger skinął głową.

- Nie tutaj – powiedział.

Caitlin i Caleb wymienili spojrzenia.

- Ten klucz – powiedział – jego grawerunek był dobrą wskazówką, kiedyś.

Ale już nie. To tylko kamuflaż. Vincent House nie stoi tam, gdzie dawniej. To nie to miejsce.

Caitlin potrząsnęła głową.

- Caleb. Jestem rozczarowany, opuszczasz się – zbeształ go Roger – Posiadłość stała w innym miejscu. Ale 200 lat temu przestawiliśmy go w miejsce, na którym stoi dzisiaj. Sobór martwił się o jego bezpieczeństwo. Więc przestawili to, co skrywał dom i umieścili w bezpieczniejszym, lepszym miejscu.

I postawili strażę. Mnie.

Caleb spojrział w twarz swojego przyjaciela.

- Czekam, by ktoś przybył tu z tym kluczem prawie od dwustu lat – powiedział

i znów potrząsnął głową – Nigdy nie sądziłem, że to możesz być ty.

- Pokażesz nam? – spytał Caleb.

Mężczyzna patrzył przez dłuższą chwilę na Caleba, potem na Caitlin.

Wreszcie wystawił swoją wielką dłoń, w jej kierunku.

- Mogę obejrzeć? – spytał.

Caitlin spojrzała na Caleba. Ten kiwnął głową.

Wyciągnęła rękę i umieściła mały, srebrny klucz w jego potężnej dłoni.

Roger przyjrzał mu się, podnosząc go do światła. Obrócił go na drugą stronę i przeczytał inskrypcję. Wreszcie potrząsnął głową.

- Cholera jasna – powiedział – Mógłbym przysiąc, że będzie większy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Siedząc w fotelu pasażera Samantha zerkała na Sama i była pod wrażeniem tego, jak dobrze radził sobie z prowadzeniem samochodu. Naprawdę nieźle, jak na takiego małolata. Była zaskoczona jak sprawnie radził sobie ze skrzynią biegów i wybaczyła mu początkowe zgrzyty przy zmianie na dwójkę. Odkąd przeskoczył trójkę naprawdę nieźle mu szło. Podobała jej się jego agresywna jazda. Zwłaszcza kiedy prędkościomierz przekroczył 120. Miał do tego dryg, musiała to przyznać.

Odchyliła się w siedzeniu, zrelaksowała i rozkoszowała się jazdą.

Przemieszczali się wolniej niż lecąc, ale jak na ludzki sposób podróżowania, było całkiem nieźle. Pomyślała o poprzednim właścicielu samochodu – facecie od nieruchomości, którym poczęstowała się na śniadanie – i uśmiechnęła się. Jego krew nadal krążyła w jej żyłach. To było przyjemne uczucie zaspokojenia.

Nie musiała pozwalać dzieciakowi prowadzić, ale pomyślała, że co jej szkodzi. Jego dni i tak były policzone, więc niech się chłopak nimi nacieszy.

Niech odejdzie z hukiem. Za parę godzin spotkają się z jego ojcem, a ona dowie się, gdzie jest miecz. Wtedy będzie mogła pozbyć się ich obu.

Ale coś ją gryzło. Zaczynała naprawdę lubić tego dzieciaka i to nie dawało jej spokoju. Od setek lat nie zdarzyło się jej poczuć sympatii do człowieka. Tym bardziej do durnego nastolatka. Ale było w nim coś wyjątkowego. Od razu to poznała. Jakby pokrewieństwo dusz. Mimo swojego młodego wieku, widać było, że dzieciak dużo przeszedł. Była w nim jakaś lekkomyślność i brawura, nie obchodził go otaczający świat, wiedział, że jego dni są policzone i zamierzał odejść z pompą. To jej się podobało. Przypomnił się jej dawny romans z młodym bułgarskim księciem z XIV w.

Może nie musi go tak od razu zabijać, pomyślała. Może pozwoli mu jeszcze trochę pożyć. Zabierze go w drogę ze sobą. Może pozostawi go przy życiu nawet jak znajdzie już miecz. Mógłby być jej zabawką, z którą robiła by, co by tylko chciała. Może nawet...

Urwała tę myśl, zła na siebie. Czyżby miękła?

Musiała skoncentrować się na swoim zadaniu. Na jego ojcu. Niedługo będą na miejscu. Nie później niż za godzinę. Jeśli okaże się wampirem, jak ona, na pewno od razu ją wyczuje. Musi być więc gotowa, stoczyć z nim walkę. Kiedy dojadą na miejsce, musi mieć się na baczności.

Zrobi to, co będzie musiała, nawet jeśli oznaczać to będzie walkę na śmierć i życie. Ten wampir jest kluczem do odnalezienia miecza, kluczem do zwycięstwa jej klanu. Poszłaby na koniec świata by zdobyć dla nich ten miecz.

*

Im bardziej zbliżali się do domu jego ojca, Sam był z każdą chwilą coraz bardziej dezorientowany. Był przekonany, że ojciec mieszka w bogatej dzielnicy, przy eleganckiej ulicy, w ogromnej posiadłości, w pięknym domu.

Według GPSu byli już bardzo blisko. Niecałą milę od celu. Sam miał

wrażenie, że musiała zajść jakaś pomyłka. Jechali przez obskurną dzielnicę, nędzną boczną drogą, przy której tu i ówdzie stały przyczepy.

Kiedy nawigacja poinformowała ich, że to już ostatni skręt na ich trasie, Sam nie wierzył własnym oczom. Przejechali pod dużym

szylde „Osiedle przyczep

/barakowozów Homestead”. To tu mieszkał jego ojciec. Na parkingu dla przyczep kempingowych.

Kiedy jechali powoli piaszczystą drogą wśród porozstawianych na poboczu przyczep, z których każda kolejna wyglądała gorzej od poprzedniej, Sam czuł jak zaciska mu się żołądek. Wiedział, że może pożegnać się już z marzeniami. Ależ był głupi, rąbiąc sobie nadzieje. Kompletny z niego idiota.

Im dalej jechali, tym dalej od siebie poustawiane były baraki. Na końcu ślepej uliczki zobaczył jasnoniebieską przyczepę. Numer się zgadzał. Trafił na miejsce.

Mały dom na kółkach był zniszczony. Drzwi ledwo trzymały się w zawiasach, niskie schodki były połamane, a trawnik zarośnięty zielskiem sięgającym kolan.

Dom był odsunięty od drogi i oddzielony od pozostałych dużą kępą krzaków. Stał

na uboczu. Nie było to miejsce, w jakie Sam spodziewał się trafić.

Było mu głupio. Strasznie wstydził się tego, że przywiózł Samanthę w takie miejsce i ma ją przedstawić swojemu ojcu. Chciał móc stamtąd uciec, albo zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Chwile siedzieli bez słowa, patrząc na siebie. Po raz dziesiąty sprawdził czy nawigacja na pewno zaprowadziła ich we właściwe miejsce. Tak było.

- Wsiadamy? - zapytała w końcu Samantha.

Sam nie był pewien co zrobić. Kto mieszka w takim miejscu? Kim jest jego ojciec?

Miał ochotę odpalić samochód, depnąć na gaz i jechać jak najdalej przed siebie. Ale nie mógł. Z trudem przełknął ślinę, otworzył drzwi i wysiadł.

Samantha poszła za nim.

Podeszli do domu. Zrobili kilka kroków po podgniłych, zapadających się pod nogami, drewnianych schodkach. Sam otworzył skrzypiące plastikowe drzwi, wziął głęboki wdech i zapukał. Ze środka dało się słyszeć jakiś łomot, potem szeleszczenie, aż w końcu drzwi się otworzyły.

I oto naprzeciwko niego, stał jego ojciec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Roger poprowadził ich z powrotem na ceglany chodnik, przez wypielegnowaną okolice Daniel Fisher House. Doszli do końca ulicy, skręcili i zanim się spostrzegli, prowadził ich już z powrotem po schodach Old Whaling Church.

Caitlin i Caleb wymienili zdziwione spojrzenia. Przecież dopiero co obok niego przechodzili. Drzwi były zamknięte, ale Roger miał klucz. Otworzył je i przytrzymał by mogli wejść.

- Nie przenieśliśmy go daleko - powiedział uśmiechając się i puszczając do nich oko.

Weszli a on zamknął za nimi drzwi.

Caitlin była zaskoczona wnętrzem kościoła. Ten widok zapierał dech w piersiach. Tyle przestrzeni i tak jasno. Piękno w prostocie. Jeszcze nigdy nie była w takim kościele. Nie było tu żadnych krzyży, żadnych świętych figur, ornamentów, żadnych kolumn czy belek. Nic, tylko otwarta przestrzeń ze wszystkich stron otoczona starymi oknami. Wokół rzędy prostych drewnianych ław mogące pomieścić setki ludzi. To miejsce wydawało się takie spokojne.

- To największe w całej Ameryce pomieszczenie z podwyższonym sufitem -

powiedział Roger - bez podparć, bez belek. Ten budynek postawili stoczniarze. I trzyma się do dziś.

- Więc tym się teraz zajmujesz, Roger? - zapytał Caleb z uśmiechem -

Dogładasz starego kościoła?

Roger uśmiechnął się.

- To lepsze niż wyciąganie was z kłopotów - powiedział, po czym westchnął.

- Jestem już zmęczony, Caleb. Snuje się po tym świecie dłużej niż ty i mam już dość. Lubię to miejsce. Mam tu spokój. Nikomu tu nie przeszkadzam, a i mi nikt nie zawraca tu głowy. Mam dość tych ciągłych waśni. Klanów, polityki... Wolę trzymać się na uboczu, sam. Lubię to miejsce.

Ale przede wszystkim pozwolono mi zajmować się nim. Szczerze mówiąc, po wszystkich tych latach, nie spodziewałem się, że ktoś się zjawi. Zaczynałem wątpić, czy w ogóle istnieje jakiś Wybraniec. Ale widać, myliłem się - Roger spojrzął na Caitlin - A teraz pozbawiacie mnie roboty - Ponownie zwrócił się do Caleba - Ale zanim was wprowadzę, jest jeszcze coś, o co chciałbym cię prosić -

powiedział patrząc na Caleba.

Caitlin zastanawiała się o co poprosi, jaka będzie cena za dopuszczenie ich do tak cennego przedmiotu, którego ten człowiek strzegł przez całe swoje życie.

Caleb odwzajemnił jego spojrzenie.

- O co tylko poprosisz, stary druhu - odpowiedział.

Roger odwrócił się i wskazał mu stare pianino stojące w rogu.

- Zagraj Sonatę Patetyczną, druga część. Jak w Wiedniu.

Caleb zmierzył pianino wzrokiem. Zawahał się.

- Dawno tego nie robiłem, Roger.

Roger uśmiechnął się szeroko.

- Jestem pewien, że nadal potrafisz.

Caitlin uświadomiła sobie nagle jak mało wie o Calebie, jak wielu rzeczy zapewne nigdy się nie dowie. Poczwała się taka młoda w porównaniu z nimi.

Uświadomiła sobie, że tych dwóch zapewne doświadczyło przez ostatnie stulecia więcej, niż jej przyjdzie kiedykolwiek doświadczyć z Calebem. To ją zasmuciło.

Tak strasznie chciała być nieśmiertelną, być prawdziwym wampirem, jak on, u jego boku już na zawsze.

Patrzyła jak Caleb szedł wolno przez pusty kościół w swoich czarnych skórzanych butach. Deski podłogi skrzypiały pod jego nogami. Wszedł na drewnianą platformę, przeszedł ją całą, aż znalazł się w rogu. Zdjął pokrowiec z pianina Stainway i usiadł. Podniósł wieko i patrzył.

Zamknął oczy i po prostu tam siedział. Caitlin zastanawiała się o czym myśli, jakie wspomnienia przywołuje w nim to pianino. Po dłuższej chwili myślała już, że może zmienił zdanie i jednak nie zagra.

On jednak w końcu uniósł dłonie i zaczął grać.

To było cudowne.

Dźwięki popłynęły w przestrzeń wielkiego, pustego kościoła, odbijając się od ścian wypełniły całe pomieszczenie. Zdawały się być wszędzie.

Caitlin nigdy wcześniej nie słyszała takiej muzyki. Niczego, co można by do tego porównać. Chciała, by ta chwila trwała wiecznie. Jednocześnie chciało jej się płakać.

Poczuła głęboki smutek i znów pomyślała o tym, jak wielu rzeczy o Calebie nigdy się nie dowie. Będzie musiała pogodzić się z tym i nauczyć się cieszyć tym krótkim czasem, jaki jest im dany.

Zasmuciło ją również to, że myślami wróciła do Jonaha. A tak dawno już o nim nie myślała. Kiedy był przy niej Caleb, nie czuła potrzeby by o nim myśleć.

Jednak ciągle tkwił gdzieś w jej podświadomości i mimo że spędzili ze sobą tak niewiele czasu, jakaś część jej wciąż żałowała, że ta znajomość zakończyła się tak nagle. Cokolwiek ich łączyło, nie zostało do końca zerwane. Jakaś jej część czuła, że kiedyś się jeszcze spotkają. Nie wiedziała jak, ale czuła, że tak się stanie. Nie żeby tego chciała. A już na pewno nie w tej chwili. Teraz czuła się całym sercem oddana Calebowi i pragnęła, by tak było już zawsze.

Muzyka wypełniła ją całą. Zdawało się jej, że stoi tam i słucha jej całą wieczność. Żadne z nich się nie poruszyło. Ani ona ani Roger. Po prostu stali tam bez słowa, a Caleb pięknie grał.

Wreszcie skończył. Ostatnia nuta zawisała na chwilę w powietrzu. Caitlin spojrzała na Rogera, gdy ten powoli otwierał oczy.

Caleb wstał, przeszedł z powrotem przez scenę, zszedł po schodkach i ruszył

w ich kierunku. Zatrzymał się na kilka kroków przed Rogerem i spojrzał na niego.

Ten wziął głęboki wdech i otarł łzę.

- Dokładnie tak, jak zapamiętałem - powiedział.

Znów nabrał powietrza, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

- Chodźcie za mną - powiedział.

Poszli za nim po skrzypiącej drewnianej podłodze, aż do krętych drewnianych schodów. Weszli na antresolę. Caitlin spojrzała w dół i zachwyciła się tym, jak pięknie kościół wyglądał z tego miejsca. Roger poprowadził ich korytarzem, do kolejnych krętych, drewnianych schodów. Szli za nim, wspinając się wciąż wyżej i wyżej. Caitlin miała wrażenie, że od lat nikt nie wchodził aż tak wysoko. Schody prowadziły do małej kopuły, na tyle ciasnej, że ledwo mieściło się tam ich troje.

Roger sięgnął do ściany i delikatnie pociągnął za ukryty uchwyt. Sekretna skrytka otworzyła się, a on wyjął z niej małą, zdobioną kamieniami skrzynkę.

Trzymał ją delikatnie w dłoniach, patrząc na nią z czułością.

- Nigdy jej nie otwierałem – powiedział – Nigdy nawet nie widziałem jej otwartej. Byłem przekonany, że nigdy nie zobaczę, aż do chwili, gdy zjawiliście się wy z kluczem.

Spojrzał na Caitlin. Było gorąco i coraz bardziej duszno. Caitlin czuła się w tym małym pomieszczeniu trochę klaustrofobicznie. Zaczynało robić jej się słabo.

To wszystko wydawało się takie nierzeczywiste i zdawało się nie mieć końca.

- Znałem dobrze twojego ojca - powiedział.

Caitlin opadła szczęka. Zaniemówiła. Miała tak wiele pytań, które chciała zadać, że zupełnie nie wiedziała od czego zacząć.

- Jaki on był? - zadała pierwsze pytanie jakie przyszło jej do głowy.

To był dobry człowiek. Wspaniały. Kochałem go. Był ważniejszy niż my, niż cała nasza rasa. Byłby dumny z tego, że udało ci się dotrzeć aż tutaj - powiedział i wyciągnął skrzynię w jej stronę.

Caitlin sięgnęła do skrzyni i włożyła srebrny klucz. Z bijącym sercem, modliła się o to by pasował. Pasował.

Wsunął się i lekko kliknął. Delikatnie przekręciła go w prawo i otworzyła wieko. Wszyscy troje pochylili się nad skrzynią by zobaczyć co jest w środku.

Nie mogli uwierzyć własnym oczom.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Hej kolego, rusz się stąd! - pociął gburowaty głos.

Kyle poczuł, że ktoś szturcha go nogą i trąca pałką.

Otworzył oczy.

Leżał na jakiejś zimnej i twardej powierzchni. Nie miał pojęcia gdzie jest.

Słońce powoli wschodziło, paląc jego oczy i skórę.

- Hej kolego! Słyszysz mnie? Powiedziałem, żebyś stąd spadał - krzyknął

policjant.

Otworzył szerzej oczy i zdał sobie sprawę, że leży na marmurze. Na marmurowych schodach Ratusza. Leżał tak, na ulicy, o świcie, rozwalony, jak menel. Spojrzał w górę i zobaczył dwóch policjantów w mundurach. Popychali go i poszturchiwali swoimi pałkami, śmiejąc się.

Próbował przypomnieć sobie co się stało i jak się tu znalazł. Pamiętał, że zgłosił się do Rexiusa. Że go złapano i związano. A potem ten kwas. Sięgnął dłońmi i sprawdził jedną stronę swojej twarzy. Wszystko zdawało się być z nią w porządku. Dotknął drugiej i załała go fala bólu. Pod palcami wyczuwał jej kontur, blizny, okropne oszpecenie. Oznakowali go za pomocą kwasu. To kara, jaką wymierza się zdrajcom. I zrobili to jemu, który był wierny swojemu klanowi przez tysiące lat. Za jedną, drobną pomyłkę. To nie do pomyślenia.

Kyle poczuł jak ból się nasila i wezbrała w nim złość.

- Chcesz go zabrać na komisariat? - zapytał jeden z policjantów drugiego.

- Nie. Za dużo papierkowej roboty. Oszczędźmy sobie wysiłku i sami się nim zajmijmy.

Policjant uniósł pałkę wysoko, szykując się do silnego uderzenia.

- Przytrzymaj go - polecił temu drugiemu.

Ten chwycił Kylea za ramię, szarpnął i postawił do pionu. Gdy wstał, odsłonił drugą stronę swojej twarzy i policjanci zobaczyli jego blizny i oszpecenie. Obaj z miejsca odskoczyli.

- A niech mnie! - zawołał jeden z nich – Co to u licha jest?

Kyle zapłonął z wściekłości i zanim którykolwiek z policjantów zdążył

zareagować, ruszył na nich, chwycił każdego z nich jedną ręką i uniósł ponad swoją głowę. To byli potężni faceci, ale Kyle był większy, dużo większy i o wiele silniejszy. Podnosił ich coraz wyżej i wyżej i zanim zdążyli cokolwiek zrobić, zaczął z rozmachem uderzać jednym o drugiego.

Upadli na schody. Kyle ostatnimi kopniakami zmiażdżył im czaszki.

Jego złość nadal wzbierała. Jego ludzie. Jak mogli go tak po prostu wyrzucić, jak śmiecia, jakby był nikiem. Po tym wszystkim co dla nich zrobił. Kiedy rozpętał

już wojnę. A wszystko przez jeden mały błąd. Wszystko przez tę głupią dziewczuchę, Caitlin. Już on się upewni, żeby za to zapłaciła.

Ale najpierw musiał odegrać się na swoich. Nikt nie ma prawa go tak traktować. Mogli go wygnać, ale on nie ma zamiaru się z tym pogodzić. W końcu na pewno są jeszcze wampiry, które nadal będą lojalne wobec niego. Założy swoje własne zgromadzenie.

Gdy stał tak, trzęsąc się z wściekłości, zrozumiał. Miał już plan. Wiedział jak się zemścić. Jak odzyskać władzę. Jak samemu stać się najwyższym przywódcą.

Pomyślał o mieczu. Przejąłby władzę, jeśli zdobyłby go przed nimi. Mógłby wrócić i ich zniszczyć. Przynajmniej tych, którzy go zdradzili. Tych, którzy pozostali lojalni, wziął by na swoich żołnierzy.

Tak, to byłby rozlew krwi, jakiego jeszcze nie widzieli. A kiedy odzyskałby władzę, zwróciłby się przeciw ludziom i sam skończył tę wojnę. Plaga zrobiłaby już do tej pory swoje, a on – Kyle – byłby u władzy. Mając miecz, zawładnąłby Nowym Jorkiem, a potem kolejno wszystkimi radami i wszystkimi zgromadzeniami na świecie. Wszyscy odpowiedzialiby przed nim.

Tak, ten plan mu się podobał. Ale żeby zdobyć miecz, musiał odnaleźć dziewczynę, Caitlin. A do tego będzie potrzebował pomocy. Ten młody Rosjanin.

Wokalista. Ten którego przemieniła. On ciągle miał jej zapach w swojej krwi.

Plan już klarował się w jego umyśle.

Ruszył biegiem po schodach Ratusza. Jedną ręką zerwał żelazne zamki i wepchnął do środka drzwi. Tak wcześnie rano hol był pusty. Przebiegł korytarzem, pociągnął za ukryty uchwyt i ściana ustąpiła. Zbiegł szybko po kamiennych schodach w ciemność.

Kyle biegł najszybciej jak mógł. Wiedział, że może sprowadzić na siebie całą armię. Wiedział jednak też, że nikt nie spodziewa się, że mógłby zaatakować w pojedynkę. Wiedział, że teraz wszyscy przejęci są wojną i jeśli tylko wystarczająco się pośpieszy, zdoła zdobyć to, czego potrzebuje. Zwłaszcza teraz, o świcie, kiedy wszyscy szykują się do snu.

Dotarł do niższych poziomów i ruszył biegiem przez korytarz. Biegł tak aż dotarł do wielkich drzwi, których szukał. Przed drzwiami stał tylko jeden strażnik.

Tak jak się spodziewał, był to młody, słabszy wampir, może kilkusetletni. Kyle uderzył go prosto w szczękę, powalając nieprzytomnego na ziemię, zanim ten zdążył choćby zareagować.

Kyle przywarł barkiem do drzwi i wepchnął je do środka. Przeszedł przez pokój i oto był i on – młody Rosjanin. Przykuty do ściany, usta zakneblowane, oczy otwarte szeroko w wyrazie przerażenia. Trzymali go tu od wielu dni.

Chłopak był już zupełnie załamany. Kyle przebiegł przez celę i nie tracąc czasu

zerwał łańcuchy krępujące jego nogi i ręce. Chłopak od razy wyciągnął z ust knebel i zaczął krzyczeć.

- Kim jesteś? Co ja tu robię? Dokąd mnie zabierasz? Dlaczego...

Kyle walnął chłopaka na tyle mocno, by stracił przytomność. Potem zarzucił

go sobie na ramię i wyniósł z pomieszczenia, ciągnąc za sobą łańcuchy. Przebiegł

z nim przez pusty korytarz, w górę po schodach, i zanim się spostrzegł był już za drzwiami Ratusza, w świetle dnia. Biegł najszybciej, jak mógł i z zadowoleniem stwierdził, że nikt go nie goni.

Poczuł się trochę lepiej. Miał to, czego potrzebował. Ten chłopak, w którego żyłach wciąż krąży krew Caitlin, zaprowadzi go wprost do niej. A tam gdzie ona, tam i miecz.

Uśmiechnął się do siebie. To już tylko kwestia czasu. Niedługo miecz będzie jego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Caitlin i Caleb pokonali kilometry ciemnego lasu lecąc nad wyspą Martha's Vineyard w stronę niskiego popołudniowego słońca. Caitlin zdziwiła się tym, jak duża okazała się ta wyspa. Wyobrażała sobie ją jako małą, ale patrząc w dół

zrozumiała, że musi być olbrzymia. Klify Aquinnah, do których zmierzali, znajdowały się na końcu wyspy, dokładnie po drugiej jej stronie. Nawet lecąc z prędkością, jaką mógł rozwinąć Caleb, ta podróż musiała chwile zająć.

Caleb nie lubił latać, gdy wokół byli ludzie. To mogło ściągnąć uwagę na niego i na całą jego rasę. Ale wyspa o tej porze roku była

prawie zupełnie opustoszała, więc bez większych obaw leciał z jednego krańca na drugi.

Zwłaszcza tędy, nad pasmem lasów.

Caitlin myślami wróciła do kościoła i do ostatniej znalezionej wskazówki. A była ona zupełnie nie tym, co spodziewała się znaleźć. Myślała, że może będzie to kolejny klucz, a zamiast tego znaleźli zwój – kruchy, pożółkły pergamin, przedarty na pół dokładnie pośrodku. Na pierwszy rzut oka widać było, że połowy zwoju brakuje i że bez niej, ta znaleziona jest bezwartościowa. Połowa łamigłówki.

Biorąc pod uwagę jego stan, aż dziw, że zwój przetrwał. Była pewna, że nie miałby na to szans, gdyby nie był przechowywany w wąskim, metalowym, próżniowym pojemniku, który teraz wyrzusał się w jej kieszeni.

W trójkę analizowali zaszyfrowaną wiadomość na połowie rozerwanego zwoju, wiedząc, że ich trud jest bezcelowy. Słowa i zdania ucięte w połowie.

Fragmenty. Kawałki układanki. Brzmiały one tak:

Czterech jeźdźców...

Opuszczają...

Wchodzą do...

Spotkają się...

I ukochanych swych...

Przy czwartym...

Zgadywali raz za razem, próbując dokończyć zdania. Ale jakby się nie starali, nie byli w stanie rozszyfrować wiadomości bez drugiej połowy zwoju.

Czuli się bezradni. Roger wręcz ich przeproszał. Nie mieli żadnych nowych wskazówek, żadnej podpowiedzi, gdzie szukać drugiej części zwoju.

Dlatego Caleb i Caitlin postanowili pójść za jedynym tropem, jaki jeszcze mieli. Udać się na klify Aquinnah, które widziała w swoim śnie.

Caitlin bardzo starała się przypomnieć sobie ten sen. Jednak wydawał się on tak już odległy i mglisty, jakby śnił się jej bardzo dawno temu. Zaczynała zastanawiać się czy aby na pewno w ogóle

jej się śnił. Nie chciała zawieźć Caleba. Nie chciała, by ich podróż okazała się szukaniem wiatru w polu.

Skęcili, gęste lasy pod nimi ustąpiły miejsca rozległym łąkom z wysokimi trawami, kołyszącymi się na wietrze. Popołudniowe słońce oświetlało je, nadając im czerwonej barwy. Widok był piękny. W dole zobaczyła farmę, a wokół niej, na dziewiczych terenach przechadzające się krowy i owce. Niebawem Caitlin poczuła słone powietrze. Zeszli niżej a krajobraz znów się zmienił. Teraz dominowały w nim trawy porastające wydmy. A później już sam piasek. Aż w końcu ich oczom ukazały się urwiska.

Ten widok zapierał dech w piersiach. Klify wysokie na setki metrów, pokryte piaskiem o tajemniczo czerwonej barwy. W świetle późnego popołudnia wyglądały jakby żyły, jakby płonęły. U ich stóp rozpościerała się plaża z miękkiego oceanicznego pisku usiana kamieniami o różnych kształtach i rozmiarach. Gdzieś tam pojawiały się duże głazy, o które rozbijały się fale.

Krajobraz zdawał się być prehistoryczny. Całe to miejsce było magiczne, wyglądało jak plaża na powierzchni Marsa. Trudno było jej uwierzyć, że takie miejsce może istnieć na prawdę.

Róża też musiała to poczuć. Do tej pory cały czas schowana pod kurtką Caitlin, teraz wystawiła łepkę i wciągnęła nozdrzami słone powietrze.

Kiedy okrążali klify i zniżali się do lądowania, Caitlin wyczuła coś znajomego. Czowała, że była już tu kiedyś. Tak, to było to miejsce. Co więcej, miała wrażenie, że była tu kiedyś razem z ojcem.

Nie była pewna czy coś tu znajdują, ale miała przeczucie, że znaleźli się dokładnie w tym miejscu, w którym powinni w tej chwili być.

Plaża była pusta. Cała tylko dla nich. Caleb wylądował lekko i pozwolił

Caitlin i Róży zsiąść. Róża przebiegła po pisku prosto do wody, po czym biegiem wróciła na brzeg, gdy uderzyły w nią fale.

Caitlin i Caleb uśmiechnęli się.

Szli powoli wzdłuż plaży, delektując się chwilą. Szli w milczeniu, a on ujął

jej dłoń w swoją. Słyszeć było jedynie szum fal. Otaczał ich zapach oceanicznego powietrza. Caitlin zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Orzeźwiający uczynek.

Caleb uważnie przyglądał się urwiskom, plaży skałom. Ona też.

- Jestem pewna, że to tu - powiedziała - Czuję, że byłam tu z nim.

Caleb pokiwał głową.

- To możliwe. To bardzo ważne miejsce dla naszej rasy.

Caitlin spojrzała na niego zaskoczona.

- Byłeś tu wcześniej? – zapytała z niedowierzaniem.

- Wielokrotnie - odpowiedział - Klif Aquinnah to jedno z naszych świętych miejsc. Jedno z najstarszych pól energii na ziemi. Czerwona glina i piasek absorbują i przechowują pradawną energię, dzięki której się regenerujemy.

Ludzie oczywiście nie zdają sobie z tego sprawy. Nigdy nie pojęli w pełni znaczenia tego miejsca. Ale my znamy je od tysięcy lat. To mistyczne miejsce, pełne mocy. Miejsce stworzone przez pradawnych przodków. Nic dziwnego, że ojciec cię tu zabrał. To swoiste miejsce rytuału przejścia dla wszystkich wampirów. Tu przyprowadzamy nasze młode, tych którzy zostali przemienieni.

Ale przede wszystkim, to jest miejsce miłości.

Caitlin spojrzała na niego.

- Miłości? - zapytała.

- Śluby wśród wampirów są rzadkością – kontynuował - głównie dlatego, że nie możemy się rozmnażać, ale też dlatego, że zobowiązanie się na wieczność, nie jest czymś co przychodzi łatwo. Ale jeśli do ślubu już dochodzi, ceremonia jest bardzo skomplikowana i uroczysta. Może trwać nawet kilka dni. I prawie zawsze odbywa się ona właśnie w tym miejscu.

Caitlin rozejrzała się wkoło poruszona tą historią.

- Gdybyśmy trafili tu w nocy, zwłaszcza przy pełni księżyca – powiedział -

Zapewne trafilibyśmy na ceremonię ślubną. To miejsce jest przeznaczone dla małżeństw, ponieważ te skały symbolizują wieczność. To jedne z najstarszych części tej planety. Wierzymy, że umacniają one więź tak, że nigdy nie może ona zostać zerwana.

Caitlin czuła jak wraz z jego słowami jej serce rosło. Mimo, że spędzili ze sobą tak niewiele czasu, ona czuła jakby znała go od zawsze. A teraz, gdy opowiadał jej o tej ceremonii, o małżeństwie, zdała sobie sprawę, że niczego nie pragnie bardziej, niż zapewnienia, że spędzi z nim już całe swoje życie. Smucił ją fakt, że jej życie skończy się dużo wcześniej niż jego, że nie należą do

jednej rasy, a ich miłość jest zakazana. Wiedziała, że dla niego będzie tylko kolejnym wspomnieniem.

Chciała powiedzieć mu o tym wszystkim, ale nie wiedziała jak. Nie miała też pewności, czy on czuje do niej to samo. Dlatego też szła dalej przed siebie, w milczeniu.

Ta chwila wydawała się być idealna. Czy nie mogłoby tak być już zawsze?

Pokochała tę wyspę, tę plażę. Wyobrażała sobie, że mogłaby tu zostać. Mogłaby osiedlić się tu z Calebem, zacząć tu nowe życie, z dala od świata, w spokoju.

Mogliby zbudować mały domek z widokiem na ocean, na szczycie urwiska.

Mogliby zostawić przeszłość za sobą i zacząć od nowa. Czy to w ogóle możliwe?

Przez ostatnich kilka tygodni Caitlin miała wrażenie, że jej życie zupełnie wymknęło się jej spod kontroli. Wszystko działo się jakby poza nią. Czuła się

przytłoczona. Ale w tej chwili jakby wszystko odrobinę przycichło. Teraz, gdy wszystkie ich tropy prowadziły w ślepy zaułek, zastanawiała się, czy nie mogliby po prostu przestać szukać. Pomyślała, że może to szansa by odzyskać chociaż jakieś pozory normalności.

Ale jakaś część jej wiedziała, że to niemożliwe. Wiedziała, że czego by nie zrobili, i tak na oślep pędzili ku swojemu przeznaczeniu. Ich los był już przesądzony. Wiedziała, że już niedługo wszystko się zmieni na zawsze. To ją zasmuciło.

Przypomniała sobie melodię, którą Caleb grał na pianinie. Była taka piękna.

Zdawało się jej, że znów słyszy te dźwięki.

- Nie wiedziałam, że umiesz grać na pianinie - powiedziała cicho.

- Minęło tyle lat – westchnął – Myślę, że nie zagrałem tego najlepiej. Gdybyś tylko mogła usłyszeć jak grał to Ludwik.

Caitlin spojrzała na niego zszokowana.

- Masz na myśli Ludwika... Beethovena? - zapytała z niedowierzaniem.

Przytaknął.

- Słyszałeś jak grał to Beethoven? We własnej osobie?

- Tak - odpowiedział – To było już pod koniec jego życia.

Była w szoku, gdy wyobrażała sobie co jeszcze musiał widzieć.

- Więc ...poznałeś go? - zapytała

- Tak - odpowiedział Caleb - Był bliskim przyjacielem. Był jednym z nas.

- Wampirem? - Caitlin upewniła się, zupełnie wstrząśnięta.

Caleb przytaknął.

Caitlin chciała dowiedzieć się więcej – chciała wiedzieć wszystko – ale widziała, że Caleb nie chce o tym rozmawiać. Cokolwiek się wtedy wydarzyło, wciąż budziło w nim silne emocje.

- To musi być niesamowite, poznawać takich ludzi, pamiętać takie rzeczy -

powiedziała.

- Czasem tak - odpowiedział - Przeważnie to jednak ciężar.

- Dlaczego?

- Po jakimś czasie wspomnienia zaczynają cię przygniatać. Jesteś tak zagubiony w przeszłości, że nie jesteś w stanie żyć tu i teraz. To trochę jak z domem pełnym staroci. W pewnym momencie nie ma w nim już miejsca na nic nowego.

Przez kilka minut szli dalej w milczeniu. Słońce zaczęło zachodzić i wszystko wokół spowijał jego ciepły blask. Fale rozbijały się o brzeg, Róża zaskomlała biegnąc u ich stóp, nad ich głowami z piskiem przeleciało kilka mew.

Caitlin rozglądała się dookoła, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś śladu jej ojca, czegokolwiek, co by pamiętała. Ale nie dojrzała nic takiego.

Usłyszała hałas, poczuła powiew wiatru i nagle, tuż obok nich, przebiegły dwa białe konie. Odwróciła się bo zobaczyć skąd przybiegły, ale niczego nie było w zasięgu jej wzroku. Dzikie konie. Przebiegły tuż przy nich, pobiegły wzdłuż plaży, brodząc w płytkiej wodzie.

Caitlin i Caleb spojrzeli na siebie w tej samej chwili. To było niesamowite.

Nigdy wcześniej nie widziała niczego podobnego.

- Dzikie konie - powiedział - I do tego białe. To dobry znak. Złapmy je -

powiedział i ruszył biegiem za nimi.

W pierwszej chwili pomyślała, że oszalał. Jak miałby dogonić konia. Ale za chwilę przypomniała sobie o swoich nowo odkrytych możliwościach i pobiegła za nim.

Miała wrażenie, że jej nogi same biegną. Zanim się spostrzegła, biegła już dużo szybciej, niż myślała, że to możliwe. Dogoniła Caleba i razem przyśpieszyli, tak, że zaledwie parę sekund później biegli już z końmi.

Caleb uśmiechnął się szeroko.

- No to jazda - krzyknął.

Wskoczył na grzbiet jednego z koni, a Caitlin, w ślad za nim, wyskoczyła w powietrze i dosiadła drugiego. Nie mogła w to uwierzyć, ale naprawdę jechała teraz na jednym z koni, ramię w ramię z Calebem. On śmiał się w głos, wiatr rozwiewał jego włosy. Pędzili wzdłuż plaży, razem, w stronę zachodzącego słońca. Nie mogła uwierzyć, że jest w stanie tak jechać, utrzymać się na koniu.

Wszystko wydawało się jej takie nierzeczywiste.

Konie niosły ich po plaży kilometrami. Mogli dokładnie przyjrzeć się klifom, skałom, piaskom. Caitlin była zaskoczona tym, jak długa była ta plaża. Zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, konie stanęły w miejscu.

Nie zważając na starania Caleba i Caitlin, nie chciały się ruszyć. Wymienili zdziwione spojrzenia.

- Wygląda na to, że to stacja końcowa - zawołał Caleb, śmiejąc się.

Caitlin spojrzała w dół i zauważyła, że konie stoją w oceanie, po kolana w wodzie.

Caleb uśmiechnął się szeroko.

- Chyba będziemy musieli się trochę zamoczyć.

Zeskoczył, lądując w wodzie do kolan. Caitlin zdjęła buty i trzymając je w jednej ręce, poszła w jego ślady. Lodowata woda zmroziła jej stopy, ale łydki zalewała tylko z nadchodzącymi falami. Woda i miękki piasek przyjemnie orzeźwiały bose stopy. Obejrzała się i zobaczyła, że konie znów ruszyły galopem, przez pustą plażę, w stronę słońca.

Róża podbiegała do fal i uciekała z powrotem na suchy piasek, ujadając.

Caleb podszedł i dla żartu podniósł Caitlin gdy nadchodziła fala, chroniąc ją przed zamoczeniem. Był taki silny. Fala uderzyła o jego nogi, a on nawet nie drgnął. Był jak skała. Trzymał ją mocno, przytulając, nie pozwalając jej się zamoczyć. Śmiejąc się, obrócili się wkoło.

Czuła jak jej serce się rozplywa. Kiedy delikatnie ją opuszczał, spojrzała mu w oczy a on spojrzał na nią. Ich spojrzenia spotkały się. Powoli jego uśmiech zniknął, a zastąpił go poważny wyraz twarzy. Zwrócił uwagę na coś innego.

Widziała jak jego oczy zmieniają kolor z brązowego na morski. Patrzył jej prosto w oczy i oboje poczuli to w tym samym momencie. Jej serce mocniej zabiło, kiedy pochylił się i pocałował ją.

*

Ten pocałunek był nie do opisanego. W całym ciele czuła ciepło i przyjemne mrowienie. Nigdy wcześniej nie doświadczyła niczego podobnego.

Odwzajemniła pocałunek, tym razem silniejszy. On podniósł ją i wyniósł z wody na brzeg.

Położył ją na suchym piasku i leżeli tak razem na pustej plaży, mając wrażenie jakby cały świat należał tylko do nich. Ich pocałunki stały się bardziej namiętne.

Caitlin wplotła palce w jego włosy. Wyobrażała sobie tę chwilę odkąd tylko go poznała. Nigdy jeszcze nie kochała nikogo tak bardzo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gdy Sam stanął w końcu twarzą w twarz ze swoim ojcem, jego serce zamarło.

Nie wierzył własnym oczom. Już samo to, że mieszkał na osiedlu barakowozów, w domu na kółkach, a jego podwórko wyglądało jak śmietnik, było dla Sama trudne. Jednak niczego nie można porównać z rozczarowaniem, które poczuł, gdy w końcu ujrzał swojego tatę. Wszystkie jego marzenia legły w gruzach.

Jego ojciec okazał się niskim, szczupłym, kruchym człowieczkiem w okolicach pięćdziesiątki, z paskudną łysiną przykrytą zaczesanymi na bok dłuższymi włosami. Zapewne nie golił się od

dawna, a jego ciuchy wyglądały jakby spał w tym, w czym chodził. Jego skóra była pokryta brodawkami i dziurami po trądziku. Miał małe, czarne, paciorkowate oczka. Gapił się na Sama, wyglądając przy tym jak szczur. Właściwie wszystko w nim było zwyczajnie obłeśne. Do tego śmierdział, jakby nie mył się od tygodni.

Sam w niczym go nie przypominał. A on nie przypominał w niczym ojca, jakiego Sam spodziewał się mieć.

Sam nie mógł uwierzyć, że jest potomkiem kogoś takiego. Nigdy jeszcze nie czuł się tak źle we własnej skórze.

Może jednak pomylili adres. W myślach modlił się, by tak było. Boże, niech to nie będzie on.

Sam? - zapytał niespodziewanie mężczyzna.

Tymi słowami potwierdził, że jednak znajdowali się we właściwym miejscu, a ten gość naprawdę był jego ojcem. Serce Sama pękło.

Sam próbował znaleźć właściwe słowa:

- Ee, czy Pan jest...

- Twoim ojcem? - dokończył za niego mężczyzna, siląc się na uśmiech i ukazując im rzędy małych pożółkłych zębów - Zgadza się, to ja.

Mężczyzna spoglądał to na Sama to na Samanthę. Obcinał ją od stóp do głów.

Oblizwał wargi.

- Nie miałeś przyjechać sam? – zapytał, gapiąc się na Samanthę.

- Tak... to znaczy, ja ... - zaczął Sam.

- Kim ona jest? - zapytał mężczyzna, nie spuszczać z niej wzroku.

- To Samantha – odpowiedział – ona jest moją... - urwał nie wiedząc, jak właściwie ją nazwać.

- Dziewczyną – Samantha dokończyła za niego.

Sam przyjął jej pomoc z wdzięcznością. Podobało mu się też to określenie, zwłaszcza wypowiedziane przez nią.

- Niech będzie... - odpowiedział mężczyzna, po czym odwrócił się i wszedł

do środka.

Sam i Samantha popatrzyli na siebie, oboje zbici z tropu jego dziwnym zachowaniem. Czy to miało być zaproszenie do środka?

Sam niepewnie wszedł do przyczepy, Samantha ruszyła za nim. Zanim zamknęła drzwi, rozejrzała się uważnie po okolicy, po czym weszła i zasunęła zasuwę.

Znowu rozejrzała się, tym razem po ciemnym, małym pomieszczeniu. Rolety były zaciągnięte, a jedyne światło dawała mała lampka stojąca w rogu.

Dom był ponury i zagracony. Znajdując się w środku, trudno było uwierzyć, że na zewnątrz świeciło słońce, a dzień był naprawdę przyjemny. Już od pierwszej chwili Samantha wiedziała, że ten mężczyzna nie jest jednym z nich – nie jest wampirem. Mogła się tego spodziewać. Jeśli on nim nie jest, musi być nim matka Sama. Tracą tu czas, chyba że ten facet może ich zaprowadzić do prawdziwej matki Sama.

Widziała wyraźny zawód na twarzy Sama i zrobiło jej się go szkoda. Nie pamiętała, kiedy ostatnio było jej szkoda jakiegoś człowieka. Zbeształa się za to w myślach. Przez tego dzieciaka naprawdę miękła.

- Więc... - zaczął mężczyzna, wyraźnie nieprzywykły do towarzystwa, kręcił

się po pomieszczeniu, prawie w ogóle nie patrząc na swoich gości - Czego się napijecie? Może piwka?

- Tak. Może być. Wszystko jedno - odpowiedział Sam po chwili zawahania.

Mężczyzna wszedł do maleńkiej kuchni i wrócił z dwoma puszkami ciepłego Schiltza. Postawił je na stoliku przed nimi. Żadne z nich nie tknęło swojej puszki.

Samantha widziała jak Sam się męczy, przestępuje z nogi na nogę, nie wie co powiedzieć. Podobnie jego ojciec.

Pomieszczenie wypełniła ciężka, niezręczna cisza. Coś było nie tak. Jego ojciec zdawał się w ogóle nie cieszyć z tej wizyty. Albo ich tu nie chciał, albo był

aż tak odwykły od ludzi, że nie wiedział jak się zachować. Samantha rozejrzała się wkoło. Mieszkanie było zaniedbane i zagracone. Po podłodze walały się puszki po napojach, obok nich leżały stosy gazet i czasopism. W odległym rogu stało małe biurko. Zauważyła włączonego laptopa.

Wyczuła coś i wykorzystała swój wampirzy wzrok, żeby przybliżyć ekran.

Otwarta była strona Facebooka, ale była zalogowana na innego użytkownika.

- Hm, tak więc... jak tam – mówiłeś komuś, że się do mnie wybierasz? -

zapytał w końcu jego ojciec.

Sam popatrzył na niego zdziwiony.

- Na przykład komu?

- No, na przykład swojej mamie?

- Nie - odpowiedział Sam - Dawno z nią nie rozmawiałem. Wybrałem się tu pod wpływem impulsu. Po prostu pomyślałem, że fajnie byłoby się spotkać.

Mężczyzna pokiwał głową. Zdawał się być już trochę spokojniejszy.

- No tak, racja - odpowiedział. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i zapalił jednego. Zaciągnął się, a pokój wypełnił się dymem.

- No więc, co lubicie robić, dzieciaki?

Sam i jego towarzyszka wymienili zdziwione spojrzenia.

- Co masz na myśli? - zapytał Sam.

Samantha popatrzyła znów na ekran komputera. Coś nie dawało jej spokoju.

Teraz zauważyła, że otwartych jest kilka osobnych kart. Każda na stronie Facebooka. Każda na konto innej osoby.

Ojciec Sam chyba zorientował się, że zagląda w jego przeglądarkę, bo podszedł i zamknął komputer.

- Pytam czy ten ... uprawiacie ze sobą seks? - zapytał

Samantha zauważyła, że szybko wziął coś z kuchennego stołu. Spojrzała na Sama i zobaczyła jego zmieszanie, które powoli ustępowało gniewowi.

Wtedy zorientowała się co jest grane. Ten facet wcale nie był jego ojcem.

Podszywał się pod niego. Był internetowym oszustem. Pedofilem. Wabił dzieciaki przez Facebooka. Szukał małolatów, takich jak Sam, rozpaczliwie poszukujących swojego ojca, na tyle zdesperowanych, by uwierzyć, że on nim jest.

Facet był szybki. Zanim Samantha zdążyła cokolwiek zrobić, chwycił ogromny kuchenny łoż, przebiegł przez pokój i chwycił Sama od tyłu. Nóż przycisnął mu do gardła tak mocno, że prawie ciał jego skórę.

Z bólu i przerażenia łzy napłynęły Samowi do oczu.

- Tylko drgnij, a go zabiję! - mężczyzna zawołał do Samantha wściekłym tonem.

Znalazła się w interesującej sytuacji. Właściwie to mogła wyjść. Mężczyzna okazał się nie być ojcem Sama. Nie miała tu nic więcej do roboty. Tylko straciła czas. Sam był już dla niej bezużyteczny. Ten facet był jedynym tropem jaki miał.

Mogła wyjść i pozwolić by ten mężczyzna go zabił.

Zawahała się jednak. Zaczęło tlić się w niej jakieś uczucie do tego dzieciaka.

Trudno było jej w to uwierzyć, ale jakaś jej część naprawdę martwiła się o niego. Nienawidziła ludzi, ale jeszcze bardziej nienawidziła takich mend, jak ten tutaj. Nie, nie mogła tak po prostu sobie pójść.

- Na kolana i ściągnij koszulkę - nakazał Samanthcie, cały czas trzymając nóż na gardle Sama.

Sam próbował się oswobodzić, ale mężczyzna tylko mocniej przycisnął nóż i z szyi dzieciaka poleciała krew.

Mogła bez problemu go zabić. Ale widziała jak mocno przyciska nóż i nie chciała, by przy okazji zginął też Sam. Nie mogła pozwolić sobie na żadne gwałtowne ruchy. Uklękła, uniosła ręce i powoli zdjęła koszulkę, zostając tylko w staniku.

Podniosła wzrok i zobaczyła jak jego oczy rozbłysnęły, a na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiezek. Wyciągnął rękę i wskazał na nią nożem.

- Teraz stanik - zażądał.

Sam zobaczył swoją szansę i skorzystał z niej, działając z zadziwiającą jak na człowieka szybkością. Chwycił zboczeńca za nadgarstek i zaczął się z nim siłować.

Ten jednak okazał się silny. Lata jego obleśnych praktyk musiały go przygotować na takie sytuacje. Sam walczył wytrwale, ale mężczyzna oswobodził

się i ranił Sama w policzek. Połała się krew. Sam krzyknął z bólu.
Przycisnął

dłonie do twarzy. Krew była dosłownie wszędzie.

Zboczeniec znów chwycił nóż. Samantha widziała, że jest gotów
wbić go Samowi w pierś.

Włączyła się do akcji. Skoczyła przez pokój, chwyciła nóż szarpiąc
za ramię mężczyzny tak mocno, by wyrwać je ze stawu. Ten pisnął i
upuścił nóż.

Ona jednak jeszcze z nim nie skończyła. Pochyliła się, chwyciła go
za szyję i przekreśliła ze swoją nadludzką siłą łamię mu kark.

Ciało mężczyzny osunęło się na podłogę.

Samanta, wciąż jeszcze gotując się za wściekłości, spojrzała w górę
na Sama.

Ten stał, z szeroko otwartymi oczami i patrzył na nią z
niedowierzaniem. Był w takim szoku, że zdawał się nie czuć bólu.
Zapewne nigdy wcześniej nie widział

niczego podobnego i prawdopodobnie już nigdy więcej nie zobaczy.

Wiedziała, że starał się ją uratować. Był gotów stanąć w jej obronie,
nawet z nożem przystawionym do jego gardła. Od wieków nikt nie
zrobił dla niej czegoś takiego.

Może jednak pozwoli mu żyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kiedy Caitlin i Caleb obudzili się, była już noc. Było ciepło, a oni
leżeli na piasku, w świetle ogromnego księżyca w pełni.

Plaża nadal była cała tylko dla nich. Otaczał ich szum fal. Leżeli tak,
rozebrani w swoich ramionach, przykryci płaszczem, jak kocem.
Róża leżała obok.

Oboje czuli się odmienieni.

Patrzyli sobie w oczy. Przeturlali się po piasku i pocałowali bez
pośpiechu.

Ich związek zmienił się już na zawsze. Ona była zupełnie
odmieniona. I była przeszczęśliwa.

Nie byli już dwojgiem przypadkowych ludzi, znajomych,
powiązanych ze sobą jedynie wspólną misją. Teraz byli kochankami.
Byli parą. Byli ze sobą.

Caitlin marzyła, by tak było już zawsze.

Było tyle pytań, które chciała mu zadać. Zaczynając od tego, co teraz?

Przekroczył granicę. Dopuścił się czynu zabronionego dla jego rasy. A co jeśli go znajdą? Czy go zabiją? Czy zaryzykował dla niej życiem? Czy aby na pewno była tego warta?

Czy teraz, gdy już to zrobił, będzie w stanie ją zostawić? Czy w ogóle jest dla nich jakaś szansa? Czy to może przetrwać?

Jak miałyby wyglądać ich przyszłość?

Była cała w nerwach, przytłoczona świadomością tego, jak wiele dla niej poświęcił.

- Boję się - powiedziała w końcu.

- Czego? - zapytał.

- Nas - odpowiedziała – Śmierci - Ty będziesz żył wiecznie... - zastanawiała się jak to ująć - ... a ja nie. Chcę być z tobą. Chcę być jak ty. Chcę być nieśmiertelna - powiedziała.

Caleb posmutniał. Powoli ubrał się i wstał. Zapatrzył się w ocean.

Ona też się ubrała, ciesząc się swoim ciepłym płaszczem. Pomacała kieszenie, żeby sprawdzić czy jej dziennik i zwój są nadal na miejscu. Stała koło niego.

- Też pragnę być z tobą – powiedział - Ale wierz mi, nie chcesz zostać nieśmiertelną. To przekleństwo. Dużo lepiej jest umrzeć. Móc zacząć od nowa, na świeżo, z czystą kartą, w nowym życiu, nowym ciele. Nie musisz pamiętać.

Pozwolić by życie zatoczyło swój krąg. My, moja rasa – jesteśmy odmieńcami.

Spojrzał na nią.

- Niczego nie pragnę bardziej niż mieć cię blisko, ale bycie ze mną za zawsze nie jest warte cierpienia, jakie przynosi ze sobą nieśmiertelność.

- Proszę. Ja tego chcę. Przemień mnie - powiedziała patrząc mu prosto w oczy

- Przemień mnie, żebym stała się prawdziwym wampirem i mogła być z tobą już na zawsze.

Spojrzał na nią i jego oczy napęłniły się łzami.

- Kocham Cię ponad wszystko, ale nie mógłbym nigdy tego zrobić -
odpowiedział – Utknęłabyś w tym świecie na zawsze. Nie mogłabyś
nigdy urodzić dziecka. Nie mógłbym ci tego zrobić. Nawet z
egoistycznych pobudek. W

dodatku, jeśli przemieniłbym cię bez odpowiedniego upoważnienia,
ukarano by mnie.

Jej serce zamarło. Może jednak nie byli sobie pisani.

Caleb wziął ją za rękę. W milczeniu.

- Jeśli mamy spędzić tu noc, musimy poszukać schronienia i
rozpalić ognisko -

powiedział.

Poszli wzdłuż klifów. Nie mówili już nic.

- Wydaje mi się, że widziałem pewne miejsce. Wcześniej, jak
galopowaliśmy.

Jaskinię. O, tam! - powiedział wskazując ręką.

U podnóżu klifu zobaczyła jaskinię. Nie była duża ani szeroka, ale
wystarczających rozmiarów, by mogli się tam schronić.

Piasek w jaskini był taki sam, jak na plaży. Jej wnętrze oświetlał
blask księżyca. Na środku leżało sporo spalonych już gałęzi. Widać,
że ktoś korzystał z tego schronienia już wcześniej. Musiało być to
popularne miejsce na ogniska.

Pewnie czasem i kochankowie spędzali tu noce.

Caleb przykucnął i zaczął pocierać dłonie z prędkością światła, jak
to robił

już wcześniej, i w chwilę później ognisko płonęło już pełnym
blaskiem.

Drewno trzaskało płonąc, a ogień rozświetlał wnętrze jaskini. Róża
położyła się koło paleniska. Caitlin podeszła, stanęła obok Caleba i
objęła go ręką w pasie. Ogień dawał przyjemne ciepło.

Usiedli i rozejrzeli się po jaskini. Popatrzyli na jej sufit i malunki na
ścianach.

Pomieszczenie było w kształcie łuku, a światło odbijało się w nim
na setki sposobów.

- I co teraz? - zapytała.

Pytała o dalsze poszukiwania miecza, ale również o to co będzie dalej z nimi.

- Nie wiem - odpowiedział - Zdaje się, że trafiliśmy w ślepy zaułek.

- Przepraszam - powiedziała - Może ten sen nic nie znaczył. Może poszliśmy za niewłaściwą wskazówką. Może powinniśmy wrócić do Vincent House. Może coś przeoczyliśmy, jakaś wskazówkę, która mogłaby wskazać nam...

Caleb położył jej dłoń na ramieniu, na znak by się zatrzymała. Patrzył na ściany jaskini analizując to, co na nich widział. Spojrzała w górę i też to zobaczyła. Caleb wstał, a ona za nim.

W odległym rogu jaskini, u góry jednej ze ścian było dziwne wgłębienie.

Jakby w kształcie krzyża. Nie wyglądało, jakby powstało w naturalny sposób.

Dostrzegli je jedynie dlatego, że akurat tej nocy księżyc był w pełni, a ognisko oświetlało wnętrze jaskini. Inaczej pewnie by je przeoczyli.

Caitlin sięgnęła w to miejsce i starła z niego kurz i brud. Wyraźnie widzieli teraz, że wgłębienie miało kształt klucza. Caitlin sięgnęła do kieszeni po mały klucz do Vincent House. Spojrzała na Caleba, ten kiwnął głową. Włożyła klucz w otwór, a ten okazał się pasować idealnie. Spojrzeli na siebie, oniemiaли.

Przekreśliła klucz. Zaskoczył. W ścianie otworzyła się niewielka skrytka. Zajrzała do niej i wyciągnęła zwój. Przerwany na pół. Znów spojrzeli na siebie.

Dosłownie odebrało im mowę. Znaleźli brakującą połowę zwoju.

*

Caitlin sięgnęła do kieszeni i wyjęła wcześniej znaną połowę. Dobrze, że ta nadal była w próżniowym, metalowym opakowaniu, które chroniło ją przed uszkodzeniem. Złożyli dwie połówki razem i trzymając je przed sobą, podeszli do ognia by lepiej widzieć.

Teraz mogli odczytać całą inskrypcję:

Czterech jeźdźców podąża szlakiem wolności.

Opuszczają wspólne ziemie,

Wstępują do krwawego kręgu,

Spotkają się w domu,

I ukochanych swych odnajdą,

Przy czwartym krzyża ramieniu.

Popatrzyli na siebie wciąż dziwiąc się, że znaleźli zwój właśnie tutaj.

- Co to znaczy? - zapytała

- Nie jestem pewien. Ale te słowa „szlak wolności” i „wspólne”. Zdaję mi się, że to nazwy kolejnych przystanków na bostońskim trakcie Freedom Trail. To tłumaczyło by „szlak wolności”, a słowo „wspólny” może odnosić się do parku Boston Common (zwany także The Common – z ang. common – wspólny, powszechny *przyp. tłum.) Nie wiem, dokąd dokładnie prowadzi nas ta wskazówka, ale według mnie, to gdzieś na trasie na Freedom Trail. To miałyby sens. Salem, Edgartown a teraz Boston. Te miejsca są ze sobą ściśle powiązane.

Caitlin próbowała pozbierać myśli.

- Ale jak to w ogóle możliwe? Dlaczego znaleźliśmy to tutaj? To zupełnie przypadkowe miejsce. Co byłoby, jeśli zatrzymalibyśmy się gdzie indziej?

- Ależ to ma sens - odpowiedział - Pomyśl. Nie znaleźliśmy się tutaj przypadkiem. Twój ojciec przyszedł do ciebie i wskazał nam drogę w to miejsce.

A te konie przywiozły nas dokładnie do tej jaskini. Tu się zatrzymały.

Spojrzała na niego.

- Konie od zawsze pomagały wampirom. Są mistycznymi posłańcami. Były przy nas od zarania dziejów. Przybyły, kiedy ich potrzebowaliśmy. To nie był

przypadek. Przyprowadziły nas tutaj. Czasami – mówił dalej – rzeczy, które wydają się być przypadkowe, są bardzo dokładnie zaplanowane.

Zapatrzyła się na zwój, podziwiając krój starego pisma, myśląc o tym jak tu trafili. Była coraz bardziej przekonana, że ten los był im przeznaczony. Poczwała równocześnie przeblysł nadziei. Może zatem i jej związek z Calebem był im pisany.

- Czyli co teraz? - zapytała – Boston?

Pokiwał głową.

- Wygląda na to, że trzeba ruszać w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kyle nerwowo dreptał po pokładzie niewielkiego jachtu, którym wczesnym rankiem pędził w stronę Martha's Vineyard. Nie mógł ustać w miejscu. Nie cierpiał łódek i wszystkiego, co się z nimi wiązało. Jak większość jemu podobnych, z całego serca nienawidził być na otwartej wodzie. Może nawet więcej niż większość.

Młody Rosjanin był przekonany, że z tego kierunku wyczuwa obecność dziewczyny. Jechali najpierw autostradą wzdłuż wybrzeża, aż dotarli do portu.

Wtedy chłopak wskazał na ocean. Stwierdził, że ta głupia dziewczyna, źródło wszystkich jego problemów, jest tam na wyspie.

Kyle wpadł w taki szal, że stracił panowanie nad sobą. Nie dość, że ściga tę dziewczynę przez całe wybrzeże, że przez nią omija go wojna, to jeszcze zmusza go teraz do wejścia na łajbę i wypłynięcia na szerokie wody. Podszedł do pierwszego lepszego jachtu w porcie, wskoczył na pokład i wybił całą jego załogę. Wyrzucił ich ciała za burtę, a sam z Rosjaninem wypłynął z portu. Zabicie kilku ludzi pozwoliło mu się trochę odprężyć.

Teraz jednak, na pełnym oceanie, gdy dookoła była tylko woda, jego wściekłość zaczęła znów przybierać na sile. Miał już dość ścigania tej smarkuli.

Chciał ją w końcu znaleźć, wydobyć z niej informację o jej ojcu, dowiedzieć się gdzie jest miecz i wreszcie z nią skończyć.

Na pokładzie Kyle prawie wychodził z siebie. Jach płynął wciąż za wolno.

Podbiegł do Siergieja, który stał za sterem i znów zaczął na niego krzyczeć.

- Zrób coś, żebyśmy płynęli szybciej!

- Nie mogę, Panie - błagalnie tłumaczył tamten - Płyniemy najszybciej jak można.

- Jesteś pewien, że ona jest na tej wyspie, tak? - zapytał go setny raz.

- Jestem pewien, że przekroczyła wodę w tym kierunku - odpowiedział -

Czuję ją w swoich żyłach.

- Nie o to pytałem - warknął Kyle.

Chłopak odchylił głowę, patrząc w przestrzeń i wdychając powietrze. Przez chwilę wydawał się być zdezorientowany.

Wyglądał jakby nie był już pewien swego, jakby chciał zmienić zdanie. Jakby już jej nie czuł.

Gdyby faktycznie tak było, Kyle zabił by go bez wahania.

- Jestem przekonany, że udali się w tym kierunku. Silnie czuję ich obecność.

Ale to wszystko co wiem - powiedział.

Kyle pobiegł znów do relingów. Twarz płonęła mu w gniewie. Wszystko go omijało. Po setkach lat wyczekiwania, wojna – *jego wojna* – właśnie się

rozpoczynała. Bez niego. W tej chwili, w Nowym Jorku, plaga zaczęła się już rozprzestrzeniać. Owoc jego ciężkiej pracy. A on był tu, z dala od tego wszystkiego, na łajbie, na środku oceanu, z durnym ruskim śpiewakiem operowym. Nie mógł cieszyć się swoim dziełem. Miał go minąć widok tych żalonych ludzi desperacko próbujących ratować swoje życie, wyjątych z bólu i rozpacz. A tyle lat na to czekał.

Już ona mu za to zapłaci.

Kyle ścisnął reling tak mocno, że złamał go w pół, po czym wyrwał w całości.

*

Caitlin stała obok Caleba, opierając się o reling na pokładzie promu. Patrzyła przed siebie. Nie dostrzegała jeszcze lądu, ale wiedziała, że zaraz pojawi się na horyzoncie.

Jakaś część jej chciała, by nigdy nie dotarli do brzegu. Dopóki byli tam, na oceanie, otoczeni wielkim błękitem, wszystko mogło pozostać bez zmian. Ona i Caleb – razem. Lecz kiedy tylko zobaczyła brzeg, wiedziała, że ich życie znów się zmieni. Jak tylko zejść z pokładu, Boston zacznie przyciągać ich jak magnes, aż znajdą się na trakcie Freedom Trail. Była pewna, że tam skończą się ich poszukiwania. Czowała to. I to ją przerażało.

Caleb też wyglądał na zdenerwowanego. Widziała jak ścisną poręcz, a na jego twarzy maluje się niepokój. Znała już trochę jego mimikę i wiedziała, że ten wyraz twarzy często u niego nie gości. Wiedziała, że to nie lęk przed wodą. Czy myślał o ich przyszłości? Czy o tym co stanie się, kiedy odnajdą miecz?

Oboje wiedzieli, że gdy zdobędą miecz, ona nie będzie mogła być dalej przy nim. On wkroczy na wojenną ścieżkę. Zapewne wróci do swojego zgromadzenia.

Znajdzie się w samym sercu wampirzej wojny. Nie wyobrażała sobie, żeby i ona miała brać w tym udział. Ale nie wyobrażała sobie też swojego dalszego życia bez niego. Wszystko się zmieniło. On objął ją ramieniem w talii i przytulił.

Uświadomiła sobie, że z nikim jeszcze nie czuła takiej bliskości. To było prawie jakby byli jednym połączonym umysłem, zapatrzonym w wodę. Była odmieniona.

Odnosiła wrażenie, że na Caleba ostatnia noc też miała wpływ, choć może w nieco mniejszym stopniu.

Podróż minęła im bez słowa. Żadne z nich nie mówiło o ostatniej wskazówce, nie próbowało odszyfrować zapisków, żadne nie zastanawiało się, gdzie jest ich druga część. Po prostu cieszyli się chwilą, tym że stoją obok siebie, że są razem.

Żadne z nich nie czuło potrzeby by coś mówić. Wiedzieli, że to tylko cisza przed burzą, ale chcieli się nią nacieszyć.

Nagle twarz Caleba zmieniła wyraz. Wysunął szczękę w grymasie, który widziała już u niego, kiedy szykował się do walki.

Spojrzała na niego.

- Co się dzieje? - zapytała

On patrzył przed siebie mrużąc oczy i zaciskając szczęki. Milczał przez chwilę.

- Coś wyczułem - odpowiedział w końcu.

Czekała, aż powie coś więcej ale tego nie zrobił.

- Co takiego? - zapytała.

On, nadal zapatrzony w przestrzeń, odpowiedział.

- Nie jestem pewien. Są duże zakłócenia. Ale czuję, że moi ludzie cierpią. I wyczuwam kogoś, kto nas szuka. Czuję, że czeka nas wielkie niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kiedy dobili do portu w Edgartown, Kyle nie mógł już dłużej czekać. Pędem zeskoczył z pokładu, przemierzając dwadzieścia stóp i zręcznie lądując na pomoście. Rosjanina zostawił za sobą, by ten zacumował łódź.

Suchy ląd. Od razu poczuł się lepiej.

Rosjanin wyłączył silnik, zacumował jacht i pobiegł za nim.

- Hej, tu nie wolno cumować! - pulchny mężczyzna w średnim wieku, o jaskrawo czerwonych policzkach, biegł w ich stronę - to prywatny port. Cumować tu mogą tylko...

Zanim zdołał skończyć zdanie, Kyle chwycił go jedną ręką za gardło i uniósł

faceta na kilka metrów w górę, wymachując nim jak kukłą.

Oczy wyszły mu na wierzch a jego twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

Kyle skrzywił się i jednym ruchem zrzucił mężczyznę z pomostu.

Facet z pluskiem wylądował w wodzie, daleko od brzegu. Kyle miał nadzieję, że go zabił. Powinien był dusić go dłużej.

- Gdzie ona jest? - Kyle syknął przez zaciśnięte zęby.

Rosjanin rozejrzał się nerwowo, starając się rozpoznać teren. Odchylił głowę i starał się wyniuchać powietrze we wszystkich kierunkach.

- Jeśli zgubiłeś trop, zabiję cię - zagroził Kyle.

Rosjanin jeszcze raz się rozejrzał i ruszył w stronę Main Street.

- Poszła tędy - powiedział.

Kyle podążył jego śladami.

*

Kyle i Sergiei weszli po schodach kościoła. Nie zwalniając tempa, Kyle kopnięciem otworzył podwójne drzwi. Ustąpiły z głośnym trzaskiem, a Kyle pewnym krokiem ruszył przez środek sali. Sergei szedł tuż za nim. Zatrzymali się pośrodku pustego pomieszczenia i rozejrzeli się wkoło. Nikogo tam nie było.

Kyle chwycił Rosjanina za barki.

- Mam już tego dosyć. GDZIE ONA JEST? - krzyknął.

- Tam, gdzie jej nigdy nie znajdziesz - doszedł ich spokojny głos z tylnej części sali.

Kyle i Sergei odwrócili się.

Przed nimi, w drzwiach stał Roger i patrzył na nich ze spokojem.

Kyle wyczuł zmianę otaczającej ich energii. Wiedział, że ma przed sobą jednego ze swoich. Wreszcie jakiś nie człowiek. Zbliżyli się do siebie. Kyle szedł

powoli, Sergei u jego boku.

- Mylisz się. Będzie tak: powiesz mi dokładnie gdzie ona jest, z kim i dokąd się kierują - powiedział, zbliżając się coraz bardziej do Rogera.

Roger zrobił kilka kroków w ich stronę, po czym nagle sięgnął za plecy i czymś w nich wycelował.

Kyle spodziewał się czegoś takiego, Sergei nie.

W ich stronę poleciała długa, ostra, wampirza włócznia. Kyle uchylił się w porę, Sergei nie zdążył. Srebrne ostrze przecięło jego twarz, rozywając policzek.

Nie był to specjalnie celny rzut, ale wystarczył, by upuścić mu sporo krwi.

Sergei zawył z bólu i uniósł dłonie do zakrwawionej twarzy. Kyle bez chwili namysłu ruszył w stronę Rogera, wyskoczył w powietrze, po czym z całej siły oboma nogami uderzył w jego pierś. Tym kopnięciem posłał go wprost na przeciwległą ścianę budynku.

Zanim ten zdążył wstać, Kyle wylądował na nim i zaczął go dusić. Wyczuwał

jego energię i wiedział, że ma do czynienia z jednym ze starszych wampirów. Był

tak stary, że stracił już większość swoich mocy. Wiedział, że jest od niego silniejszy i mógłby zabić go z łatwością. Wolał jednak rozkoszować się powolnym torturowaniem go.

Zauważył nagły ruch. Coś żółtego w dłoni Rogera. Zanim zdążył zareagować, było już za późno. Roger połknął truciznę.

Kyle poczuł jak ciało starca wiotczeje w jego uścisku.

Opętał go szal. Rzucił głową w tył i zawył przeraźliwie rykiem tak głośnym, że pękły od niego szyby we wszystkich oknach kościoła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sam wciąż jeszcze dochodził do siebie.

Scena, która rozegrała się wewnątrz przyczepy, tak nim wstrząsnęła, że ciągle jeszcze odtwarzał ją w myślach. Ten zboczeniec. Nóż. Ich walka. Jego policzek. I w tym wszystkim Samantha, która zabiła tego mężczyznę. Tak po prostu. Jakby od niechcienia. To było nie do pojęcia. Kim ona jest?

Siedzieli w przydrożnym barze. Przyglądał się jej, siedzącej po drugiej stronie stołu. Podobała mu się jeszcze bardziej niż przedtem, ale był teraz nieco bardziej podejrzliwy. Ostrożny. Siedziała zupełnie spokojna, sącząc waniliowego shake'a. Nie mieściło mu się to w głowie. Z jednej strony była fajną, seksowną super laską, z którą uwielbiał spędzać czas, a z drugiej psychopatką, która chwilę temu bez mrugnięcia oka zabiła człowieka. Czy ona naprawdę to zrobiła?

Wszystko działo się tak szybko i było tam tak ciemno, że sam nie był już pewien, co tak naprawdę się wydarzyło. Pamiętał hałas, ten okropny dźwięk, gdy łamała mu kark. Pamiętał, że widział, jak facet opada na ziemię, zupełnie bezwładny. Wyglądał na trupa, ale nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością.

Może tylko był nieprzytomny. Tak czy siak – jak ona to zrobiła? Ten facet był

silny i miał nóż.

Po raz setny zaczął robić sobie wyrzuty. Nienawidził siebie. Jak mógł być takim naiwnym idiotą? Jak mógł dać się zwieść jakiemuś internetowemu zboczeńcowi? Czy naprawdę jest aż taki głupi? Co on sobie myślał? Było mu głupio. W dodatku teraz miał jeszcze większą pewność, że już nigdy nie odnajdzie swojego prawdziwego ojca.

A jakby tego wszystkiego było mało, naraził jeszcze Samanthę na niebezpieczeństwo. A co gorsza, nie umiał jej ochronić. To ona musiała stanąć w jego obronie. Co za wstyd. Musi mieć go za totalnego frajera.

Bał się, że teraz go zostawi. Nie dziwiłby się jej.

- W porządku? - zapytała patrząc na jego policzek.

Przypomniała mu. Odkleił od twarzy papierowy ręcznik i obejrzał go.

Krwawienie ustało. Ale rana nadal bolała jak diabli.

- Tak – odpowiedział. Spojrzał na nią i zauważył, że nie ma nawet siniaka -

Słuchaj, jak ty to zrobiłaś? Jak udało ci się pokonać tego gościa?

Wzruszyła ramionami.

- Trenowałam karate przez większość mojego życia. Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam. Ten facet był niebezpieczny. Nie chciałam

zostawiać niczego przypadkowi. To był prosty chwyt. Mogę cię nauczyć.

Zawsze umiała sprawić, by poczuł się lepiej. Jakby znała jego myśli i wiedziała, jak go uspokoić. To było niesamowite. Wszystkie jego zmartwienia zniknęły.

- Strasznie cię przepraszam – powiedział - Jestem idiotą. Jak mogłem cię tam zabrać.

- Hej – odpowiedziała – W końcu zgodziłam się na przejażdżkę, nie?

Spojrzał na nią, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

Napięcie prysło.

Wziął dużego gryza swojego wcześniej nietkniętego burgera. W tej samej chwili Samantha zapatrzyła się na jego nadgarstek. Chwyciła go swoimi lodowatymi dłońmi.

Sam opuścił nadgryzionego burgera, zastanawiając się co ona robi.

Przyciągnęła do siebie jego rękę i wpatrywała się dalej. Patrzyła na jego zegarek.

Jej twarz nagle zmieniła wyraz. Zdawała się być teraz śmiertelnie poważna.

Wręcz sparalizowana.

- Co jest? - zapytał w końcu.

- Skąd to masz? - odpowiedziała pytaniem, zachowując pełną powagę.

Spojrzał na swój zegarek. W ogóle zapomniał, że ma go na ręku. Miał go zawsze. Nosił go od dziecka. Był jakby częścią niego. Nigdy nie pamiętał o tym, że ma go na sobie. Wyglądał trochę dziwnie, to fakt, ale dlaczego tak ją zainteresował.

- Należał do mojego ojca - powiedział - A przynajmniej tak mi się zdaje.

Byłem zbyt mały, żeby to pamiętać. Mam go od zawsze.

Sam przyjrzał się zegarkowi z zaciekawieniem. Był wykonany z jakiegoś dziwnego metalu – zawsze myślał, że to rodzaj platyny – a po bokach miał dziwne zdobienia. Wyglądał na bardzo stary. Dziwnie cykał. Najdziwniejsze było to, że nigdy go nie nakręcał, ani nie zmieniał w nim baterii, a ten nadal bezbłędnie wskazywał godzinę.

Samantha dotknęła go.

- Proszę – powiedział ściągnając zegarek – Śmiało. Przymierz, jeśli chcesz. Z

tyłu jest jakiś fajny napis. Nie wiem co znaczy

Kiedy go jej podawał, gapiała się jak dziecko w sklepie z cukierkami.

Obróciła go w dłoniach i obejrzała uważnie. Wyglądała na zafascynowaną.

- Widzisz? Jesteś w stanie to odczytać? To chyba po francusku czy coś... -

powiedział.

- To po łacinie - poprawiła go szeptem.

Wbiła w niego wzrok. Jej piękne oczy wpatrywały się wprost w niego, rozszerzając się z podniecenia i zdziwienia.

To znaczy *Róża i Cierń spotkają się w Salem*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Caitlin i Caleb stali na małym pagórku w Boston Common i rozglądali się po parku. On trzymał w ręku mapę traktu Freedom Trail, którą przed chwilą kupił i raz za razem śledził jego bieg palcem na papierze. Caitlin stała obok, trzymając obie części starego zwoju.

- Przeczytaj to jeszcze raz. - polecił.

Caitlin zmrużyła oczy, by widzieć wyraźniej i przeczytała na głos:
Czterech jeźdźców podąża szlakiem wolności.

Opuszczają wspólne ziemie,

Wstępują do krwawego kręgu,

Spotkają się w domu,

I ukochanych swych odnajdą,

Przy czwartym krzyża ramieniu.

- Szlak wolności – Caleb powtórzył głośno, zastanawiając się - Tak, to musi być odniesienie do tego traktu. To by się zgadzało. To miejsce jest dokładnie pośrodku, między Salem a Martha's Vineyard. Jesteśmy w samym centrum. A wspólne ziemie, to musi być Boston Common. To też logiczne. W XVII w.

wieszano tu czarownicy. To bardzo ważne miejsce, szczególnie dla wampirów.

Zapis mówi, by opuścić wspólne ziemie. To znaczy że stąd musimy ruszyć. Ale dokąd? Krwawy krąg... spotkanie w domu... czwarte ramię krzyża? Nie wiem co to oznacza.

Caitlin rozejrzała się raz jeszcze. Widok z tego miejsca był imponujący. Mimo zmieniającej się pogody, na górcie zostało jeszcze trochę śniegu. Po zboczach na sankach zjeżdżały dzieciaki, piszcząc wesoło z radości. Piękny park. Istna idylla.

Caitlin trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś wieszano tu czarownicy.

Uważnie przyjrzała się miejscu, w którym się znajdowali, ale na szczycie pagórka stało jedynie rozłożyste drzewo. Nigdzie żadnej wskazówki.

- A dlaczego „czterech jeźdźców”? - zapytała - Co to może znaczyć?

- To odniesienie do Apokalipsy. Czterech jeźdźców apokalipsy, wyruszających w cztery strony świata. Myślę, że to oznacza, że jeśli nie znajdziemy miecza, sprowadzimy na świat apokalipsę.

- Albo – dodała – że apokalipsa nastanie, gdy go odnajdziemy.

Caleb spojrział na nią wyraźnie zafrasowany.

- Być może... - przytaknął.

- Ale dlaczego tu? – zadumał się - Dlaczego właśnie to miejsce?

Caitlin nagle przyszło coś do głowy.

- Może tu wcale nie chodzi o samo to miejsce. Może istotą jest *podróż*.

Spojrzał na nią.

- Co masz na myśli?

- Zapis mówi o podróży. O drodze z jednego miejsca do kolejnego. Może punkty docelowe nie są tak istotne, jak sama wędrówka.

Caleb zmarszczył brwi.

- Jak w przypadku pielgrzymek - wyjaśniła – Sama wędrówka ma tu znaczenie, nie zaś cel. Podróż w danym kierunku, odprawianie rytuałów, to odmienia ludzi.

Caleb popatrzyła na nią z uznaniem. Chyba spodobał mu się jej pomysł.

- Dobrze - odpowiedział - Kupuję to. Ale, jeśli nawet masz rację, to dokąd mamy teraz pójść?

- Zapis mówi - zaczęła patrząc ponownie na zwój - że mamy wyjść ze wspólnej ziemi i wejść do krwawego kręgu. Zatem krwawy krąg to nasz następny przystanek.

- Czyli? - zapytał.

Stała obok niego, uważnie przyglądając się mapie. Na historycznym trakcie wolności było 18 przystanków. W sumie dwie i pół mili. Czuli się przytłoczona samym patrzeniem na nie. Nie miała pojęcia gdzie mają dalej iść. Przyglądała się, ale żadne z miejsc na mapie nie było w kształcie koła, a już na pewno nigdzie nie było żadnego odnośnika do krwawego kręgu.

Przeczytała opisy na mapie. I to nic nie dało.

Wtedy to zobaczyła.

Na dole mapy był przypis. Zaraz pod opisem Old State House. A brzmiał o tak: Na ulicy, przed budynkiem, znajduje się miejsce upamiętniające bostońską masakrę.

- Tutaj – zawołała podekscytowana - Bostońska Masakra. Nie ma tu nic o kręgu, ale na pewno było to krwawe zdarzenie - Spojrzała na niego - Jak myślisz?

Caleb zerknął jeszcze raz na mapę.

- Chodźmy więc – powiedział.

*

Caitlin i Caleb wyszli z parku i skierowali się w stronę Court Street, zmierzając do historycznej części Bostonu. Ich oczom ukazał się Old State House.

Był to duży budynek z czerwonej cegły, z mnóstwem okien, zwieńczony białą kopułą. Zachowany w idealnym stanie. Był niezwykle piękny w swojej prostocie.

Gdy do niego dotarli, obeszl go wkoło w poszukiwaniu miejsca upamiętniającego bostońską masakrę. Skręcili za róg i wtedy zobaczyli je.

Wyglądało jak pierścień. Idealny krąg. Było nieduże. Niewiele większe od wjazdu do studzienki kanalizacyjnej. Podeszli bliżej by się przyjrzeć.

Nie było na nim żadnych specjalnych znaków. Skromna płyta wmurowana w ziemię przed Old State House.

- Wszystko się zgadza - powiedział Caleb - Jesteśmy na właściwym tropie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ten balkon nad nami - powiedział wskazując palcem – To tu po raz pierwszy odczytano Deklarację Niepodległości.

Caitlin spojrzała na niewielki balkon.

- I co z tego? - zapytała

Caleb wziął głęboki wdech i zaczął tłumaczyć.

- Powstanie tego narodu, było tak naprawdę momentem usankcjonowania również narodu wampirów. Wolność i sprawiedliwość dla wszystkich. Wolność od prześladowań na tle religijnym. Niewielka grupa ludzi, podbijająca wielki i potężny naród. Naprawdę myślałaś, że mogła to zrobić grupa ludzi? To były wampiry, jak ja. Ale tego w podręcznikach nie znajdziesz. Powstanie Ameryki, to tak naprawdę założenie kraju wampirów. Niestety mroczne wampiry, takie jak na przykład klan Blacktide, od zawsze próbowały zniszczyć nasze dzieło. Od zawsze trwała walka dobra ze złem. Wolność kontra prześladowania. Gdziekolwiek było jedno, zaraz pojawiała się i to drugie.

Twój ojciec, kimkolwiek był, musiał być jednym z założycieli. Wśród nich były najpotężniejsze wampiry. Dysponowali też najpotężniejszą bronią i przechowywali ją dla przyszłych pokoleń.

- Przechowywali? - zapytała Caitlin, próbując sobie to wszystko poukładać w głowie.

- Miecz, którego szukamy – turecki miecz – został stworzony do obrony, a nie do ataku. Ale w niewłaściwych rękach, może okazać się zabójczą bronią. Dlatego został ukryty. By mogli go odnaleźć jedynie właściwi ludzie. Twój ojciec musiał

go dobrze ukryć.

To wszystko było dla niej zbyt zawikłane. Próbowała to pojąć. Trudno było jej w to uwierzyć. Ale fakty zdawały się mówić same za siebie. I wyglądało na to, że są już u kresu swoich poszukiwań.

- Nie widzę tu żadnych wskazówek - powiedziała Caitlin, rozglądając się.

- Ja też nie – odpowiedział Caleb – Ale jeśli kierujemy się twoją teorią, że chodzi o samą podróż, to po prostu z jakichś powodów

mieliśmy znaleźć się w tym miejscu i to zobaczyć, a teraz musimy ruszać w dalszą drogę.

Caleb spojrział ponownie na zwój.

- „Spotkają się w domu” - przeczytał powoli - W jakim domu?

Caitlin wyjęła mapę.

- Na tej mapie jest mnóstwo domów: dom Paula Revere, dom Johna Coburna, dom Johna J. Smitha. Może chodzić o każdy z nich. Równie dobrze może chodzić o jakiś zwyczajny dom, nie oznaczony na mapie.

- Mam przeczucie, że skierowano nas na ten trakt nie bez powodu -

Powiedział Caleb - Dlatego myślę, że o jaki dom by nie chodziło, znajduje się on na trakcie.

Oboje zapatrzyli się na mapę. Nagle Caitlin coś przyszło do głowy.

- A co jeśli wcale nie chodzi o żaden dom? - zapytała Calem przyjrzał się jej uważnie.

- Wydaje mi się, że to by było za proste. Wszystkie pozostałe wskazówki są bardziej zawoalowane. Co jeśli nie chodzi dosłownie o dom?

Jeszcze raz przejechała palcem po mapie.

- Zobacz. Może chodzi nie o dom, a o kościół? Tu jest Kościół o nazwie Dom Spotkań. Jest tu zaraz za rogiem.

Caleb popatrzył na nią z wyrazem uznania.

- Dobrze jest mieć cię w swoje drużynie – powiedział z uśmiechem.

*

Przeszli szybko Washington Street, by za chwilę znaleźć się przed Domem Spotkań. Był to pięknie odrestaurowany, zabytkowy kościół.

Weszli i od razu zostali zatrzymani przez pracownika muzeum.

- Przykro mi, ale właśnie zamykamy - powiedziała kobieta – Jest już piąta.

Zapraszamy jutro.

Caleb spojrział na Caitlin i nie musiał już nic mówić. Chciał, żeby wypróbowała na niej swoje zdolności wpływania na umysł.

Caitlin spojrzała na kobietę i posłała w jej stronę sugestię. Wpuści ich. Zrobi dla nich wyjątek. Kobieta nagle również spojrzała na Caitlin. Mrugnęła.

- Wiecie co? Wyglądacie na taką miłą parę. Zrobię dla was wyjątek. Tylko nikomu ani słowa - powiedziała i puściła do nich oko.

Caitlin uśmiechnęła się do Caleba. Weszli do środka.

Kościół był zjawiskowy. Piękna otwarta przestrzeń, ze wszystkich stron ogromne okna. Wkoło drewniane ławy. Wszystkie puste. Mieli cały kościół tylko dla siebie.

- Jest ogromny – powiedziała - Co teraz?

- Na początek pójdźmy wyznaczoną drogą – zaproponował, wskazując na wymalowane na podłodze czerwone strzałki, pokazujące kierunek zwiedzania.

Na drodze mogli podziwiać serię muzealnych wystaw. Przystawali się co i rusz, by czytać przypisane do nich opisy, zamocowane na drewnianej poręczy.

Caitlin zatrzymała się przy jednej z nich z szeroko otwartymi oczami.

- Posłuchaj tego – powiedziała – „W tym miejscu, w roku 1697, sędzia Sewall przeprosił za swój udział w skazaniu na śmierć czarownic z Salem w 1692 roku.”

Spojrzeli na siebie. Wzmianka o Salem bardzo ich podekscytowała. Musieli być we właściwym miejscu. Wszystko zaczynało się układać w spójną całość.

Czuli, że są już blisko celu. Jakby miecz był już w zasięgu ręki.

Rozejrzeli się, ale nie znaleźli żadnej podpowiedzi, żadnego nowego znaku, który wskazałaby im dalszą drogę.

- Wygląda na to, że dobrze trafiliśmy. Musiało chodzić o Dom Spotkań. Jeśli rzeczywiście chodzi o podróż, to pytanie brzmi: dokąd teraz?

Znów spojrzeli na zwój.

Opuszczają wspólne ziemie,

Wstępują do krwawego kręgu,

Spotkają się w domu,

I ukochanych swych odnajdą,

Przy czwartym krzyża ramieniu.

- Opuściliśmy już wspólne ziemie, byliśmy przy kręgu, odnaleźliśmy dom spotkań - powiedział - Musimy teraz znaleźć ukochanych przy czwartym ramieniu krzyża. Jeśli naprawdę chodzi tu o podróż, to została nam już tylko jedna stacja na trasie.

Oboje stali tam, pogrążeni w myślach.

- Wydaje mi się, że *odnalezienie ukochanych* odnosi się do odnalezienia twojego ojca - powiedział - Myślę, że to będzie nasz ostatni przystanek. Ale co oznacza ten krzyż? Chodzi o kolejny kościół?

Caitlin zastanowiła się. Myślała i myślała. Czytała zapis, spoglądała na mapę.

Ona również czuła, że są już blisko. Też była przekonana, że przed nimi jeszcze tylko jedna stacja. Ale nie mogła tego rozszyfrować. Przyjrzała się wszystkim kościołom na trakcie i żaden nie wydawał się jej być tym właściwym.

Nagle to do niej dotarło. Prześledziła na mapie drogę, którą pokonali i jej oczy zapłonęły z podniecenia.

- Długopis - powiedziała - Szybko, potrzebny mi długopis.

Caleb przebiegł szybko pomiędzy ławkami i znalazł na jednej z nich długopis.

Wrócił do Caitlin, a ona zaczęła rysować linię na mapie traktu wolności.

- To jest jakiś szlak - powiedziała - szliśmy według pewnego schematu.

Ruszyliśmy z parku Common - zakreśliła to miejsce na mapie - Potem poszliśmy do Domu Spotkań - połączyła te dwa miejsca linią i zakreśliła drugie z nich.

Uniosła mapę.

- Spójrz. Widzisz jak szliśmy. Widzisz ten wzór?

Przyjrzał się rysunkowi, bez przekonania.

- Jeszcze nie jest skończony, dlatego tego nie widzisz. Przeszliśmy tylko trzy stacje. Czwarta dopełni wzór.

Dorysowała prostą linię, kończącą rysunek.

Teraz zobaczył i zaniemówił.

- Krzyż - powiedział - Szliśmy po planie krzyża.

- Tak - odpowiedziała podekscytowanym głosem - A teraz, jeśli pójdziemy drogą, którą wyznacza linia która symetrycznie uzupełnia obraz krzyża, możemy dojść tylko w jedno miejsce.

Oboje przeszli wzrokiem linie, którą narysowała.

Na samym końcu tego ramienia krzyża znajdował się cmentarz przy King's Chapel.

- Ukochani - powiedział Caleb – Cmentarz.

- Jestem pewna, że musi być tam pochowany.

- I on i miecz.

*

Samantha pędziła BMW po przedmieściach Bostonu, w kierunku Salem. Sam siedział u jej boku. Była coraz bardziej poirytowana piętzącymi się trudnościami z odnalezieniem jego ojca. Kiedy Sam powiedział jej, że udało się mu z nim skontaktować i pokazał jej wiadomości na Facebooku, myślała, że to będzie proste. Zabierze go do domu jego ojca, a potem ruszy już wprost po miecz. Ale wszystko się skomplikowało. Nie spodziewała się spotkać tego zbrojnika. A już na pewno nie brała pod uwagę tego, że może zacząć darzyć chłopaka uczuciem.

To wszystko utrudniało. Jej pierwotny plan zakładał znalezienie ojca, zabicie obu i odnalezienie miecza. Teraz nie była pewna, czy w ogóle chce zabić Sama.

Szczególnie, kiedy spoglądała na niego i widziała na jego twarzy świeżą ranę.

Pamiętkę tego, jak próbował ją ratować.

Była na siebie wściekła. Była zła, że się nie pilnowała. Nienawidziła uczuć.

Wszystko komplikowały.

Kiedy pokazał jej zegarek, a ten pokierował ją do Salem, mogła spokojnie się już go pozbyć. Ale z jakiś niewyjaśnionych powodów, wolała mieć go u swojego

boku. Nie rozumiała dlaczego. Powiedziała, że przydała by się jej pomoc w ważnej sprawie, którą musi załatwić w Salem.

Kiedy zapytała czy w to wchodzi, odpowiedział tylko szerokim uśmiechem.

Dzieciakowi zdecydowanie nie śpieszyło się wracać do szkoły.

Poza tym, może nadal być przydatny w poszukiwaniach jego ojca. Dobrze, że zauważyła ten zegarek.

Salem to duże miasto. A ten napis mógł znaczyć dosłownie wszystko. Chłopak może jej się jeszcze przydać.

Nagle, wyczuła coś i depnęła po hamulcach. Samochód z piskiem zatrzymał

się na środku drogi.

- Hej – zawołał Sam, uderzając dłońmi w deskę rozdzielczą - Co się stało?

Kilka samochodów za nimi zahamowało równie gwałtownie głośno trąbiąc.

Samantha się tym nie przejęła. Poczowała coś w powietrzu. Jakąś wibrację.

Spokojnie uniosła głowę i nasłuchiwała.

Tak. Teraz miała już pewność. Wyraźnie czuła aktywność wampirów w Bostonie. Wibracja pulsowała w jej żyłach. Czuła, że to musi być coś ważnego. I miało miejsce bardzo blisko. Może nawet miało to coś wspólnego z samym mieczem.

Ruszyła nagle i zawróciła, blokując ruch w obie strony. Ruszyła Storror Drive w przeciwnym kierunku.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał zdziwiony i lekko wystraszony.

Samantha przejechała jeszcze kilkaset metrów, po czym z piskiem opon skręciła nagle w lewo, ścinając naraz cztery pasy ruchu.

- Mała zmiana planów - odpowiedziała.

*

Kyle zeskoczył z jachtu zanim ten jeszcze dobił do brzegu i zrećnie wylądował na bostońskim bruku. Rosjanin szybko do niego dołączył. Na łódce wielokrotnie rozważał zabicie Rosjanina, ale wiedział, że chociaż sprawiłoby mu to wielką przyjemność, straciłby jednocześnie szansę na zdobycie tego, czego naprawdę pragnął. Postanowił więc dać mu jeszcze jedną, tym razem już ostatnią szansę, na zaprowadzenie go do dziewczyny.

Jeśli Rusek nie będzie wiedział, gdzie w Bostonie mają jej szukać, wtedy już na pewno go zabije i znajdzie inny sposób, żeby dopaść dziewczynę. Spojrzał na niego ze zniecierpliwieniem.

Popatrzył na świeżą ranę na policzku chłopaka. Myśl o tym, że zostanie po niej paskudna blizna, poprawiła mu humor.

Na szczęście dla Rosjanina, jego oczy zapłonęły. Wskazał drogę.

- Jest już blisko, mój Panie - powiedział - Czują ją. Jest zaledwie parę przecznic stąd.

Kyle uśmiechnął się obleśnie. Czuł, że tym razem są na dobrym tropie. Tak, wierzył chłopakowi. Tylko kilka przecznic. Jak to pięknie brzmiało.

Kyle podszedł do nowiutkiego, błyszczącego auta. Jego kierowca stał tuż obok. Rosjanin otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do środka.

Zanim mężczyzna zdążył zorientować się, co się dzieje, Kyle silnym ciosem rzucił nim na kilka metrów w tył. Nie oglądając się za siebie, Kyle wsiadł do samochodu i ruszył.

Pędził ulicami Bostonu, dla zabawy zmieniając pasy, przepychając się w ulicznym korku. Wokół rozlegał się jazgot klaksonów. Uśmiechnął się szeroko.

Udało mu się poprawić sobie co nieco humor.

Teraz już był pewien, że miecz będzie jego.

A wtedy pozabija ich wszystkich.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Po tym jak Caitlin i Caleb opuścili Dom Spotkań, przeszli dwie przecznice w dół School Street, by dotrzeć do cmentarza King's Chapel.

Czwarty wierzchołek krzyża, pomyślała Caitlin. Wszystko nabiera teraz sensu.

Zadziwił ją fakt, że przez ten cały czas chodzili po planie krzyża, jakby prowadzeni przez niewidzialną rękę przeznaczenia.

Caitlin poczuła, że jej serce zaczyna szybciej bić. Była podekscytowana perspektywą spotkania z ojcem, jeśli ten jeszcze żył, i zestresowana możliwością odkrycia jego grobu, jeśli okazałby się martwy. Nie była pewna, jaka będzie jej reakcja w żadnym z tych przypadków. Przynajmniej teraz dowie się, kim naprawdę jest i skąd pochodzi. Teraz odkryje swoją przeszłość i wypełni swoje przeznaczenie.

Smutkiem napawał ją fakt, że ta chwila oznaczać będzie również koniec wspólnego czasu jej i Caleba. Co będzie, jeśli naprawdę

znajdą miecz? Co on zrobi? Wyruszy na wojnę? Będzie bronił swego klanu? A co ona wtedy pocznie?

Dochodząc do cmentarza, trzymali się mocno za ręce. Im bliżej wejścia byli, tym Caleb mocniej zaciskał swą dłoń na jej dłoni. Może on miał podobne myśli.

Czegokolwiek by nie znaleźli w ciągu kilku kolejnych minut, zmieni to życie ich obojga na zawsze. Caitlin czuła jak Róża chowa się głębiej w jej kurtkę.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy weszli na teren zabytkowego cmentarza.

King's Chapel wydawał się być zapomnianym miejscem pochówku. Na niewielkim terenie znajdowały się skromne nagrobki sprzed setek lat.

Caitlin i Caleb szli powoli wąskimi brukowanymi ścieżkami, które wiły się pomiędzy grobami, czytając uważnie wszystkie, widniejące na nich napisy. Róża szła grzecznie przy nodze. Przy każdym kolejnym nagrobku, serce Caitlin biło coraz mocniej. Czy tu właśnie leży jej ojciec?

Zaczęli od końca i rząd po rzędzie, studiowali każdy posąg, każdy tablicę pamiątkową, każdy kamień. Swoją uwagę skupiała głównie na większych, bardziej dostojnych nagrobkach. Miała nadzieję, że jej ojcem był ktoś ważny, ktoś, kto zasłużył na wyjątkowe miejsce spoczynku. Na żadnym z nich nie widniało jednak jej nazwisko. W ogóle nigdzie nie mogli go znaleźć.

Kiedy dotarli już do kresu swoich poszukiwań, do miejsca, z którego zaczęli, Caitlin zorientowała się, że został im do przejścia jeszcze jeden, ostatni rząd.

Znajdował się on najbliżej ulicy, tuż przy wejściu na cmentarz. Szli więc nim powoli, studiując kamień po kamieniu.

I tam, na samym końcu, ujrzeni go.

Nagrobek: "Elizabeth Paine. Zmarła w 1692 roku"

To była ta sama Elizabeth Paine, na której ślad trafili w Salem. Bohaterka *Szkarłatnej Litery* Hawthorne'a. Kobieta, o której Caleb powiedział, że obcowała z wampirem. Kobieta, która nosiła nazwisko Caitlin. To tu została pochowana.

Czy to jej szukali przez cały ten czas? Czy Caitlin w rzeczywistości szukała swojej *matki* a nie swojego ojca?

A może Elizabeth była żoną wampira?

Caleb zbliżył się i uklęknął przy grobie, tuż obok Caitlin. Róża podeszła i usiadł obok niego. Przyglądała się, jak ostrożnie bada cały nagrobek.

- To jest to – powiedział, nie kryjąc emocji – To tu mieliśmy się znaleźć. W

miejscu spoczynku twojego przodka.

- Więc - Caitlin nie wiedziała, jak zacząć – to mojej matki szukaliśmy przez cały ten czas?

- Nie wiem – przyznał Caleb - Może być tak, że to ona była wampirem. Albo, że był nim jej mąż.

- Ale – Caitlin wciąż była zupełnie zdezorientowana – czy to oznacza, że oni nie żyją? Czy jest jeszcze szansa, że ich odnajdziemy?

Caleb powoli pokręcił głową.

- Nie wiem - powiedział w końcu.

Ponownie wyciągnął zwój : “I ukochanych swych odnajdą przy czwartym krzyża ramieniu”

Rozejrzał się po cmentarzu.

- To musi być to miejsce. To tutaj spoczywają „ukochani”. To musi być czwarte ramię krzyża. Nigdzie indziej być nie może - powiedział, rozglądając się równocześnie po okolicy – Tylko że ja nie dostrzegam nic, co wskazałoby nam drogę do miecza, a ty?

Caitlin westchnęła ciężko. Nie. Nie widziała tam żadnych wskazówek.

I wtedy coś przyszło jej do głowy.

- Przeczytaj to jeszcze raz – poprosiła - Powoli.

- I ukochanych swoich znajdą – recytował słowo po słowie - Przy czwartym krzyża ramieniu.

- Przy – powtórzyła i oczy jej się zaświeciły z radości.

- Co? – zapytał.

- Nie rozumiesz? Mówi, *przy* czwartym krzyża ramieniu. A nie *na* czwartym krzyża ramieniu. *Przy* nim – powiedziała wyraźnie.

Oboje w tym samym momencie odwrócili się i spojrzeli na duży, kamienny budynek, stojący tuż przy nich..

The King's Chapel

*

Caleb bez problemu wyrwał zamki z masywnych drzwi kościoła, by włamać się do jego środka. Teraz mieli cały kościół tylko dla siebie.

Przepiękną, małą kaplicę, oświetlały delikatne promienie zachodzącego słońca, wlewające się do środka przez witrażowe okna. Caitlin przepelniał spokój.

To było niezwykle przytulne i eleganckie miejsce, z ławami wyłożonymi czerwonym aksamitem. Świątynia była doskonale zachowana. Caitlin poczuła, jakby przeniosła się w czasie do innego wieku.

Caleb podążył obok niej, oboje powoli rozglądali się po pomieszczeniu.

Cisza wisiała w powietrzu.

- To tu – powiedział - Czuję to.

I po raz pierwszy Caitlin też to poczuła.

Zauważyła, że ostatnio wszystko zaczęła silniej wyczuwać, a teraz obecność miecza w tym pomieszczeniu, była dla niej wręcz oczywista. Nie wiedziała, z czego cieszyć się bardziej: że miecz tu był, czy że go sama wyczuła.

Caitlin postawiła Różę na podłodze obok siebie i ruszyła powoli w dół alejki między ławami, starając się wyostrzyć wszystkie zmysły by wyczuć miejsce ukrycia miecza. Skupiła wzrok na ambonie.

Na drugim końcu kaplicy, piękne, małe okrągłe schody prowadziły do ambony.

Z tego miejsca kapłani wygłaszali swoje kazania przez setki lat. Jakaś siła wyraźnie ciągnęła ją w tamto miejsce.

- Ja też to czuję - powiedział Caleb.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Idź – zachęcał ją - To twój miecz. To twoje dziedzictwo.

Powoli weszła na pierwsze schody prowadzące do ambony. Róża poszła za nią i usiadł u podstawy schodów. Wzrok utkwiła w Caitlin. Zaskomlała cicho.

Caitlin doszła na sam szczyt i zaczęła uważnie studiować każdy element ciasnej, drewnianej konstrukcji. Zastanawiała się, gdzie ukryty może być miecz.

Na pierwszy rzut oka nie było widać niczego nadzwyczajnego. Pod palcami czuła gładką drewnianą powierzchnię, bez wnęk, bez szuflad, bez skrytek.

I wtedy zobaczyła to.

Maleńka skaza na drewnie, coś zamalowanego. Kształt malutkiego krzyża.

Takiego, jaki nosiła na szyi.

Palcem przejechała po tej powierzchni i powoli zdrapała z niej farbę. Pod nią znajdowała się dziurka, jakby od klucza.

Zdjęła naszyjnik i wsunęła go tam. Idealnie pasował.

Przekręciła go i usłyszała delikatne kliknięcie.

Pociągnęła lekko i... nic się nie stało. Spróbowała nieco mocniej i usłyszała pęknięcie farby.

Zawiasy zostały całkowicie zamalowane. Wyciągnęła rękę i pociągnęła mocniej, usuwając resztki farby. Szpara zrobiła się na tyle duża, że mogła wsadzić w nią palce i mocno szarpnąć.

W środku mogła już dostrzec zarys czegoś wysokiego i wąskiego. Znów szarpnęła.

Drzwiczki w końcu ustąpiły.

Uderzyła ją chmura zatęchniętego powietrza i kurzu.

Kiedy pył opad, otworzyła szeroko oczy.

Był tam.

Miecz.

Był olśniewający. Od rękojeści do wierzchołka cały pokryty złotem i klejnotami, emanował nieprawdopodobną mocą. Niemalże bała się go dotknąć.

Sięgnęła po niego z szacunkiem.

Delikatnie położyła dłoń na rękojeści, a drugą na pochwie. Wyciągnęła go i uniosła tak, by Caleb mógł go zobaczyć.

Widziała jak szczęka dosłownie mu opada.

Kiedy wysunęła go z pochwy, jej oczom ukazało się błyszczące ostrze, wykonane z metalu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziała.

Energia, która z niego epatowała, była porażająca. Czowała, jakby przez jej dłonie i ramiona przebiegał prąd elektryczny.

Trzymając ten miecz czowała, że może zrobić wszystko.

*

Samantha z piskiem opon zatrzymała swoje BMW przed wejściem do King's Chapel. Wybiegła z samochodu, nie gasząc nawet silnika. Sam pobiegł za nią.

Wściekli kierowcy darli się zza swoich kierownic.

- Proszę pani, tutaj nie można parkować! - krzyknął policjant, zbliżając się do nich.

Samantha znokautowała go jednym ciosem w nos. Policjant padł nieprzytomny. Zanim jeszcze zdążył uderzyć w ziemię, Samantha wyciągnęła rękę i chwyciła jego pistolet z kabury.

Sam stał tam jak wryty.

- O w mordę – powiedział tylko.

Zanim zdążył otrząsnąć się z szoku, dziewczyna złapała go za gardło i zaczęła ciągnąć w stronę wejścia do kaplicy.

- Samantha - próbował krzyczeć – Co ty wyprawiasz?

Wlokąc go za sobą, jednym kopniakiem wywarzyła drzwi kościoła i wtargnęła do środka.

- Nie ruszać się! - Samantha wrzasnęła.

Trzymała Sama jako zakładnika, przykładając mu pistolet do skroni.

Zadarła głowę do góry i zobaczyła, jak Caitlin stoi na szczycie ambony, z mieczem w rękach. Jej mieczem. Mieczem, którego potrzebowała.

Kątem oka dostrzegła innego wampira. To był ten zdrajca z jej klanu. Caleb.

A przed nią, w przejściu, stał mały, ujadający wilczy szczeniak.

- Rzuć miecz - krzyknęła Samantha - albo zabiję twojego brata!

Sam wił się w jej uścisku, ale była dla niego stanowczo zbyt silna.

- Proszę - błagał Sam - Nie rób tego. Dlaczego to robisz? – jęczał rozgoryczony.

Caitlin wyglądała na zdezorientowaną. Nie miała pojęcia, co zrobić. Co chwila zerkała na Caleba, jakby szukając jego wsparcia.

- Nie dawaj jej miecza – powiedział Caleb stanowczym tonem.

- Jeśli tego nie zrobisz, zabiję go! - Samantha zagroziła -
Przysięgam!

- Sam? – Caitlin była zrozpaczona.

- Tak mi przykro, Caity - Sam łkał przerażony - Proszę. Daj jej ten miecz. Nie pozwól jej mnie zabić.

Zapadła cisza. Caitlin nie mogła zdecydować się na żaden ruch.

Róża, warcząc, zaczęła powoli kierować się w stronę Samantha.

- Dobrze – krzyknęła w końcu Caitlin - Jeśli dam ci miecz,
pozwolisz mu odejść?

- Tak. Rzuć go w moją stronę – rozkazała Samantha - Na podłogę.
Powoli.

Caitlin wahała się jeszcze przez chwilę, po czym rzuciła miecz.

Ten z brzękiem wylądował na podłodze, na samym środku korytarza, w równej odległości od Caleba, Samantha i Caitlin.

W tym momencie, Róża ruszyła na Samanthe.

Dziewczyna bez wahania wycelowała pistolet i strzeliła w szczeniaka.

*

W tym momencie do kaplicy wdarł się Kyle z Siergiejem.

Kyle wykorzystał chwilę dezorientowania swoich rywali i silnym ciosem znokautował Sama i Samanthe.

Caleb nie stracił jednak zimnej krwi. Jednym susem doskoczył do miecza, który wciąż leżał na podłodze.

Widząc to, Kyle ruszył w jego ślady.

Zanim Caleb zdołał chwycić miecz, Kyle skoczył na niego, wymierzając mu silny cios z łokcia i powalając na deski.

Między Kylem a Calebem wywiązała się zażarta walka.

Siergiej, korzystając z zamieszania, pędem ruszył w stronę miecza.

Sparaliżowana strachem Caitlin patrzyła tylko jak Kyle przygniata Caleba masą swojego ciała i próbuje wydłubać mu oczy gołymi rękami. W chwilę później zdeterminowana ruszyła mu na ratunek.

Przeskoczyła przez barierkę ambony i z lekkością wylądowała na podłodze kościoła, 5 metrów niżej. Chwilę potem wymierzała już

Kyle'owi potężnego kopniaka prosto w żebra, zrzucając go z Caleba.

I wtedy, nagle, Caitlin przeszył nieprawdopodobny ból.

Krzyknęła, kiedy poczuła zimny metal zanurzający się w jej plecach, przenikający jej skórę, przechodzący przez jelita i brzuch.

Kiedy opadała na kolana, czuła, jak krew napływa jej do gardła, wylewa się przez zęby i usta, kapie z podbródka.

W szoku i agonii, spojrziała w dół, i dotarło do niej, że została dźgnięta nożem od tyłu. W plecy. Mieczem.

- NIE! – głośny szloch Caleba rozniósł się echem po kościele.

Caleb był tak roztrzęsiony, że nie widział nawet Siergieja, stojącego nad nimi, trzymającego zakrwawiony miecz, zadowolonego z siebie, uśmiechającego się demonicznie.

- Odebrałaś mi życie – wycedził do Caitlin przez zęby - Teraz ja odpłacam ci się tym samym.

Siergiej, nie tracąc już ani chwili, puścił się pędem w stronę wyjścia z kościoła.

Kyle podniósł się i ruszył za nim.

Gdy przebiegł obok Samantha, ta odzyskała przytomność, szybkim ruchem chwyciła wciąż nieprzytomnego Sam za pod ramiona i razem z nim wybiegła z kościoła.

Teraz w kaplicy pozostali już tylko Caitlin i Caleb. Róża leżała przy ławach, skomlała z bólu, krwawiła.

- Caitlin! - Caleb trzymał Caitlin w objęciach. Pochylił się nad nią, pieścił jej twarz i czuł jak łzy spływają mu po policzkach.

Widząc, jak cierpi, nie mógł myśleć o niczym innym. Wiedział gdzieś w głębi duszy, że wszyscy opuścili już budynek, że byli coraz dalej, że mieli miecz.

Miecz, który przysięgał chronić przez całe swoje życie.

Ale teraz, widząc ją krwawiącą, umierającą, zależało mu wyłącznie na Caitlin.

Leżąc na podłodze kościoła, Caitlin czuła jak robi jej się coraz zimniej. Czuła przeszywający ból w plecach i brzuchu, czuła jak krew szybko opuszcza jej ciało, i czuła też dotyk Caleba na swoje twarzy.

Otworzyła oczy i ujrzała sklepienie kościoła. I Caleba. Widziała jego piękną twarz, jego oczy wpatrzone w nią.

Wiedziała, że umiera, ale nie czuła strachu. Zamiast tego, poczuła smutek na myśl o wiecznym rozstaniu z ukochanym.

- Caitlin - powiedział Caleb, szlochając - Proszę. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie!

Płakał i jednocześnie delikatnie ją kołysał.

Caitlin spojrzała w jego duże czarne oczy, próbując się na nich skupić.

Nie odchodź.

Musiała.

- Caitlin - powiedział między łzami - Chcę, żebyś wiedziała. Widzę to. Wiem, kim razem byliśmy. W naszych poprzednich wcieleniach. Teraz widzę to wszystko

- wyznał.

Caitlin próbowała mówić. Jej gardło było zbyt suche, a krew zaklejała usta.

Wydobyła z siebie jedynie cichuteńki szept.

- Co mówisz? – Caleb nie mógł zrozumieć jej słów – Powtórz, proszę.

Pochylił się nad nią jeszcze bardziej i przystawił ucho do jej ust.

- Przemień mnie – wyszeptała.

Patrzył na nią z przerażeniem, nie będąc pewnym, czy dobrze zrozumiał.

Resztkami sił Caitlin wyciągnęła rękę, chwyciła go za koszulę i przyciągnęła tak blisko siebie, jak tylko mogła.

- Przemień mnie - rozkazała.

To był ostatni wysiłek, na jaki było ja stać.

Kiedy zamknęła oczy, czuła jak życie powoli z niej ulatuje.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był Caleb, zbliżający się do niej coraz bardziej i jego dwa kły wyrastające mu z dziąseł.

A potem poczuła ból, gdy jego kły zatopiły się w jej skórze.

Wtedy świat przestał istnieć.

FAKTY I MITY

FAKT:

W 1692 roku w Salem, kilkanaście nastoletnich dziewcząt zostało dotkniętych tajemniczą chorobą, która doprowadziła je do hysterii. Niewiasty te oskarżyły miejscowe czarownice o prześladowanie ich. Doprowadziło to do wszczęcia procesów „czarownic z Salem”.

Zagadka tej tajemniczej choroby nigdy, do dnia dzisiejszego, nie została wyjaśniona.

FAKT:

Najsłynniejszym dziełem Nathaniela Hawthorne’a jest oparta na faktach powieść, *Szkarłatna Litera*, opisująca historię życia Elizabeth Paine – kobiety z Salem, która została ukarana za odmowę ujawnienia tożsamości ojca swojego dziecka.

FAKT:

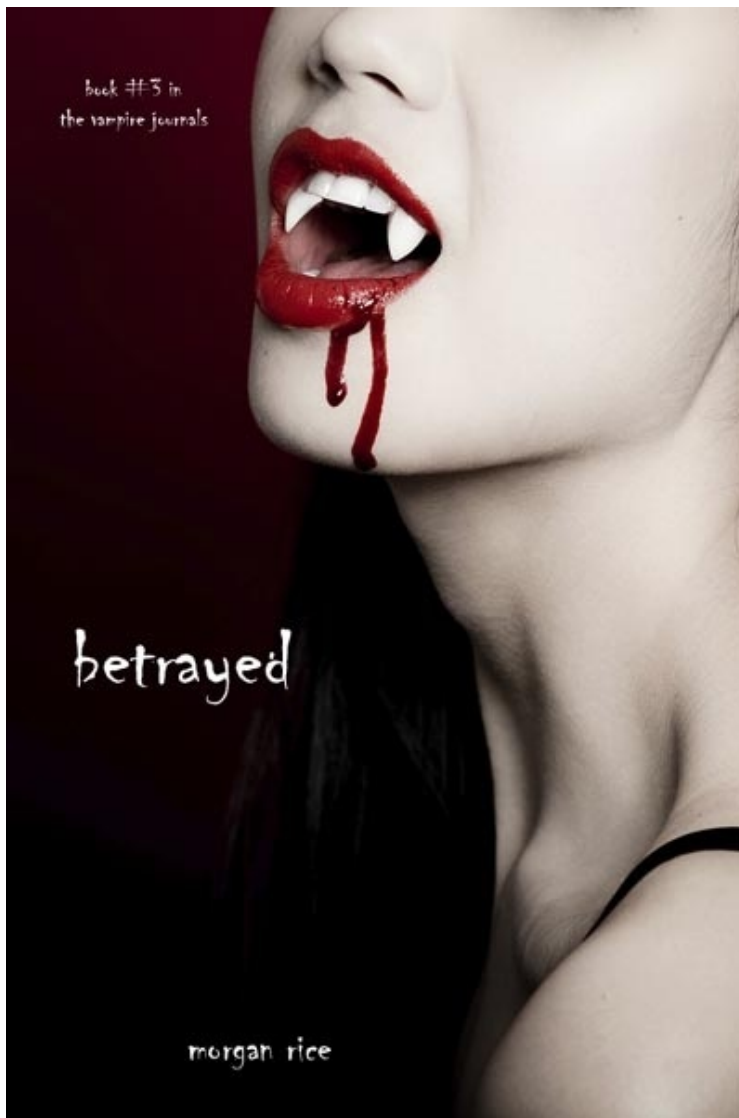
Rodzina Nathaniela Hawthorne’a od wielu pokoleń mieszkała w Salem. On sam również spędził tam całe swoje życie. Jego pradziadek był jednym z głównych oskarżycieli w procesach czarownic z Salem. Dom Hawthorne’a stoi w Salem do dziś.

FAKT:

W 1600 w Bostonie, Czarownice zostały powieszane na wzgórzu Beacon.

FAKT:

Elizabeth Paine jest pochowana na cmentarzu King’s Chapel w Bostonie. Jej nagrobek można wciąż znaleźć w pierwszym rzędzie grobów, tuż obok kaplicy.



JUŻ DOSTĘPNA!

[ZDRADZONA](#)

(Trzecia Część Serii Wampirze Dzienniki)

Ściągnij ZDRADZONĄ już teraz!

“Nieoczekiwany zwrot akcji na końcu ZDRADZONEJ sprawi, że zapragniesz natychmiast sięgnąć po kolejną część. Książka otrzymuje najwyższą ocenę za wartką akcję i pomysłową fabułę”

—The Dallas Examiner

W ZDRADZONEJ (Trzeciej części Wampirzych Dzienników), Caitlin Paine budzi się z głębokiej śpiączki, by odkryć, że została przemieniona. Teraz, jako prawdziwy wampir pełnej krwi, cieszy się swoimi nowymi mocami, w tym swoją umiejętnością latania i swoją nadludzką siłą. Przekonuje się również, że jej prawdziwa miłość,

Caleb, był cały czas przy jej boku. Caitlin ma wszystko, o czym mogła marzyć.

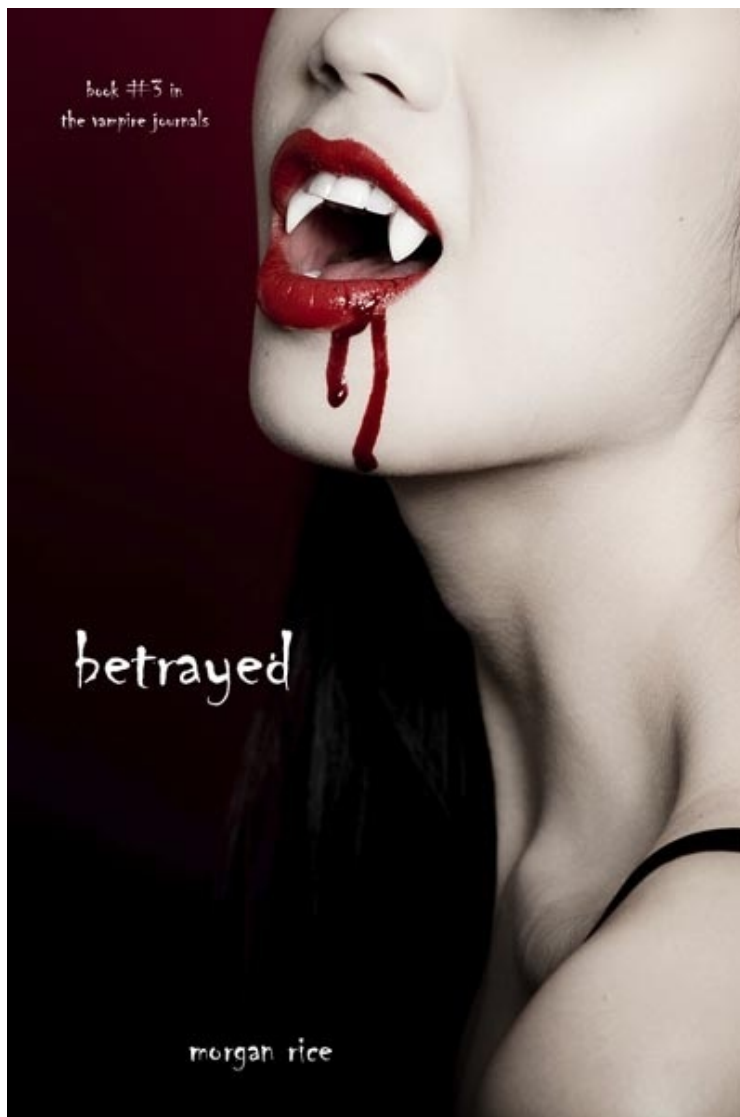
Sielanka nie trwa jednak zbyt długo.

Caitlin nakrywa Caleba z jego byłą żoną, Serą. Nie pozwalając Calebowi wytłumaczyć się, karze mu odejść na zawsze. Zraniona i zagubiona Caitlin chce umrzeć, a jej jedynym pocieszeniem jest w jej wilczy szczeniak - Róża.

Caitlin znajduje również pocieszenie w swoim nowym otoczeniu. Odkrywa, że została umieszczona na ukrytej wyspie Pollepel na rzece Hudson, razem z 23

innymi nastoletnimi wampirami, zarówno dziewczętami, jak i chłopcami.

Dowiaduje się, że jest to miejsce dla odmieńców, takich jak ona. Nawiązuje tam



przyjaźń z Polly i zaczyna szkolenie w elitarniej szkole dla wampirów. Wreszcie znajduje miejsce, które może nazwać domem.

Wojna wampirów ma jednak wybuchnąć lada moment, a jej brat, Sam, nadal gdzieś tam jest, porwany przez Samanthe. Kyle dzierży teraz mityczny miecz, gotowy użyć go do zgładzenia całego Nowego Jorku. Caitlin wie, że nowy dom i rodzące się w niej uczucie do nieuchwytnego wampira Blake'a, nie mogą powstrzymać jej przed wypełnieniem swojego przeznaczenia. Wciąż przecież jest Wybraną i musi odnaleźć ojca oraz inną broń, która może ich wszystkich ocalić.

Rozdarta pomiędzy wciąż żywym uczuciem do Caleba, a swoimi nowymi przyjaciółmi musi zdecydować, co jest dla niej naprawdę ważne, i czy jest gotowa zaryzykować wszystko, by spróbować odzyskać Caleba....

ZDRADZONA to trzecia część sagi o wampirach (po #1 PRZEMIENIONA, #2

KOCHANY), a mimo to może być czytana, jako samodzielna powieść. Części # 4

- # 10 sagi *Dzienniki Wampirze* są już dostępne w sprzedaży!

“ZDRADZONA jest jedną z najlepszych części tej serii. Morgan Rice zawarła w niej wszystko, czego potrzeba czytelnikowi: doskonałą fabułę, wartką akcję, miłość i intrygę. Jeśli jeszcze nie czytałeś pierwszych dwóch części, zrób to jak najszybciej i wtedy sięgnij po ZDRADZONĄ!”

VampireBookSite

“ZDRADZONA ma ekscytujący romans, silną fabułę i wartką akcję. Morgan Rice przeniosła tę opowieść na wyższy poziom. W tej książce jest tak wiele wspaniałych niespodzianek, że nie zechcesz się od niej oderwać aż do samego końca. ”

— The Romance Reviews

[Ściągnij ZDRADZONĄ już teraz!](#)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Ściągnij książki Morgan Rice !](#)



[Słuchaj](#) serii WAMPIRZE DZIENNIKI na audiobooku!

Dostępne na:

[Amazon](#)

[Audible](#)

[iTunes](#)

Książki Morgan Rice

THE SORCERER'S RING

A QUEST OF HEROES (Book #1)

A MARCH OF KINGS (Book #2)

A FATE OF DRAGONS (Book #3)

A CRY OF HONOR (Book #4)

A VOW OF GLORY (Book #5)

A CHARGE OF VALOR (Book #6)

A RITE OF SWORDS (Book #7)

A GRANT OF ARMS (Book #8)

A SKY OF SPELLS (Book #9)

A SEA OF SHIELDS (Book #10)

A REIGN OF STEEL (Book #11)

A LAND OF FIRE (Book #12)

A RULE OF QUEENS (Book #13)

AN OATH OF BROTHERS (Book #14)

A DREAM OF MORTALS (Book #15)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (Book #1)

ARENA TWO (Book #2)

THE VAMPIRE JOURNALS

TURNED (Book #1)

LOVED (Book #2)

BETRAYED (Book #3)

DESTINED (Book #4)

DESIRED (Book #5)

BETROTHED (Book #6)

VOWED (Book #7)

FOUND (Book #8)

RESURRECTED (Book #9)

CRAVED (Book #10)

FATED (Book #11)

Morgan Rice

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii jedenastu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI, skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL

TRILOGY, złożonej z dwóch książek; i bestsellerowej serii fantasy THE SORCERER'S RING, złożonej z piętnastu części.

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim, polskim i słowackim (i w kilku językach w przygotowaniu).

[PRZEMIENIONA](#) (pierwsza część serii Wampirze Dzienniki),

[ARENA ONE](#) (pierwsza część THE

SURVIVAL TRILOGY) i [QUEST OF HEROES](#) (pierwsza część serii the Sorcerer's Ring), dostępne są do pobrania za darmo w Google Play!

Morgan czeka na wiadomości od Ciebie. Odwiedź stronę www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i najnowsze informacje. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań w kontakcie!

Document Outline

- [ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)
- [ROZDZIAŁ ÓSMY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)